



POWRÓT NA PLANETĘ K-P&I

Gene Brewer

Światy prota



«Książnica»

Gene Brewer

Urodził się i wychował w Muncie w stanie Indiana, ukończył chemię i mikrobiologię, po studiach rozpoczął karierę naukową. Przez wiele lat zajmował się podziałem i reprodukcją komórek DNA, pracując w znaczących ośrodkach badawczych USA. Gdy skończył czterdzieści lat, przeżył poważny kryzys osobowości i wtedy zaczął pisać. Debiutancki K-PAX ukazał się w 1995 roku, w 2001 kontynuacja powieści pt. Na promieniu światła oraz Światy prota. Na podstawie pierwszej części cyklu nakręcono znany film pod tym samym tytułem z Kevinem Spaceym w roli prota, rozważa się też nakręcenie ciągu dalszego.

Gene Brewer

Światy prota Raport prota

Przełożyli z angielskiego

Anna i Andrzej Gardzielowie

Tytuły oryginałów

The Worlds of Prot Prots Report

Karen, mojej Żonie

Często się zdarza, że powszechne w pewnej epoce

przekonanie — takie, od którego

nikt nie jest wolny i nie jest w stanie

uwolnić się bez niezwykłego wysiłku

geniuszu lub odwagi — w następnej

staje się tak oczywistym absurdem,

że jedyną trudnością byłoby wyobrazić sobie,

jak taki pogląd mógł kiedykolwiek

być uznawany za wiarygodny.

John Stuart Mili

Światy prota

PROLOG

W kwietniu 1990 roku rozpocząłem psychoanalizę 33-letniego pacjenta, który przedstawiał się jako „prot” (wymawiając to „prout”) i twierdził, że przybywa z planety „K-PAX”.

Spotykając się z nim regularnie przez kilka miesięcy, nie potrafiłem podważyć jego nieprawdopodobnych opowieści i przekonać go o jego ziemskim pochodzeniu (upierał się, że przybył tu na promieniu światła). Z tych spotkań mogłem wywnioskować tylko tyle, że cierpi na poważne zaburzenia seksualne, nienawidzi obojga rodziców, lub przynajmniej jednego z nich, i negatywnie ocenia całą ludzką społeczność.

Jednakże po paru tygodniach psychoanalizy stało się jasne, że mój pacjent jest rzadkim przypadkiem zespołu wielorakiej osobowości, w którym „prot” stanowi dominujące wtórne ego. Osobowością pierwotną był mężczyzna nazwiskiem Robert Porter, który zabił mordercę swojej żony i dziewięcioletniej córki. Rozpacz, żal i poczucie winy spowodowały, że wycofał się z realnego świata do nieprzenikalnej skorupy, strzeżonej przez jego „przyjaciela z kosmosu”.

Prot wszakże, cokolwiek myśleć o jego pochodzeniu i naturze, był osobnikiem niezwykłym, znającym arkana wiedzy astronomicznej — kimś w rodzaju obłąkanego geniusza. W samej rzeczy dostarczył astronomom cennych informacji o planecie K-PAX i innych, które odwiedzał (jak twierdził), a także o układzie dwóch gwiazd, pomiędzy którymi jego planeta przemieszczała się raz w jedną, raz w drugą stronę, co przypominało ruch wahadłowy.

Zaskakujące było, że zdawał się głęboko rozumieć ludzkie cierpienie. Podczas swego niedługiego pobytu w Instytucie Psychiatrii na Manhattanie (IPM)* przyspieszył powrót do zdrowia wielu pacjentów (a niektórzy z nich przebywali u nas przez lata). Dopomógł nawet w rozwiązaniu pewnych problemów trapiących moją własną rodzinę!

W końcu udało mi się, głównie dzięki hipnozie, przeniknąć skorupę Roberta i wejść w bezpośredni kontakt z jego pierwotną osobowością. Wreszcie mogłem mieć nadzieję, że wspólnie uporamy się ze sprawą śmierci jego żony i córki, i sprowadzimy prota „na Ziemię”.

Niestety terapię przerwało ogłoszenie przez prota, iż zamierza wrócić na rodzinną planetę w dniu 17 sierpnia 1990 roku, dokładnie o godzinie 3.31. Nie potrafiłem przekonać go, by przełożył tę „podróż” na później. W obliczu nieodwołalnego terminu usiłowałem pospiesznie rozwikłać kryzys Roberta, co spowodowało jedynie, że głębiej się schronił w swej ochronnej muszli. Co więcej, w całym szpitalu zapanował chaos, ponieważ wielu pacjentów czyniło starania, żeby odlecieć wspólnie z protem. Nawet niektórzy spośród personelu dołączali do kolejki chętnych!

Robert wszakże nie chciał mu towarzyszyć i po „odlocie” prota w oznaczonym czasie pozostał w stanie katatonii nie poddającej się leczeniu. Jedna z pacjentek, cierpiąca na ciężką psychotyczną depresję, rzeczywiście „znikła” wraz z protem, ale co się z nią stało i w jaki sposób zdołała opuścić szpital, do dziś pozostaje w sferze domysłów.

Jasnym punktem całej historii była obietnica prota, że powróci na Ziemię za około pięć naszych lat. Zgodnie z zapowiedzią wrócił dokładnie 17 sierpnia roku 1995, by znowu zaopiekować

się zranioną psychiką Roberta i chronić ją od dalszego zła.

Tym razem odmawiał ujawnienia daty następnego, ostatecznego, jak twierdził, odlotu, toteż nie miałem pojęcia, jak długo będzie mi dane pracować z Robertem. Ale na swój sposób było to szczęście w nieszczęściu:

IPM — Instytut Psychiatrii na Manhattanie (Manhattan Psychiatrie Institute), nazwa stworzona przez autora. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy.)

mogłem mieć nadzieję, że czasu będzie dość, by doprowadzić sprawę do końca, i że wreszcie pomogę Robertowi pogodzić się z tym, co go spotkało i jego rodzinę, dzięki czemu zdoła podjąć normalne życie.

Zakrawa to na ironię, ale właśnie dzięki łagodnej perswazji prota Robert okazał się gotowy i chętny do terapii. Już po paru sesjach wyszło na jaw, że we wczesnym okresie życia doświadczył traumatycznych przeżyć — mając pięć lat był wykorzystywany seksualnie przez wujka, a jako sześciolatek przeżył śmierć ojca. Utrata jedyne „przyjaciela obrońcy” (ojca) dopełniła czary goryczy. To wtedy przywołał nowego opiekuna (protę), który pochodził z odległej planety, wolnej od przemocy, okrucieństwa i utraty, gdzie te będące źródłem urazów wydarzenia nie mogłyby mieć miejsca.

Zrozumienie tych trudnych problemów, jak również ujawnienie obecności jeszcze dwu dodatkowych alter ego pozwoliło Robertowi stawić czoło przerażającej historii swego życia, obejmującej też tragiczną śmierć żony i córki. Poprawa jego stanu zdrowia była tak szybka, że z końcem września 1995 został wypisany z IPM i zamieszkał ze swoją przyjaciółką Giselle Griffin, reporterką, która pięć lat wcześniej wielce dopomogła w odkryciu jego rzeczywistej tożsamości (a później stała się kimś w rodzaju łącznika pomiędzy Robertem a otaczającym go światem). Wydawało się, że prot i dwie pozostałe osobowości, Harry i Paul, zostały w pełni zintegrowane w psychice Roberta Portera, który powrócił do stosunkowo normalnego życia, to znaczy bez objawów zespołu wielorakiej osobowości i innych zwykle z nim związanych (ból głowy, zapaści psychiczne itd.). Można rzec, że Rob został wyzwolony ze swego psychicznego więzienia po ponad trzydziestu latach niewoli.

Wszystkie te wydarzenia wraz z obszernymi fragmentami trzydziestu dwu moich sesji z Robertem/protem zostały przedstawione bardziej szczegółowo w książkach „K-PAX” i „Na promieniu światła” („K-PAX II”). Opowieść urwała się w momencie narodzin Gene’a, syna Roberta i Giselle, w lecie 1997 roku.

Wydawało się wtedy, że ich rodzina (do której należał też dalmatyńczyk Oxeye Daisy) będzie wreszcie mogła wieść szczęśliwe życie.

Niestety, okazało się inaczej.

SESJA TRZYDZIESTA TRZECIA

Wiadomość dotarła do mnie we czwartek szóstego listopada, po południu, podczas rutynowego wykładu o podstawach psychiatrii na Uniwersytecie Columbia, z którym nasz Instytut współpracuje. Betty McAllister, pielęgniarka naczelna, skontaktowała się z dziekanem Wydziału Psychiatrii i przekonała go, aby przerwał mój wykład i przekazał mi złe wieści. Betty została powiadomiona przez Giselle, że prot niespodziewanie powrócił, w chwili gdy Robert kąpał swego synka w mieszkaniu w Greenwich Village. Chociaż poczułem pewną konsternację, ten niepożądany rozwój wydarzeń nie był dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Po pierwsze w przypadkach zespołu wielorakiej osobowości zdarzają się nagłe pogorszenia, po drugie raptowna poprawa stanu Roberta w 1995 od początku wydawała mi się podejrzanie łatwa, niepokoiły mnie także inne sprawy, na przykład to, że jego odpowiedzi na niektóre pytania sprawiały wrażenie wyuczonych na pamięć.

Ten przypadek nie wymagał jednak błyskawicznej interwencji, toteż postanowiłem dokończyć wykład i dopiero potem udać się do IPM. Okazało się to błędem — niestety nie jedynym podczas długiej i ciężkiej próby, jaka mnie czekała, a której nadejścia tak się obawiałem. Myśli miałem tak zajęte nawrotem choroby Roberta, że popełniłem błąd w pewnym banalnym fragmencie wykładu, co studenci przyjęli z wyraźnym rozradowaniem (ten i ów nawet parsknął śmiechem). Zdenerwowany zarządziłem od razu test, nie zapowiedziany wcześniej. Prześmiewki zamieniły się w pomruki niezadowolenia, lecz ja i tak pozostawiłem ich z pytaniem na temat paradoksu Hesslera, z pełną świadomością, że nie istnieje prawidłowa odpowiedź. Poprosiłem jednego ze studentów, chłopca poważnego i jak sądziłem, zasługującego na zaufanie, by zebrał wypracowania i mi je później dostarczył.

Kiedy wróciłem do IPM, prot i Giselle wraz z ich synkiem (to znaczy synem Roberta) w towarzystwie Betty oczekiwali już w moim gabinecie. Przywitaliśmy się serdecznie. Po siedmiu latach znajomości Giselle stała mi się bliska niczym córka, a prot, choć może się to wydawać dziwne, kimś w rodzaju zaufanego przyjaciela i doradcy. Prot (czyli Robert) posiwiiał na skroniach i nosił szpakowatą bródkę. Co do mnie, od czasu naszego ostatniego spotkania zgoliłem brodę, zachowując jednak krótki wąsik, aby nie czuć się całkowicie obnażonym.

Mój przyjaciel z zaświatów nie utracił w najmniejszym stopniu pewności siebie i dobrego samopoczucia. Przyglądając mi się spoza znajomych ciemnych okularów, wyrecytował: „Siemasz, doktoru. Nadal bije pan swoją żonę?” (nawiązał w ten sposób do jednej z pierwszych naszych sesji, kiedy to w ciężkich zmaganiach usiłowaliśmy znaleźć wspólny język).

Wprost nie mogłem się doczekać rozmowy z nim, chciałem się dowiedzieć, gdzie przebywał w czasie, kiedy Robert wiódł normalne zdawałoby się życie jako student biologii na Uniwersytecie Nowojorskim, a także jako oddany partner i ojciec. Najpierw jednak zamierzałem porozmawiać z Giselle, toteż poprosiłem Betty, by odprowadziła prota na Oddział Drugi. Chyba ucieszyła go ta perspektywa, gdyż od razu ruszył w stronę klatki schodowej wiodącej do jego dawnego miejsca pobytu. Betty pospieszyła za nim.

IPM jest szpitalem eksperymentalnym, przyjmującym tylko takie przypadki, w których gdzie indziej nie udało się uzyskać istotnej poprawy. Na Oddziale Drugim, mieszczącym się na pierwszym

piętrze, przebywają pacjenci z psychozami i ciężkimi nerwicami. Ci spośród nich, którzy czynią wyraźne postępy, zostają w końcu przeniesieni na parter, na Oddział Pierwszy, gdzie pozostają do czasu, aż będą gotowi do wypisania. Drugie piętro, czyli Oddział Trzeci zamieszkują pacjenci z różnymi dewiacjami seksualnymi, koprofilii i tak dalej, a także autystycy i katatonicy, trzecie zaś (Oddział Czwarty) psychopaci — osobnicy, którzy stanowią zagrożenie zarówno dla personelu, jak i dla innych pacjentów. Lekarze i personel zajmują gabinety i pokoje badań na czwartym piętrze.

Gdy prot i Berty wyszli, zamknąłem drzwi, poprosiłem Giselle, by usiadła, i uszczypnąłem małą noskę Gene'a, mojego imiennika. Zagruchał radośnie, jego buzia wyrażała coś pomiędzy kpiarskim szczerzeniem zębów prota a nieśmiałym uśmiechem Roberta.

— A teraz — rzekłem — proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło.

Giselle wyglądała na udręczoną, a może tylko sfrustrowaną, właśnie tak, jak mogą wyglądać ludzie, o których się mówi, że wpadli z deszczu pod rynnę. Wpatrywała się we mnie swymi błyszczącymi sarnimi oczyma. To obudziło we mnie żywe wspomnienia naszego pierwszego spotkania przed laty, kiedy to zwinięta w kłębek w tym samym co teraz fotelu prosiła o pozwolenie na „przejście korytarzami” IPM, by zebrać materiał do artykułu o chorobach psychicznych dla pewnego wielkonakładowego czasopisma. — Nie wiem — westchnęła. — Był Robertem, a chwilę później już protem, ot tak po prostu — pstryknęła palcami. Dziecko sięgnęło rączką w kierunku jej dłoni, najwyraźniej usiłując zrozumieć, skąd pochodzi ten „pstryk”.

— Co pani robiła, gdy to się zdarzyło?

— Bolała mnie głowa i próbowałam się zdrzemnąć. Kiedy nadszedł czas kąpieli małego, poprosiłam Roba, żeby mnie wyręczył ten jeden raz. Rob jest wspaniałym ojcem, wstaje do Gene'a w nocy, karmi go, bawi się z nim i tak dalej, ale nie cierpi go kąpać ani przewijać. Powiedziałam, że strasznie boli mnie głowa, i dlatego się zgodził. Ale to nie on wyszedł z łazienki, tylko prot.

Zboczenie seksualne polegające na nieprzepartej fascynacji katem i defekacją, mogące się przejawiać w różnych formach i stopniach.

— Jak pani to poznała?

— Pan zna odpowiedź, doktorze B. Prot różni się od Roberta na tysiąc sposobów.

— Mówił coś?

— Powiedział: „Hej, Giselle, widzę, że zostałaś mamą”.

— A pani odpowiedziała...

— Byłam zbyt wytrącona z równowagi, by się odezwać.

— Zatem kto kąpał chłopca?

— Przypuszczam, że Rob zaczął, ale już nie skończył...

— .. .bo właśnie pojawił się prot.

— Tak sędzę. Pieluszka była założona byle jak.

— Nie dziwię się. On nie ma zbyt wielkiego doświadczenia z dziećmi, ani ludzkimi, ani czymikolwiek. Co jeszcze może mi pani powiedzieć?

— Nic, Zupełnie nic. Stał tam, jakby przez cały ten czas był z nami.

— Pytała go pani, gdzie podział się Robert?

— Oczywiście —jęknęła. Potem żałośnie dodała: — Nie miał pojęcia.

— Nie wie, gdzie jest Robert? — spytałem.

Wtedy się rozpląkała. Przypuszczam, że aż dotąd nie zdawała sobie w pełni sprawy, co to oznacza: Robert zaszył się tak głęboko, że nawet jego „anioł stróż” (prot) nie wie, gdzie on się ukrywa. Dziecko także zaczęło płakać. Giselle przytuliła je do piersi, a ja próbowałem ją uspokoić.

— Doprowadzimy tę sprawę do końca — obiecywałem bez większego przekonania z poczuciem, że chyba nic więcej już się nie da zrobić.

Pokiwała głową i wyjęła chusteczkę. Wziąłem od niej Gene’a, prześlicznie pachnącego sosną, tak jak jego matka. Spojrzał na mnie przez łzy i schwycił za nos. Udałem, że krzyczę z bólu, co tylko nasiliło jego płacz.

— Chodźmy — powiedziałem, gdy Giselle udało się już uspokoić dziecko i siebie samą. — Przedstawmy malucha Oddziałowi Drugiemu.

Gdy odnaleźliśmy prota, rozmawiał z pacjentami. Niektórzy najwyraźniej zachowali czułe o nim wspomnienia. Była wśród nich Frankie, grubsza niż kiedykolwiek i niemal uśmiechnięta, co rzadko jej się zdarza, oraz Milton, którego cała rodzina zginęła podczas Holokaustu, przysłuchujący się rozmowom spokojnie, bez kpin i błazeństw. Niektórzy znali prota tylko z opowieści, ale gorliwie przedstawiali mu swoje historie, z przesadą i patosem, mając nadzieję na bezpłatną podróż na K-PAX, a przynajmniej na pozyskanie sympatii z powodu swego ciężkiego losu. Pół tuzina kotów tłoczyło się wokół niego, mrucząc i ocierając mu się o nogi.

Oczywiście pracownicy w większości znali i pamiętali również Giselle, witali ją równie serdecznie jak prota. Zachwycali się małym Gene’em, a ona wydawała się wtedy zapominać o swoim lęku. Dziecko wcale nie bało się tych wszystkich wpatrujących się w nie obcych twarzy, uśmiechając się do każdego, kto się nad nim nachylił.

Skorzystałem z okazji, by przedrzeć się przez koty i zapytać prota, czy nie ma nic przeciwko pozostaniu w szpitalu na „mały odpoczynek”. Zapewnił mnie, że nie czuje się ani trochę zmęczony, jednakże odniosłem wrażenie, że moja propozycja bardzo go ucieszyła. Zaproponowałem mu

spotkanie nazajutrz o dziewiątej rano. Odparł, że cieszy się możliwością kolejnej „owocnej” sesji ze mną (w lot pojąłem tę cienką aluzję).

Pozegnawszy się z protem, odszukałem Betty McAllister, by zlecić jej przygotowanie dla niego osobnego pokoju, żeby Giselle z dzieckiem mogli go odwiedzać bez skrupowania. Kiwnęła tylko głową na znak, że rozumie, wyraźnie bardziej zainteresowana tym, co działo się pomiędzy pacjentami a rodziną Portera. Milton stał na stole, opowiadając dowcipy o dzieciach, takie jak ten: „Do autobusu wsiada kobieta z najbrzydszym dzieckiem świata. Jest tak brzydkie, że wszyscy pasażerowie się z niego śmieją. Kobieta płacze. Na następnym przystanku wsiada mężczyzna, spogląda na nią i mówi: Nie płacz, poczęstuj się orzeszkiem i weź jeszcze jeden dla swojej małpki”.

Pozostawiłem ich wszystkich i udałem się do gabinetu, aby odszukać grubą historię choroby prota/Roberta i przemyśleć dotychczasowe niepowodzenia oraz perspektywy na przyszłość.

Następnego ranka, oczekując na przybycie prota, usiłowałem wyobrazić sobie, co mogło wywołać gwałtowny powrót Roberta do tej żalosalnej formy istnienia, którą ujawnił w 1990 roku. Wtedy po raz pierwszy ukrył się przed światem w stanie prawdziwie katatonicznym, pod osłoną swojego alter ego* twierdzącego, że pochodzi z dalekiej planety.

Nawrót choroby nastąpił bezsprzecznie w chwili, gdy kąpał swego synka, dziecko czteroipółmiesięczne. Czy widok nagiego ciała niemowlęcia mógł przywieść mu wspomnienia przerażających i bolesnych doświadczeń pięcioletniego Roberta, gwałconego przez swego wujka, skoro jego aktualne i bez wątpienia pomyślne życie seksualne nie wywoływało takiego efektu? Bardzo chciałem unikać tego rodzaju pochopnych wniosków, z drugiej jednak strony miałem nadzieję, że właśnie o to chodzi. Znacznie gorzej byłoby przyjąć, że we wczesnym dzieciństwie Roberta Portera wydarzyło się coś bardziej nawet niszczącego niż te właśnie traumatyczne wydarzenia i śmierć ukochanego ojca wkrótce potem. Czy istniało coś jeszcze, czego nie odkryliśmy wcześniej, penetrując głębie jego psychiki? Czy umysł ludzki przypomina, jak niektórzy sądzą, cebulę, która po złuszczeniu jednej warstwy odsłania następną i tak, wydawałoby się, bez końca?

Prot wprowadzony do pokoju badań najpierw zdjął ciemne okulary (z powodu wrażliwości jego oczu zawsze przygaszałem światło, gdy miał przybyć) i rzucił się na owoce. Nie mógł być rozczarowany. Przygotowałem dla niego istny powitalny róg obfitości, misę wypełnioną wszystkim, co tylko było dostępne w szpitalnej kuchni. Owoce były pokrojone na małe kawałki. Otrzymał też serwetkę i widelec, które jednak całkowicie zignorował. Zanurzał dłoń w misie, nie zważając na zasady higieny, po czym wysysał soczysty kawałek po kawałku z głośnym pochrząkiwaniem i mlaskaniem. Możecie mi wierzyć na słowo, że ten widok był niezwykle.

Alter ego (łac.) — drugie (inne) ja, tu w znaczeniu jednej z osobowości, zarówno pierwotnej, jak i wtórnych, przejawiających się w zespole wielorakiej osobowości; pojęcie stosowane również potocznie i literacko dla określenia zaskakująco zróżnicowanych sposobów przeżywania i funkcjonowania, wynikających ze sprzeczności tkwiących w naturze ludzkiej.

Gdy skończył, najwyraźniej usatysfakcjonowany, wyraziłem przekonanie, że chyba dawno nie jadł owoców.

— Nie tak znowu dawno — odpowiedział, zlizując sok ze szczeciniastego zarostu wokół ust.

— Ale niedługo wracam do domu i nie będę już miał takich okazji.

— To znaczy na K-PAX?

Przytaknął radośnie.

Pamiętam, że pytanie, kiedy to może nastąpić, zadałem ze ściśniętym gardłem.

Bez chwili wahania odparł, że opuszcza Ziemię trzydziestego pierwszego grudnia, dokładnie o 11.48 przed południem czasu wschodniego.

— Lunch nie będzie potrzebny — dodał z krzywym uśmiechem. W dobrym bez wątpienia nastroju i zrelaksowany rozsiadł się w fotelu, skrzyżował nogi i założył ręce za głowę.

— Dlaczego pan zmienił swój stosunek do mnie?

— To jedno z tych bezsensownych sformułowań, które wy, ludzie, tak bardzo lubicie. Coś w rodzaju przeniesienia z zagmatwanej przeszłości. — (Miał na myśli historię gatunku ludzkiego, nie moją własną.)

— Powiem inaczej. Poprzednim razem nie chciał mi pan podać daty swojego odlotu. Dlaczego teraz nie stanowi to tajemnicy?

— Moje zadanie tutaj dobiega końca. Wszystko jest przygotowane, a pan nic już nie może zrobić, żeby pokrzyżować mi plany, nawet gdyby pan chciał.

Zirytował mnie ten samochwalczy komentarz.

— Jakie „zadanie”? Wprowadzić Roberta na nowo w stan nieuleczalnej katatonii?

— Naprawdę, gene, wy ludzie nie powinniście traktować wszystkiego tak serio. Wasz czas życia jest na to zbyt krótki.

Oczywiście na K-PAX nie istniał taki problem; tam każdy dożywa tysiąca lat.

Wpatrywałem się w niego przez chwilę.

— Co pan zrobił z Robertem?

— Zupełnie nic. On sam postanowił odpocząć od swego nędznego życia.

— Dlaczego? Co się stało?

— Nie mam pojęcia, szefie.

— Więc skąd pan wie, że „postanowił odpocząć”?

— Powiedział mi, zanim odszedł.

— I co jeszcze powiedział?

— Nic więcej.

— I naprawdę nie ma pan pojęcia, dokąd się udał?

— Żadnego. Nic o tym nie mówił.

— Da mi pan znać, jak się znowu pojawi?

— Mais oui, mon ami.

Zacząłem odczuwać, że sytuacja wymyka mi się spod kontroli, że nie pozostało mi nic innego jak tylko najlepiej wykorzystać czas.

— No dobrze, porozmawiajmy minutkę o panu.

— Pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt...

— To mnie nie śmieszy. Gdzie pan przebywał przez tych parę ostatnich lat?

— Och, tu i tam.

— Prot, chcę panu coś wytłumaczyć. Dla pana ta cała sprawa może wyglądać na żart, być może cały świat jest jednym wielkim żartem. Ale nie dla Roberta. Byłbym niezmiernie rad, gdyby pan przynajmniej zechciał ze mną współpracować, odpowiadając na pytania. Czy proszę o zbyt wiele?

Wzruszył ramionami.

— Jeśli już pan musi wiedzieć, przemieszczałem się po całym waszym ŚWIECIE... — (Nazwy gwiazd, planet itp. prot pisał dużymi literami; istotom tak znikomym jak ludzie przysługiwały małe litery.) — Coś w rodzaju ostatniej podróży, można rzec.

— Jaki był cel tej „podróży”? Organizował pan przyjęcia pożegnalne?

— Niewiele ich było. Przede wszystkim rozmawiałem z różnymi istotami, które pragnęły lecieć ze mną na K-PAX. Dysponuję miejscem tylko dla setki spośród was. Ale już mówiłem panu o tym poprzednio, prawda?

Ależ tak, mój przyjacielu (franc).

— Chce pan powiedzieć, że... aaa... dobierał pan sobie „towarzyszy podróży”?

— Można to tak określić.

Odruchowo sięgnąłem po długopis i kartkę papieru.

— Czy mógłby mi pan podać nazwiska paru ludzi z pańskiej listy?

Prot podniósł do ust miszkę, prawie tak pustą, jak moja żółta kartka. Wypił odrobinę soku, która pozostała po owocach.

— A: Nie wszyscy na liście są ludźmi. I B: Oczywiście, że nie.

— Dlaczego?

— Zna pan odpowiedź, mój ludzki przyjacielu.

— Myśli pan, że spróbujemy panu przeszkodzić w ich zabraniu bądź odwieść ich od zamiaru tej podróży, czy coś w tym rodzaju?

— Właśnie, czyż nie tak?

— Może tak — przyznałem. — Ale przede wszystkim chciałbym skontaktować się z paroma spośród nich, aby sprawdzić, czy potwierdzą pana informacje. Chodzi mi o pana przemieszczanie się „tu i tam” po świecie.

— Czy pan myśli, że mógłbym kłamać, panie prokuratorze? A poza tym chyba pan nie zna mowy żyraf ani zwierzyny płowej, prawda? I nie rozumie pan języka żadnej z waszych morskich istot, obaj już o tym dobrze wiemy, prawda?

Odczuwałem narastającą frustrację, a zarazem mdłości, jak to już często bywało podczas naszych sesji.

— No dobrze. Ilu ludzi pan zabiera?

— Och, kilkunastu. To najniezwyklejszy z wszystkich waszych gatunków.

— Czy są wśród nich mówiący po angielsku? — strzeliłem na oślep.

— Kilku.

— Ale nie pozwoli mi pan na rozmowę z nimi.

— Ależ proszę bardzo. Tylko musi pan sam odgadnąć, którzy to są.

— Czy ktoś z nich przebywa w naszym szpitalu?

Szczerząc zęby w uśmiechu, powiedział:

— Może jeden albo dwoje.

— Coś zaproponuję: poda mi pan nazwisko tylko jednego z tych pasażerów, w zamian za następną miskę owoców, którą zaraz dostarczy kuchnia.

Pragnąc w sposób oczywisty dać do zrozumienia, że uważa temat za zamknięty, zaczął przyglądać się akwareli przedstawiającej Vermont jesienią.

— Pamiętam dobrze to miejsce — szepnął.

Pospiesznie zanotowałem sobie, żeby zapytać każdego

z moich pacjentów, czy został zaproszony do wyjazdu na K-PAX, a także poprosić kolegów, by o to samo zapytali swoich podopiecznych. Nie po to bynajmniej, żeby pomóc im w przygotowaniach do podróży, lecz by przygotować ich na potężne rozczarowanie, gdy pozostaną na Ziemi, niczym oblubieńcy porzuceni przy ołtarzu.

Ale najistotniejszy problem wciąż pozostawał nierozwiązany: gdzie znajduje się Robert i dlaczego skrył się tak niespodzianie? Musiałem przyjąć, że mam jedynie niespełna dwa miesiące, by dotrzeć do sedna tego wszystkiego, i bardzo mi się nie podobało, że znów przystawiono mi pistolet do skroni.

— Chce pan nas opuścić z końcem grudnia, tak? Czy nie może pan w jakiś sposób tego odwlec?

— Przykro mi.

— Ale mówił pan poprzednim razem, że są przewidziane trzy różne terminy powrotu na K-PAX. Teraz, zdaje się, wypada drugi z kolei?

— Niestety. Ten drugi już minął.

— Zatem to ostatnia szansa?

— Tak.

— I jeśli nie...

— No właśnie. Utknęlibyśmy tutaj na zawsze.

— W jaki sposób przepadł ten drugi termin?

— Robert znowu się rozmyślił. On jest bardzo chwiejny.

W tym momencie oderwałem się od machinalnego bazgrania po kartce papieru.

— A tym razem odleci z panem?

— Jeśli zechce. Wie pan, jak to z nim jest. On ma trzy zdania na jeden temat.

— A więc rozmawialiście ze sobą po pana zniknięciu dwa i pół roku temu?

— Rzadko.

— Z pańskiej czy z jego inicjatywy?

— Najczęściej z mojej.

— I to był pana pomysł, żeby teraz powrócić do Nowego Jorku?

— Nie. Jego.

— Dlaczego pana wezwał?

— Widocznie byłem mu potrzebny.

— Do czego?

— Nie powiedział.

Przeciągnął się leniwie, jak pies budzący się z drzemki.

— Gdzie pan przebywał, kiedy nadeszło wezwanie? Czy mogę się tego dowiedzieć?

— Uwierzy pan, że znów w zairze? Oczywiście teraz ten kraj nazywa się inaczej: demokratyczna republika kongu. — Potrząsnął głową. — Ludzie!

— Co pan robił w Kongu?

— Czy nie rozmawialiśmy już na ten temat? Naprawdę powinien pan coś zrobić ze swą pamięcią, gino!

— Proszę o cierpliwość, prot. Co robił Robert, kiedy pan przybył?

— Kąpał swego dzieciaka.

— Czy zrobił to do końca?

— Nie. Podał mi ręcznik i już go nie było.

— A więc to pan zakończył tę kąpiel?

— Wytarłem go i założyłem pieluchę, czy jak to tam nazywacie. Potem wsadziłem go do jego klatki.

Wpatrywałem się w swój notatnik, na którym widniała tylko data i godzina.

— Prot, czy może mi pan obiecać, że pozostanie pan tutaj aż do trzydziestego pierwszego

grudnia... hm... do jedenastej czterdzieści osiem?

— Nie.

— Dlaczego nie, u licha?

Nawet przy prędkości światła zebranie i przygotowanie wszystkich do odlotu zajmie trochę czasu.

— To znaczy, że musi pan zbierać wszystkich swoich pasażerów po kolei? Tak jak kierowca autobusu? To bardzo prymitywna metoda, nie sądzi pan?

— Herr Doktor, jedyną alternatywą jest zgromadzić wszystkich wcześniej. Co przysporzyłoby trochę problemów.

Przekreśliłem datę 31 grudnia.

— No to kiedy dokładnie nas pan opuści?

— Prawdopodobnie zaraz po śniadaniu. Ponownie wpisałem: 31 grudnia.

— I obiecuje pan pozostać w szpitalu do tego czasu?

— Nie obiecuję.

— Do diabła, prot, dlaczego nie?

— Powinienem jeszcze udać się do paru miejsc.

— Dokąd?

— Muszę wyrazić panu swoje uznanie, gene. Nie poddaje się pan łatwo.

— Dzięki, przyjmuję pana komplement. A zatem nie dowiem się tego?

— Przykro mi, ale nie.

— W porządku. Proszę usiąść wygodnie. Chciałbym teraz porozmawiać z Robertem.

— Powodzenia — wymamrotał, zanim opuścił głowę.

— Rob? — nadśluchiwałem. — Robert?

Prot/Robert wydawał się kulić w sobie coraz bardziej, ale nie było żadnej wyraźnej odpowiedzi.

— Robercie, proszę, ukaż się. Chcę chwileczkę z tobą porozmawiać. Tylko po to, żeby dowiedzieć się, jak się czujesz, co cię dręczy. Kiedyś już ci pomogłem, pamiętasz?

Bez skutku.

— Ten pokój jest twoją bezpieczną przystanią, tak jak zawsze dotąd.

Żadnej odpowiedzi.

— Myślę, że bardzo źle się czujesz. Ale bądź pewien, że mnie zawsze możesz zaufać. Wystarczy, że powiesz „hej”, dasz mi znać, że jesteś tutaj.

Ani drgnął.

— Dobrze, Rob. Nie odchodź. Proszę, odpręż się. — Dyskretnie otwarłem szufladę i wyjąłem gwizdek, którym przywoływałem go w podobnych okolicznościach przed dwoma laty. Gwizdnąłem. Niestety nie przyniosło to spodziewanego efektu.

— Dobrze, Rob, pogadamy później. Gdybyś sam zechciał skontaktować się ze mną, po prostu daj znać którejs z pielęgniarek, a przybędę jak najszybciej, zgoda? Pozwól mi teraz porozmawiać z protem. Prot? Jest pan tutaj?

Natychmiast otworzył oczy i spojrzał na mnie.

— Znalazł się?

— Jeszcze nie.

— No, to się nazywa właściwe podejście — odparł, uśmiechając się szeroko na swój doprowadzający do szału sposób, coś pomiędzy autentycznym ciepłem a cyniczną afektacją.

— Od jak dawna nosi pan brodę? — zapytałem.

— Już od paru waszych lat. Chyba ją pozostawię. Co pan o tym myśli?

— Czy pan wie, że Robert ma zupełnie taką samą?

— Cuda nigdy nie przestaną się zdarzać!

— Nie dostrzega pan żadnego związku pomiędzy jego i pańską brodą?

— Dlaczego miałbym dostrzegać? Spojrzałem na niego posępnie.

— Prot, pragnę pana poprosić o przysługę.

— Co tylko świadczy o pana człowieczeństwie, doktorze.

— Chcę pana prosić o pomoc w dotarciu do Roberta. Tak, jak to pan uczynił przed dwoma laty, pamięta pan?

— Wtedy było inaczej. On pragnął się ukazać. Nie potrafiłbym go powstrzymać, nawet gdybym chciał.

— Proszę z nim tylko porozmawiać, uczynić wszystko, co możliwe, by znów zapragnął pozbyć się tego, co go dręczy, czymkolwiek to jest. Zrobi pan to?

— Na pewno, szefie. Jeśli go spotkam. Ale niczego nie mogę gwarantować.

— Niech pan zrobi wszystko co w pana mocy. Nie proszę o nic więcej.

Wzruszył ramionami.

— Czy kiedyś postępowałem inaczej?

Siedzieliśmy wpatrzeni w siebie. W końcu zapytałem, czy miał już sposobność rozmawiać z którymś z pacjentów o jego problemach.

— Z paroma.

— Ma pan już jakieś przemyślenia?

— Tak.

— Zechce mi pan je przedstawić, choćby króciutko?

— Nie.

Zirytowany rzuciłem notatnik na biurko.

— W porządku. To wszystko na dziś.

Przekartkowałem kalendarz — wyłącznie dla zachowania pozorów, gdyż już wcześniej postanowiłem przeznaczyć dla prota/Roberta tyle czasu, ile będę mógł. Żałowałem, że moje możliwości pod tym względem nie są większe...

— Będziemy się spotykać w każdy wtorek i piątek o dziewiątej, zgoda?

— A co z poniedziałkiem, środą i czwartkiem?

— Niestety, prot, nie jest pan jedynym mieszkańcem Instytutu.

— Idę o zakład, że to samo pan mówi wszystkim.

— Wcale nie. Zatem spotkamy się znowu we wtorek. Ale przedtem umówię pana z doktorem Chakrabortym na wstępne czy raczej kolejne badanie internistyczne, dobrze?

— Po co? Jestem zdrowy. Nie czuję się ani trochę starszy ponad moje dwieście pięćdziesiąt lat.

— To zwykła rutyna — zapewniłem.

— Ach tak. Pamiętam pańskie przywiązanie do rutyny.

— Cieszę się. Zatem do zobaczenia w przyszłym tygodniu. — Wstałem, by odprowadzić go do drzwi.

— Auf Wiedersehen — zawołał, spiesznie wychodząc, najwyraźniej ożywiony pragnieniem powrotu na Oddział Drugi.

Do widzenia (niem.).

Nawiasem mówiąc, pokój zajmowany przez prota dopiero co opuścił inny pacjent, którego historia była nie mniej tragiczna. Przed sześcioma miesiącami mężczyzna ów, pieśczośliwie nazywany „Mr. Magoo”, stracił zdolność rozpoznawania twarzy, nawet swojej własnej. Ten problem, niestety, miał organiczną przyczynę (uraz głowy spowodowany przez spadającą cegłę). Nie mogliśmy tu nic więcej zrobić, jak tylko zachęcić jego rodzinę, przyjaciół i współpracowników, aby przez cały czas nosili czytelne etykiety z nazwiskami. Jednakże jego żona zbuntowała się przeciw takiemu pomysłowi i kiedy powrócił ze szpitala do domu, jej już nie było — co chyba da się zrozumieć.

Zapadłem znowu w fotel i spojrzałem na skąpe notatki z tej sesji. Odczytałem: „31 grudnia, zaraz po śniadaniu” oraz: „Porozmawiać z pacjentami w sprawie K-PAX”, poza tym całe pół strony pokrywały nieczytelne bazgroły, plątanina niebieskich sznureczków na matowożółtym tle. Miałem nadzieję, że poplątane ścieżki umysłu Roberta dadzą się rozplatać i w pewien sposób uporządkować, zanim będzie za późno. Poprzednim razem, gdy prot „odleciał” w podobnych okolicznościach, Rob pozostał w stanie katatonii, z którego wyszedł dopiero po pięciu latach, po powrocie swojego alter ego. Ale tym razem prot nie miał wrócić.

Jedyną dobrą wiadomością, której dostarczyło nasze spotkanie, było to, że Robert udał się tylko na „odpoczynek od swego nędznego życia”, jak powiedział protowi. Można było przypuszczać, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, znów będzie gotowy do współpracy w terapii. Pozostawało wszakże pytanie, kiedy to nastąpi. A także dlaczego niespodziewanie poczuł się aż tak nędznie. Żywiłem nadzieję, że choć czasu na to pozostawało bardzo niewiele, zdołamy zrobić dla niego więcej niż dla pacjenta, który wcześniej zamieszkiwał w jego pokoju...

Komiczny osobnik z amerykańskiej kreskówki TV, w ogromnych okularach, który wciąż wpada w kłopoty z powodu słabego wzroku.

Wszedłszy do gabinetu natknąłem się na Giselle. Niemal o niej zapomniałem.

— No i... ? — zapytała, ale brzmiało to raczej jak jęk.

— Przykro mi, Giselle, wygląda na to, że wróciliśmy do punktu wyjścia.

— Ale dlaczego? Nie rozumiem.

— Czasem choroba psychiczna spada jak grom z jasnego nieba. Dosłownie. Mała iskierka uruchamia całą kaskadę wyładowań elektrycznych. Dopóki nie poznamy lepiej zjawisk chemicznych i fizycznych zachodzących w mózgu, dopóty możemy jedynie próbować przywrócić pacjenta na jego drogę życia, chwytając się wszelkich dostępnych środków.

Zmarszczyła brwi. Przerabiała to już wcześniej i równie dobrze jak ja знаła zarówno możliwości, jak i zagrożenia.

— Czy będę mieć swobodny dostęp do niego, tak jak przedtem?

— Oczywiście.

Nie zamierzałem z nią polemizować, tak jak było to kiedyś. Giselle zajmowała wyjątkową pozycję, była kimś w rodzaju pośrednika pomiędzy protem (Robertem) a światem zewnętrznym, i oboje dobrze wiedzieliśmy, że jej pomoc może okazać się decydująca. Być może, gdy będzie blisko niego, on powie coś ważnego, coś, czego żadna pielęgniarka nie uznałaby za istotne.

— A... gdzie jest wasz synek?

— Telefonowałam do mamy tej nocy. Zamieszka z nami, aż sprawa się wyjaśni.

— A co z matką Roberta?

— Do niej także dzwoniłam. Wyszła ponownie za męża i mieszka teraz w Arizonie. Chciała przyjechać, ale odwiodłam ją od tego. Odwiedziny na nic by się zdały, skoro nie wiemy, gdzie jest Robert.

Wpatrywałem się w jej twarz, tak pełną wyrazu i wciąż dziewczęcą.

— Wie pani o problemach Roberta chyba tyle samo co ja. Co pani zdaniem się stało?

— Myślę, że to kąpiel Gene'a spowodowała nawrót tego wszystkiego. Ale dlaczego Robert zniknął tak nagle i prot powrócił dokładnie w tym samym czasie...

— Wzruszyła ramionami.

Zapomniałem już, że według niej Robert i prot to dwie odrębne osoby.

— Domyśla się pani, gdzie mógł się udać?

— Nie mam pojęcia. Chyba że wrócił do Guelph.

— Do swego rodzinnego miasta?

— Tak.

— Dlaczego właśnie tam?

— Nie wiem. Ale kiedy coś mnie gnębi, pomaga mi wyjazd do miejsca, gdzie się wychowałam. To jakby cofnięcie się do czasu, gdy wszystko było prostsze, tak myślę.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, chociaż sam mieszkałem w tym samym domu od dziecka i nigdy nie miałem innego. Nie mogłem wszakże zapominać, że ani Giselle, ani ja nie zaznaliśmy w dzieciństwie takich cierpień, jakie stały się udziałem Roberta.

— Czy mogę pójść teraz do niego?

— Dobrze, Giselle. Może pani zdoła wydobyć z prota coś, czego ja nie potrafię się dowiedzieć.

— Dzięki, doktorze B. — Zerwała się na równe nogi i musnęła mnie wargami w policzek, zanim wybiegła w podskokach. Niebawem wróciła w taki sam sposób.

— Tak przy okazji — rzuciła — czy mógłby pan zaopiekować się Oxie do czasu powrotu Roba?

Tak się złożyło, że nasz dalmatyńczyk, suczka Shasta Daisy, zmarła w sierpniu. Choć miała wtedy już prawie piętnaście lat i życie upłynęło jej szczęśliwie, wciąż odczuwaliśmy jej brak. Sypiała z nami, obserwowała świat z tylnego siedzenia w aucie, bawiła się z naszymi wnukami. Giselle znowu miała mnie w garści i dobrze o tym wiedziała.

— Oczywiście. Proszę go jutro przyprowadzić.

— I jeszcze coś...

— Cóż takiego?

— On jest wegetarianinem.

— Pies? Czy to w ogóle możliwe?

— Jasne. To tylko kwestia właściwie zbilansowanej diety. Dostarczę panu jadłospis.

— Dzięki — wymamrotałem.

Uśmiechnęła się promiennie. „Wiedziałaam, że mogę na pana liczyć.” Bardzo bym chciał być o sobie tego samego zdania.

Pewien czas po wyjściu Giselle spostrzegłem, że bez większego sensu usiłuję poukładać na nowo sterty papierów zalegających moje biurko. Stanowi to swego rodzaju rytuał, któremu hołduję za każdym razem, gdy jakieś niespodziewane i niepożądane nowe brzemienie spada na moje barki. Czego wśród tych papierów nie ma — prace naukowe, których nie recenzowałem, zaproszenia na konferencje, z których nie skorzystałem, mój własny nie dokończony artykuł, książki, wydawnictwa naukowe, katalogi, notesy, notatniki z żółtymi kartkami, samoprzylepne karteczki do robienia pospiesznych notatek i rozmaite inne pomoce służące wspomaganium pamięci, a za tym wszystkim, z

tyłu, fotografia całej mojej rodziny.

Spoglądałem na to zdjęcie z czułością, wspominając okoliczności, w których zostało zrobione — piknik w ogrodzie ponad siedem lat temu, gdy po raz pierwszy zaprosiłem prota do naszego domu, by sprawdzić, jaki wpływ na jego stan psychiczny będzie miało normalne środowisko rodzinne (wtedy jeszcze nic nie wiedziałem o Robercie). Ja wraz z moją żoną Karen siedzimy z przodu, Shasta u naszych stóp, z tyłu dzieci, Fred po lewej stronie, Will po prawej, a nasze córki Abby i Jennifer pomiędzy nimi. Palce Willa układają się w diable różki sterczące ponad moją głowę.

Jak wiele się zmieniło przez tych siedem lat! Will, w owym czasie dramatycznie uzależniony od kokainy uczeń szkoły średniej, teraz jest na trzecim roku studiów medycznych i osiąga świetne wyniki. Nadal pragnie zostać psychiatrą. Jego narzeczoną jest Dawn Siegel. Chcą się pobrać, jak tylko on skończy studia (mieszkają razem już od dwóch lat).

Jennifer była wtedy studentką medycyny, teraz specjalizuje się w leczeniu i profilaktyce AIDS na terenie San Francisco. Rzeczywiście, w Północnej Kalifornii stała się kimś znaczącym, bohaterką kilku artykułów w gazetach codziennych i ilustrowanych magazynach, i w swojej mogącej przygnębiać pracy jest niemal tak szczęśliwa jak Matka Teresa. Chociaż obowiązki nie pozwalają jej odwiedzać nas częściej niż raz lub dwa razy do roku, jesteśmy oczywiście ogromnie dumni z jej wielkich sukcesów i poświęcenia.

Ostatni rok był przełomowy dla Freda, którego kariera jako śpiewaka i aktora nie przestaje nas zdumiewać. Wystąpił w paru filmach i popularnych serialach, ale większość czasu poświęca scenie. W samej rzeczy w ubiegłym roku otrzymał po raz pierwszy rolę na Broadwayu, w Czynszu, przedstawieniu cieszącym się niezwykle powodzeniem, a teraz występuje w musicalu Nędznicy wystawianym przez wędrowną trupę (o tym, że potrafi śpiewać, dowiedzieliśmy się oglądając go w programie kabaretowym w Newark trochę później, niż powstało to zdjęcie). Freddy mieszka w East Village ze śliczną tancerką, ale nie chce rozmawiać o perspektywie małżeństwa, przynajmniej nie z nami. Karen jednak wciąż ma nadzieję.

Przeniosłem wzrok na Abby, najstarszą z czwórki, najbardziej z nich wszystkich bezpośrednią. Teraz dobiega już czterdziestki, ale nadal jest bardzo aktywna w różnych sprawach publicznych, zwłaszcza w kwestii praw zwierząt, która jej zdaniem wreszcie zyskuje należne zainteresowanie. „Ludzie zaczynają sobie uświadamiać, że zwierzęta mają swoje uczucia i swoją wrażliwość, czasem niewiele różniące się od naszych” — twierdzi. Podejrzewam, że jest ulubienicą prota.

Nasz zięć Steve, astronom (który zrobił to zdjęcie), i jego kolega Charles Flynn spełnili ważną rolę, potwierdzając rozległą wiedzę prota w dziedzinie astronomii, w tym także obecność kilku zidentyfikowanych przez niego planet w układach słonecznych Galaktyki. Doktor Flynn był nawet przez długi czas przekonany, że prot naprawdę jest przybyszem z planety K-PAX.

Wracając do mojej rodziny: dzieci Steve’a i Abby, Rain i Star, jeden ma lat trzynaście, drugi jedenaście, choć przyklejają się na kilka godzin dziennie do swych komputerów, wyrosli na zadziwiająco normalnych nastolatków, ruchliwych, lecz myślących i rozważnych.

Rain zamierza zostać harcemistrzem i zdobył już sporo skautowskich sprawności, dążąc do tego celu. Abby i jej rodzinę widzimy częściej niż inne dzieci, ale i tak zbyt rzadko. Wszystkie widzimy zbyt rzadko.

Być może zmieni się to w najbliższym roku. Karen, głównie dzięki tantiomom za filmową wersję K-PAX, postanowiła z końcem grudnia przejść na emeryturę. Zaplanowała już nasze wspólne podróże na trzydzieści następnych lat i wciąż mi przypomina, że im dłużej będę kontynuował pracę, tym mniej czasu nam zostanie. Pytam ją: „A co z moimi pacjentami?” „Nie możesz pozostać w szpitalu do końca życia” — odpowiada. — „Wcześniej lub później będziesz musiał przekazać ich komuś innemu.”

To nie takie łatwe, rzecz jasna, chociaż rozumiem jej punkt widzenia. Czasem nieomal chciałbym mieć wieloraką osobowość, żeby móc wieść równocześnie dwa życia albo i więcej — niestety podobnie jak większość ludzi muszę się ograniczyć do zaledwie jednego. Oby tylko przyniosło ono korzyść Robertowi Porterowi, obym pomógł mu dotrzeć do sedna jego problemów i wyprowadził go na długą drogę ku ostatecznemu wyzdrowieniu.

SESJA TRZYDZIESTA CZWARTA

W sobotę przywiozłem Oxeye do domu. Ten dalmatyńczyk, którego dawno temu podarowałem Robertowi z płonną nadzieją, że zachęci go do wyjścia z katatonii, mieszkał już u nas w latach 1991—1995. Karen była zachwycona widząc go znowu, a wraz z nią wszyscy inni. Abby ze swoją rodziną przyjechała aż z Princeton z jego powodu!

Moja najstarsza córka wyraźnie złagodniała w ostatnich latach i prawie wcale nie zawracała mi głowy swymi beznadziejnie liberalnymi poglądami. Może po prostu cieszyła się krótkim powrotem do domu. Albo też miało to jakiś związek z nieuchronnie nadchodzącą czterdziestą rocznicą jej urodzin. Co do Oxie, ten także czuł się szczęśliwy w naszym towarzystwie, choć intensywnie węszył za Shastą i skomlał przez pewien czas, nie mogąc jej odnaleźć (pochowaliśmy ją w jej ulubionym miejscu, przy naszym letnim domku w Adirondacks).

Po południu Rain i Star biegali wraz z psem po całym ogrodzie, podczas gdy dorośli gawędzili we wnętrzu domu. Pomimo negatywnych aspektów powrotu prota wszyscy radowali się, że wrócił, i oczekiwali, że przywiozę go znowu na rodzinny piknik z grillem, jako że w takich okolicznościach spotkali go przedtem.

— W zimie? — zaoponowałem.

Karen przypomniała, że zbliża się Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie.

— Może wtedy byś go do nas zaprosił?

Nie chciałem nawet o tym myśleć. Miałem wrażenie, że dopiero co pozdejmowaliśmy świąteczne dekoracje.

Wziąłem na bok Steve'a, mojego zięcia, i zagadnąłem o jego kolegę, Charliego Flynna, który niedawno powrócił z Libii z małą paczuszką odchodów tamtejszego gatunku pajaków (za specjalnym zezwoleniem pułkownika Kadafiego i w zamian za obietnicę odsetek od spodziewanego zysku). Według prota substancja ta zawiera pewien składnik nieodzowny dla zimnej syntezy jądrowej. Choć rezultaty jednorazowego niewielkiego eksperymentu (przeprowadzonego we współpracy z Wydziałem Fizyki) wydawały się obiecujące, niestety ilość odchodów była niewystarczająca do katalizowania procesu na szerszą skalę. Flynn, nie dając za wygraną, zaangażował się w zbieranie produktów przemiany materii różnych gatunków pajaków amerykańskich, w nadziei że ów kluczowy składnik uda się wyosobnić z tego materiału, co na dobre rozwiąże światowe problemy energetyczne, nie wspominając o jego własnych finansowych.

— Myślę, że teraz jest w Meksyku, gdzie szuka tarantul — zachichotał Steve.

Spytałem, czy są jakieś postępy w badaniach nad K-PAX i jej dwugwiezdnym systemem.

— No, ktoś z naszego zakładu odkrył coś, co wygląda na drugą planetę w tym systemie słonecznym. Zastanawiam się, dlaczego prot nigdy ci o niej nie wspomniał.

— Może nie wiedział o niej.

— Nie byłbym tego pewien. Tak czy owak możesz go zapytać. Planeta jest większa od K-PAX i orbituje daleko na zewnątrz układu dwóch słońc, a nie pomiędzy nimi jak K-PAX.

— Zapytam.

W tym momencie ukazał się Rain. Już nastolatek po mutacji, z dumą obnosił swój delikatny wąsik, który postanowił hodować. Znowu wystrzelił w górę, chyba o kilka cali, odkąd widzieliśmy go ostatnio, i prawie dorównywał mi wzrostem. Poczułem się jak „Albert Einstein”, jeden z moich pacjentów w IPM, który chciał rozpaczliwie spowolnić bieg czasu, a mógł tylko bezradnie spoglądać, jak on toczy się i toczy, unosząc go ze sobą i wraz z nami wszystkimi niczym jakaś niewidzialna lawina. Oczywiście to mi przypomniało, że czas do odlotu prota także przetacza się nieubłaganie, jak olbrzymi głaz, już blisko podnóża góry.

Jesienią 1997 roku, gdy zmarł Klaus Villers, poprzedni dyrektor szpitala, zostałem powołany na pełniącego zastępczo obowiązki dyrektora. Po przesłuchaniu kandydatów z zewnątrz na to stanowisko, a niektórzy byli bardziej zwariowani od naszych pacjentów, stało się oczywiste, że najlepszym dyrektorem będzie nasza koleżanka Virginia Goldfarb. Chociaż ma swoje przywary jak my wszyscy, jest bezstronna i uczciwa, a decyzje podejmuje po gruntownym przemyśleniu i rozważeniu wszystkich możliwości. Ponadto śledzi na bieżąco postępy w wielu dziedzinach psychiatrii, nie tylko w zakresie dwubiegunowych chorób afektywnych i manii wielkości, które są jej specjalnością. Wreszcie bije od niej wiara w siebie i zdecydowanie, co nie wychodzi na złe naszej instytucji, wечно zabiegającej o środki na swe utrzymanie. Naprawdę uważam, że jest odpowiednią osobą, by wprowadzić Instytut Psychiatrii w Manhattanie w wiek dwudziesty pierwszy (choć nie byłem zachwycony, kiedy obciążyla mnie pracą w Komitecie nadzorującym budowę nowego skrzydła szpitala, co zajmuje niesamowitą ilość czasu).

W poniedziałek rano jak zwykle odbyło się zebranie personelu pod jej przewodnictwem. Ogromne zainteresowanie wzbudziło ponowne pojawienie się prota, a w związku z tym także to, jak można rozumieć stan psychiczny nie tylko Roberta Pottera, ale i innych pacjentów cierpiących na tę przedziwną chorobę, jaką jest zespół wielorakiej osobowości. Chociaż nawracające regresje do rozmaitych wtórnych osobowości nie są czymś niezwykłym, zazwyczaj za każdym kolejnym razem łatwiej można doprowadzić pacjenta do ponownej integracji. Jednakże w przypadku Roberta/prota sprawę skomplikowało zniknięcie wyjściowego alter ego.

To doprowadziło do rozważań, czym właściwie jest alter ego, inaczej mówiąc, czym wtórna czy jakakolwiek inna osobowość różni się od osobowości pierwotnej, a czym od w pełni zintegrowanej ludzkiej istoty.

Czy są to całkowicie odmienne indywidualności? Czy też te różne alter ego stanowią po prostu „części” jakiejś całości, różniące się specyficznymi deficytami w myśleniu i emocjach? Czy każdy z nas jest po prostu mieszaniną różnych osobowości, naprzemiennie dominujących zależnie od okoliczności? Jeżeli tak, to która z nich jest odpowiedzialna za skutki naszych działań? Wszystko to jest bardzo interesujące, powiedziałem w końcu, ale jakie szczególne zalecenia wynikają stąd w przypadku Roberta Portera, mojego pacjenta z nawrotem choroby?

Ron Menninger zauważył, że MPD* różni się od innych psychiatrycznych zespołów tym, że aktywne leczenie farmakologiczne pacjenta, jeżeli w ogóle jest dla niego pomocne, może okazać się niszczące dla alter ego, jednego lub paru, a nawet może uniemożliwić pełną integrację jego osobowości (w tym momencie zacząłem się zastanawiać, ile różnych alter ego tak naprawdę istnieje w przypadku Roberta).

Wszyscy zgodzili się w końcu, że jeszcze przez pewien czas powinienem kontynuować terapię psychoanalityczną, i wyrazili nadzieję, że wgłębianie się w psychikę prota dostarczy dalszych informacji o wydarzeniach z życia Roberta, to znaczy jego wyjściowego alter ego, podobnie jak to miało miejsce przed siedmioma laty. Na przykład prota szczególny wstręt do pieniędzy, a ogólny do kapitalizmu, mógł mieć związek z ogromnym zadłużeniem rodziny Roberta po fatalnym w skutkach wypadku jego ojca.

Oczywiście nad tym wszystkim można było jeszcze dyskutować, lecz przynajmniej w jednej sprawie osiągnęliśmy porozumienie: tym razem żadnych występów prota w telewizji! Przez całe dwa lata od czasu jego telewizyjnego talk show wciąż odbieraliśmy listy i telefony od ludzi, którzy pragnęli go spotkać, spożytkować jego niezwykle zdolności albo też wybrać się z nim w podróż międzyplanetarną. Bardziej jeszcze niepokojące były informacje od kilku osób z różnych krajów, że spotkały się z nim, niektórzy nawet twierdzili, że zabrał ich na przejażdżkę swym kosmicznym pojazdem

MPD — multiple personalny disease (ang.) — zespół wielorakiej osobowości.

i przesłuchiwał. Pewna Francuzka utrzymywała, że jest z nim w ciąży. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z ogromnej odrazy prota wobec aktu zapłodnienia, bez wątplenia wiążącej się ściśle z wykorzystywaniem seksualnym Roberta w dzieciństwie.

Potem odbyła się wstępna dyskusja nad kandydaturą kogoś, kto mógłby zastąpić Carla Thorsteina, który podjął starania o zatrudnienie w innym miejscu. A dopiero co znaleźliśmy następczynię Klausa Villersa (Laurę Chang), zmarłego prawie dokładnie w czasie „zniknięcia” prota w roku 1995!

Na koniec pojawił się temat innych trudnych pacjentów. Jednym z nich jest wspomniany już „Albert Einstein”, fizyk chińsko-amerykańskiego pochodzenia, który uważa, że czas nie tylko płynie, ale przyspiesza. Jego kariera jeszcze parę miesięcy temu zapowiadała się pomyślnie, aż doszło do jej załamania w chwili, gdy wygłaszał wykład na temat natury czasu podczas międzynarodowej konferencji naukowej.

Każdy ulega złudzeniu, że w miarę upływu lat czas biegnie coraz szybciej. Na wspomnianej konferencji Albert przedstawił hipotezę, że jest to niezbity fakt mający związek z ekspansją wszechświata. Nieomal płacząc, stwierdził w obecności zszokowanych naukowców, że czas gwałtownie przyspiesza, życie zaś przepływa obok niego, jak również obok jego słuchaczy — i obok nas wszystkich. Po konsultacji ze swoim psychiatrą został skierowany do „Dużego Instytutu” przy Uniwersytecie Columbia, gdzie był leczony bardzo aktywnie, lecz bez sukcesu, elektrowstrząsami i innymi metodami, aż w końcu znalazł się u nas. Większość czasu spędza w swoim pokoju,

zaopatrzone w mnóstwo ołówków i stosy papieru, gorączkowo usiłując odnaleźć to, co niemożliwe — matematyczny sposób na spowolnienie czasu albo nawet jego zatrzymanie. Paradoksalnie, gdy jest już zbytnio zmęczony, aby myśleć, siada w bezruchu i niczym się nie zajmuje starając się, by minuty przepływały jak najwolniej. Śpi krótko, tak jak wielu naszych pacjentów. Podczas każdej sesji psychoanalitycznej lamentuje i nie może sobie znaleźć miejsca, najwyraźniej wielce udręczony,

na koniec zrywa się i biegnie do drzwi, z nadzieją że w jakiś sposób odzyska stracony czas.

Następnie dyskutowano o pewnej kobiecie cierpiącej czy to na schizofrenię szczególnego rodzaju, czy też może na nieznaną dotychczas postać choroby afektywnej dwubiegunowej (dawniej określanej jako zespół maniakalno-depresyjny). Ta pacjentka, którą nazywamy Alice, niekiedy czuje się jak robaczek w świecie olbrzymów. Odczuwa wtedy lęk przed rozdeptaniem, utonięciem w filiżance herbaty, połknięciem przez kota i tak dalej. Kiedy indziej odczuwa, że jest olbrzymią, wszechmocną i wszystko bez wyjątku ma pod swoją kontrolą, włączając w to personel i pozostałych pacjentów. W innych jeszcze momentach wydaje się całkowicie normalna i bezustannie nęka swoją panią doktor (Goldfarb), by „wypuściła ją z tego domu wariatów”. Nie znaleźliśmy jeszcze przyczyny tego przedziwnego schorzenia, podobnie jak i wielu innych fobii, natręctw i dewiacji społecznych, których ofiarom w najmniejszym stopniu nie udało się pomóc, nawet przy użyciu najnowszych i najsilniejszych neuroleptyków.

Carl Beamish wsparł propozycję Virginii Goldfarb, by prot porozmawiał z niektórymi spośród tych trudnych pacjentów. W samej rzeczy podejrzewam, że właśnie po to włączono ten temat do programu zebrania. Nikt nie zgłaszał sprzeciwu, poza mną samym. Argumentowałem, tak jak wcześniej, że chociaż wykazał w przeszłości zdumiewającą zdolność pomagania tym nieszczęśnikom, jesteśmy odpowiedzialni przede wszystkim za Roberta i jego terapię. Rzeczywiście, wydawało się, że znaleźliśmy się w tym samym miejscu, co w roku 1990, wciąż jeszcze nie wiedząc, co leży u podłoża trudności Roberta w radzeniu sobie z otaczającym światem ani też, jak je zgłębić. Zgodziłem się jednak, by zapytać prota o jego prognozy co do innych pacjentów, prosząc równocześnie wszystkich obecnych, by przepytali swoich podopiecznych na okoliczność ich planów podróźniczych.

Moją główną troską było wszakże ponowne włączenie mocnej osobowości prota w osobowość Roberta Portera, by jego rodzina mogła zaistnieć na nowo, by Giselle odzyskała swojego męża, a mały Gene utraconego ojca.

Gdy wszedł do pokoju badań następnego ranka, wydawał się radosny i odprężony.

— Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Weteranów! — wykrzyknął, sięgając po gruszkę. Patrzyłem, jak zjada ją w całości z ogryzkiem, mlaskając jak zwykle wargami, co było czarownym, a zarazem obrzydliwym widowiskiem.

— Pan wie, co to jest Dzień Weteranów?

— Tylko tyle, że kiedyś nazywano go Rocznicą Rozejmu. Ale zmieniliście tę nazwę, ponieważ zawiera złe skojarzenia.

— Jakie mianowicie?

Chrup, chrup, chrup.

— Że pokój jest czymś dobrym. Wolicie czcić swoich wojowników... no, wie pan, to ułatwia rekrutowanie nowych. — Kawałeczek gruszki (odmiana Bartlett) pofrunął przez pokój.

— Pan uważa, że nasz gatunek jest porywczy i wojowniczy, czyż nie tak?

Wlepił we mnie rozbawiony wzrok.

— Gdyby taki nie był, czy uczylibyście wasze dzieci, że zabijanie „wrogów” przynosi „sławę”?

— Nie uczyłem moich dzieci...

— Posyłał je pan do szkoły, prawda? Oglądały telewizję, prawda? Zabierał je pan nawet do Gettysburga!* Cóż więc innego miałyby myśleć o tych wszystkich bohaterskich bitwach na przeróżnych wojnach?

Wpatrywałem się w niego w przyćmionym świetle. Siedział, podłożywszy jedną nogę pod siebie, wyglądało to rozbajająco.

— Proszę mi powiedzieć, czy Robert bawił się żołnierzami?

— Parę takich widziałem podczas pierwszej wizyty.

— Tylko wówczas?

— Tak.

Miejscowość w stanie Pensylwania, gdzie poniosły klęskę siły Konfederatów w Wojnie Cywilnej (1863), cmentarz wojenny i miejsce pamięci narodowej.

— Czy później miał jakieś problemy z wojskiem? Uniósł brwi.

— A niby skąd miałbym to wiedzieć?

— Nigdy nie mówił, że chce iść do wojska albo może, że nie chce?

— Nie. Nigdy.

Zapisałem sobie, żeby sprawdzić, czy ktoś z przyjaciół lub krewnych Roberta nie zginął w Wietnamie. A także czy zabójca jego żony i córki nie miał na sobie munduru wojskowego.

Gdy prot zagłębił zęby w następnej gruszce, zapytałem, jak się czuje po powrocie do IPM.

— Od czasu gdy tu byłem ostatnio, przyjęliście paru pacjentów... nowe interesujące istoty na każdym oddziale.

Odnutowałem w pamięci, aby wrócić do tego wątku, gdy tylko czas pozwoli.

— Doktor Chakraborty powiedział mi, że jest pan w znakomitej formie jak na swój wiek.

Uśmiechnął się.

— A nie mówiłem?

Nie podjąłem dyskusji na ten temat. Przede wszystkim chciałem pobrać mu próbkę krwi, by porównać ją z poprzednim badaniem, które wskazywało, że jego i Roberta DNA są zupełnie odmienne, zakładając, że ktoś nie pomylił probówek (co zdarza się częściej, niż moglibyście sobie wyobrazić). W każdym razie, za parę tygodni mielibyśmy wyniki.

— Pamięta pan Steve'a, mojego zięcia? — zapytałem.

— Oczywiście. Pamiętam. Astronom.

— Powiedział mi, że istnieje jeszcze jedna planeta, która krąży wokół K-MON i K-RIL. Czy to prawda?

— Nie. To n i e jest prawda.

— Nie??

DNA — kwas dezoksyrybonukleinowy, podstawowy składnik budulcowy genów i ich kompleksów — chromosomów. Całokształt struktury i funkcji genów istoty żyjącej nosi nazwę genomu. Warto przypomnieć w tym miejscu, że Gene Brewer, zanim wybrał karierę pisarza, był biochemikiem i zajmował się badaniami nad DNA.

— Tak jak pan słyszy. W rzeczywistości jest jeszcze osiem innych planet. Ale w większości są zbyt małe, by wykryć je z ZIEMI tak prymitywnymi metodami, przy jakich dotąd trwacie.

— Dlaczego nic mi pan o nich nie powiedział wcześniej?

— Drogi panie, ponieważ pan nigdy o to nie pytał.

— No dobrze, a czy któreś z nich są zamieszkane?

— Przypuszczam, że chodzi panu o ludzi?

— Nie, chodzi mi o jakiegokolwiek żywe istoty.

— Też nie. Oczywiście jeśli nie liczyć sporadycznych turystów.

— Inaczej mówiąc, wasz system słoneczny jest bardzo podobny do naszego.

— Oczywiście.

— Czy nie uważa pan, że to interesujące?

Zignorował przebiegłość ukrytą w mojej uwadze.

— Nieszczególnie. Dla pana informacji, doktorze, i spowinowaconych z panem astronomów: większość układów słonecznych w całej GALAKTYCE stosuje się do takiego schematu. Ale tylko jedna PLANETA na pięćset podtrzymuje życie, w takim znaczeniu, o jakim pan mówi.

Uśmiechnąłem się, być może zbyt chytrze.

— Jednak czy każdy z tych układów słonecznych posiada po dziewięć planet? Pytam z czystej ciekawości.

Wyszczrzyłem zęby protekcyjnie, czego również wydawał się nie zauważać.

— Nie, włączając w to wasz. Wielu GWIAZDOM nie towarzyszą żadne PLANETY. Niektóre posiadają ich setkę albo i więcej. Średnio kilkanaście. Oczywiście nie licząc małych skalnych odłamów, które nazywacie „asteroidami”.

— Chciał pan powiedzieć, że Ziemia nie jest jedną z dziewięciu planet?

— Poza orbitą PLUTONA jest jeszcze kilka, których dotąd nie odkryliście.

Pominałem to milczeniem, gdyż z tym akurat nie sposób było dyskutować.

— Są jakieś wiadomości od Roberta?

— Ani trochę.

— I dalej pan nie wie, dokąd się udał?

— Nie mam pojęcia.

— A czy gdyby pan zechciał, potrafiłby pan go odnaleźć?

— Być może. Ale nie sądzi pan, że on najwyraźniej nie pragnie być odnaleziony?

— Prot, chcę pana poprosić o jeszcze jedną przysługę.

— Znowu to samo.

— Chcę pana prosić o usilne poszukiwanie Roberta. A gdy go pan znajdzie, proszę mu przekazać parę słów ode mnie. Proszę mu powiedzieć, że w tej chwili nie chcę mu przeszkadzać, że oczekujemy tylko jakichkolwiek wieści od niego, ja i Giselle. Na przykład czy pragnąłby kontynuować studia. Potem może powrócić tam, gdzie przebywa. Zrobi pan to?

— To bardzo sprytnie pomyślane, doktorze, jeżeli mogę wyrazić swoje zdanie. — Schrupał i

połknął resztę ogryzka. — Dobrze, zobaczę, co da się zrobić.

— Dziękuję, prot, doceniam to.

— Nie widzę problemu. — Iz całkowitą powagą dodał: — A gdzie by pan radził go szukać?

Przypatrywałem mu się badawczo, nie będąc pewny, czy mówi serio czy też żartuje. Przypomniało mi się coś, o czym bez większego przekonania rozmyślałem pewnej bezsennej nocy. Powiedziałem mu, że chcę porozmawiać z Paulem.

— Mam teraz sobie pomyśleć o czymś przyjemnym, coś w tym rodzaju?

— Jasne, jeśli tylko pan zechce. Proszę pomyśleć o locie balonem nad K-PAX, o partii baseballu z Babe Ruth albo o czymkolwiek takim.

Zamknął oczy i uśmiech szczęścia rozjaśnił mu twarz, zupełnie jakby znajdował się właśnie w wirze wspaniałej przygody. Odczekałem chwilę.

— Paul? Mógłbyś się ukazać?

Sławny baseballista amerykański okresu międzywojennego.

(Paul, jedno z alter ego Roberta, pojawił się po raz pierwszy, gdy Robert wchodził w okres dojrzewania i nie potrafił sobie poradzić ze zwyczajnymi w tym wieku impulsami, ponieważ był wykorzystywany seksualnie we wczesnym dzieciństwie. Prot był w takich sprawach zupełnie bezużyteczny. W późniejszym okresie Paul ochoczo wypełniał małżeńskie powinności wobec Sary, tragicznie zmarłej żony Roberta.)

Prot przesunął się nieznacznie w fotelu, ale Paul się nie ujawnił.

— Może byś tak wreszcie wyszedł, Paul — powiedziałem. — I tak potrafię cię wywołać za pomocą hipnozy, ilekroć zechcę.

Nie byłem tego pewny, ale Paul na szczęście nie mógł o tym wiedzieć. Z wolna otworzył oczy i przeciągnął się leniwie.

— Aa, cześć, doktorze. Jak się mamy?

Wpatrywałem się w jego oczy. Były swawolne, psotne, tak jak oczy prota.

— Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? To było parę lat temu.

— A wydaje się, że wczoraj.

— Co nowego ci się przydarzyło od tego czasu?

— Niewiele.

— Nie pokazywałeś się, odkąd Rob opuścił szpital?

— Tylko parę razy na tydzień.

Ta wielce konkretna odpowiedź trochę mnie zaskoczyła.

— Naprawdę? Co robiłeś, gdy się pojawiałeś?

— Och, to i owo. Najczęściej starałem się zaspokoić potrzeby Giselle. Ten jej niewinny wygląd jest zwodniczy, w łóżku jest tygrysem. Czy też tygrysićką...?

Poczułem przygnębienie. Jeśli Paul wypełniał obowiązki małżeńskie Roba w ostatnich latach, czynił to prawdopodobnie także w roku 1995. Lecz czy Robert był tego świadomy? Dlaczego miałby udawać, że dokonuje wspaniałych postępów w terapii, samemu pozostając nadal w tak nieszczęsnym stanie jak poprzednio? Czy stwarzał pozory, że „wraca do zdrowia”, po to, by odciągnąć naszą uwagę od czegoś znacznie gorszego niż jego głębokie zaburzenia seksualne?

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko pogodzić się z biegiem rzeczy.

— Czy wiesz, czym zajmował się Robert przez ostatnie dwa lata?

— Mniej więcej. Dużo się uczy. Nudziarstwo. Zwykle zasypiam przy tym. Kocham spać.

— Masz szczęście — powiedziałem z zazdrością. — Ale wiesz, co działo się z nim przez większość czasu, prawda?

— Oczywiście. Oczywiście. Cały czas śledziłem osobiste życie Roba. Musiałem być w pogotowiu, na wypadek jeśli znów zawiedzie, rozumie pan.

— Tak, myślę, że wreszcie rozumiem. — W rzeczywistości czułem się jak cholerny głupiec i niewiele brakowało, żebym się do tego przyznał. — Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia? Coś, co widziałeś lub słyszałeś, a o czym powinien dowiedzieć się lekarz Roba?

Drapał się po brodzie, spoglądając w sufit.

— Nie mogę sobie nic takiego przypomnieć, doktorze. Jego narządy wydają się funkcjonować całkiem dobrze.

— A ostatni czwartek? Czy wiedziałeś, że Rob przywołał znowu prota?

— Jasne, nie mogłem przegapić czegoś tak oczywistego.

— Co on wtedy robił?

— Kapał dziecko, moje dziecko. Tego pieprzonego bękarcika.

— Czy coś się zdarzyło, gdy to robił? Źle się poczuł, zaczął krzyczeć, może zemdlał, coś w

tym rodzaju?

— Nic takiego. Po prostu nagle pojawił się prot, a Rob zniknął.

— Kto zakończył kąpiel?

— Chyba prot. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie wiem. A jak ty uważasz?

Zastanawiał się chwilę.

— Też nie wiem.

— No dobrze, a czy wiesz, dokąd Rob się udał?

— Nie mam pojęcia. Gdy mu się przytrafia coś takiego, potrafi zniknąć jak kamfora, przeklęty!

— Dlaczego „przeklęty”?

— Żartuje pan? Jak nie ma Roba, to nie ma figo-fago.

— Paul, kiedy Rob przywołał cię po raz pierwszy?

— Nie pamiętam, miał może dwanaście albo trzynaście lat. Coś koło tego.

— I odtąd się pojawiałeś?

— Od czasu do czasu.

— Powiedz mi, jak często cię wzywał i w jakich sytuacjach?

— Mówiłem już panu, potrzebował, żeby ktoś go zastąpił, kiedy miał erekcję i coś musiał zrobić.

— Z dziewczyną?

— Najczęściej z samym sobą.

— A później z dziewczynami.

— Tylko z jedną. Zaraz, jak ona miała na imię? A, tak, Sara. Tyle że on ją nazywał Sally. Trochę zwariowana, ale dobra w łóżku. — Uśmiechał się inaczej niż prot, była w nim jakaś złośliwość. — Inna niż Giselle. Chyba każda kobieta jest inna. Ja miałem tylko dwie. — Wyprostował się, spojrział na mnie (dotąd przebiegał wzrokiem tu i tam, nigdzie nie zatrzymując go dłużej niż na chwilę) i puścił oko. — Pan chyba lepiej się na tym zna ode mnie...

Całkowicie się mylił, ale nie zamierzałem wyprowadzać go z błędu.

— To znaczy... ukrywałaś się i czekałaś na odpowiedni moment?

— Coś w tym rodzaju.

— A co z Harrym? Co on porabia?

— Ten gówniarz? Od dawna nie daje znaku życia...

— O ile dobrze pamiętam, oprócz Roba, prota i Harry'ego i ciebie nie ma nikogo więcej.

— Mówiłem to już panu parę lat temu. Nękał pan Roba w ten sam sposób i proszę popatrzeć, co z tego wynikło.

— W porządku, Paul, to wszystko na dzisiaj. Możesz spać dalej.

Ziewnął.

— Do widzenia, doktorze. Przy okazji, ma pan jakichś innych pacjentów, którzy potrzebowaliby mojej pomocy? Jestem napalony jak diabli.

— W razie czego dam ci znać.

Wzruszył ramionami, kiwnął głową i z wolna zamknął oczy.

Nie zmartwiło mnie zniknięcie tego odrażającego młodzieniaszka, którego zainteresowania nie wydawały się wiele wykraczać poza sprawy seksualne. Być może bardziej chodziło tu o moje własne kompleksy niż jego rozwiązłość, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Zanim powrócił prot, przywołałem jeszcze Harry'ego. (Harry pojawiał się zawsze, gdy Rob był gwałcony przez swego wuja. Zaiste można sądzić, że to właśnie on, nie sam Robert, zabił mordercę żony i córki Roberta, prawdopodobnie myląc go z wujem Da-ve'em.) Trochę trwało, zanim się pojawił, ale w końcu otworzył oczy i mrugając zaczął się rozglądać wokół. Wyglądało na to, że próbuje się zorientować, gdzie się znalazł.

— Hej, Harry. Jak się masz? — Brodaty pięciolatek to doprawdy komiczny widok.

— Chyba dobrze. — Zmarszczył czoło. — To pan jest tym doktorem, prawda?

— Pamiętasz mnie?

— Co się stało z pana brodą? — Nie zdając sobie sprawy z własnego zarostu, podłubał w nosie i wytarł palec o spodnie.

— Och, zostawiłem ją w domu w słoiku. Wytrzeszczył oczy, ale nic nie powiedział.

— Co porabiałaś przez ostatnie lata?

— Po prostu czekałem.

— Na wujka Dave'a?

— Tak.

— Czy mogę cię o coś zapytać?

Zaszurał nogami.

— Chyba tak.

— Czy byłeś przy ostatnim powrocie prota? Wsparł się o poręczę plastikowego fotela.

— Kto to jest prot?

— Nieważne. Czy byłeś przy zniknięciu Roba w ostatnim tygodniu?

— Aha.

— Co właściwie się wtedy wydarzyło?

Znów zmarszczył czoło.

— Nie wiem. — Miał zatkany nos, jakby z powodu kataru. — Kogoś kąpał.

— I odszedł bez uprzedzenia?

— Tak mi się wydaje.

— Nie wiesz, gdzie Rob się udał?

Rozglądnał się po pokoju.

— Nie — powiedział, choć zabrzmiało to bardziej jak „gdzie”.

— W porządku. Czy pytałem cię już kiedyś o kogoś innego, kto żyje razem z tobą i Robertem?

Wzruszył ramionami.

— Nie przypominam sobie.

— A jest ktoś taki?

— Nie wiem.

— Paul?

— He?

— Nie znasz Paula?

Zaczął bawić się guzikami przy koszuli.

— Y-y.

— A kogoś innego oprócz Robina? — (Tak nazywano Roberta w dzieciństwie.)

-Y-y.

— To może chcesz mi powiedzieć coś jeszcze na temat Roba?

Pokręcił przecząco głową.

— W porządku, Harry. Możesz odejść.

Zanim zamknął oczy, raz jeszcze rozglądnął się wokół.

Czekałem chwilę na ponowne przybycie prota, ale jak się okazało niepotrzebnie. On już tam siedział, najwyraźniej pogrążony we śnie.

— Prot?

Błyskawicznie rozwarł powieki.

— Obecny i w pełni świadomy.

— Czy słyszał pan cokolwiek z mojej rozmowy z Paulem i Harrym?

— Ani słowa. Czy coś mi umknęło?

— Niestety bardzo wiele. I panu, i mnie. No dobrze. Nasz czas dobiega końca. — Może pan już wracać na Oddział Drugi.

— Tak szybko? — Wychodząc pochwycił ostatnią gruszkę. — Do zobaczenia w piątek — zawołał.

— Proszę zaczekać, byłbym zapomniał... — Odnalazłem ogromny plik korespondencji, spięty dwiema grubymi gumkami, który przekazano mi z sekretariatu. — To wszystko trafiło do nas podczas pańskiej nieobecności. Nie zostawił pan adresu — dodałem uszczypliwie.

Wziął paczkę, nie zwracając uwagi na mój komentarz.

— Dzięki, doktorze. — Przejrzał szybko parę listów. — Mam nadzieję, że żadna z tych istot nie zamierza udać się na K-PAX. Lista pasażerów jest już prawie zamknięta.

Wyszedł, a ja wciąż ze zdumieniem myślałem o emanującej z niego pewności siebie, o jego przeświadczeniu, że naprawdę jest mieszkańcem K-PAX. Nie miał co do tego ani cienia wątpliwości. Ale podobnie jest z innymi: nasz aktualny „Chrystus” dałby sobie głowę uciąć, że jest synem Boga, a „Krezuski” — rezydentki szpitalnej — nic nie jest w stanie odwieść od przekonania, że jest bogatą i wiele znaczącą kobietą. Każdy z urojeniowych pacjentów sądzi, że jest kimś innym, niż jest faktycznie. Skoro już o tym mowa, zapewne nie ma człowieka, który by nie był siedliskiem urojeń, uważając się za bardziej atrakcyjnego lub mniej atrakcyjnego, za mądrzejszego lub głupszego, niż jest naprawdę. Wszelako nie można wykluczyć, że jesteśmy właśnie tacy, za jakich się uważamy. Prot w tej jednej sprawie ma rację: prawdą jest to, co przyjmujemy za prawdę.

Pomysł, który wpadł mi do głowy minionej nocy, okazał się do niczego. Ani Paul, ani Harry nie okazali się pomocni w wyjaśnianiu tego, co w istocie wydarzyło się przed tygodniem, potwierdzili tylko, że zdecydowanie zbyt szybki powrót Roberta do zdrowia w 1995 roku był udawany. Paul wykazywał małe zainteresowanie Robertem, a protem jeszcze mniejsze (na miarę gratyfikacji seksualnej, związanej z ich obecnością). Harry z kolei, ten wieczny pięciolatek, ewidentnie nie był świadomy istnienia pozostałych osobowości (oczywiście oprócz Roberta).

Jeżeli nie istniał tam ktoś jeszcze, o kim się dotąd nie dowiedziałem, cała moja nadzieja spoczywała w procie.

Niestety tym razem nie wydawał się chętny do pracy nad Robertem, być może z powodu jego nieprzejednanego (z punktu widzenia prota) stanowiska. Od paru lat usiłował go przecież namówić (bezsukcesywnie!) do opuszczenia świata, z którym Robert nie mógł sobie poradzić, i odlotu wraz z nim na idylliczną planetę K-PAX.

Pozostawało pytanie: co przydarzyło się Robertowi i dlaczego właśnie wtedy? Czy miało to cokolwiek wspólnego z kąpielą dziecka? No i jak mam zakomunikować Giselle, że sypiała z dwoma różnymi mężczyznami i że to Paul, nie Robert, jest ojcem małego Gene’a? Myśl o emeryturze zaczęła mnie znowu nękać niczym natrętna mucha i nawet nie próbowałem jej odpędzać. Niemalże współczułem Willowi, który był już na trzecim roku studiów medycznych. Zaraz jednak przypomniałem sobie własne studenckie lata i trudny, lecz ekscytujący okres rezydentury. Gdybym mógł przeżyć życie raz jeszcze, prawdopodobnie postępowałbym tak samo i popełniał te same błędy, godząc się na wszystko, na dobre i na złe.

Zwolniwszy prota parę minut przed czasem, ochoczo skorzystałem z przechadzki po terenie szpitala. Po pierwsze chciałem zobaczyć, jak postępują prace nad konstrukcją nowego skrzydła budynku, czyli Laboratorium Eksperymentalnej Terapii i Rehabilitacji imienia Klause i Emmy Villersów, po drugie zaś, ważniejsze nawet, lata pracy pozwoliły mi zrozumieć, że wiele można się nauczyć z nieformalnych spotkań z pacjentami. Poza tym im więcej kontaktów z nimi, tym łatwiej można zauważyć subtelne zmiany w ich postępowaniu, które przeoczyłoby się w bardziej konwencjonalnych warunkach pokoju badań. Wreszcie, był ładny słoneczny dzień, pewnie jeden z ostatnich takich w tym roku.

Przechadzając się wokół budynku spostrzegłem Ophelię, siedzącą wraz z Alexem na ławce w pobliżu bocznego wejścia, i wolnym krokiem ruszyłem w ich kierunku. Ophelia jest młodą kobietą, która uczyni wszystko, co ktokolwiek jej poleci.

Będąc sierotą, przenoszona z jednej rodziny do drugiej, już we wczesnym dzieciństwie obsesyjnie starała się zadowolić kolejnych zastępczych rodziców, żeby tylko nie oddali jej komuś innemu. Obwiniła się dosłownie o wszystko, każde niepowodzenie przypisując sobie, trochę jak anorektyczka, która nigdy nie potrafi uznać się za wystarczająco szczupłą. Jak na ironię, jej przesadnie schlebiające zachowanie zniechęcało wielu potencjalnych rodziców. Co więcej, w każdej niemal sytuacji narażała ją na obelgi ze strony czy to nauczycieli i kolegów w szkole, czy pracodawców i współpracowników. W konsekwencji przestała ufać komukolwiek, nadal beznadziejnie dostosowując się do każdego życzenia czy polecenia. Znalaziono ją wędrującą po Central Parku tuż po tym, jak zgwałcił ją komiwojażer sprzedający obuwie, i w końcu trafiła do nas.

Towarzyszącego jej pacjenta ochrzciliśmy „Alex Trebek” — nazwiskiem prezentera popularnego kwizu telewizyjnego „Va banque”. Jako że prawdziwy Trebek sprawia wrażenie, iż swoje zajęcie wykonuje bez wysiłku, nasz Alex święcie wierzy, że on sam (a być może i każdy) potrafiłby prowadzić teleturniej równie dobrze. Zgłosił nawet gotowość zastąpienia pana Trebeka w każdej chwili, bez potrzeby wcześniejszego powiadomienia. Uważając, że podobnie jak w wypadku kariery wiodącej do Carnegie Hall grunt to nieustające ćwiczenia, przemierza oddziały i tereny szpitala z okrzykami: „Tak jest!”, „Zgadza się!” oraz „Prawidłowa odpowiedź!” Samo to nie byłoby wystarczającą przyczyną, by zamknąć go w naszym Instytucie, wszelako problem polega na tym, że są to jedyne słowa, jakich używa.

Jak to bywa z większością pacjentów psychiatrycznych, także ten przypadek ma swoją humorystyczną stronę. Ze swym wąsikiem, sportową marynarką i krawatem przypomina prawdziwego prezentera telewizyjnego show i — mimo naszych zaprzeczeń — wielu odwiedzających pozostaje w przekonaniu, że Alex Trebek jest pacjentem IPM.

Przystanąłem przy ławce i zapytałem, czy któreś z nich rozmawiało już z protem. Ophelia spytała od razu, czy według mnie byłoby to wskazane (żebym sobie nie pomyślał, że była nieposłuszna, jak sądzę).

— Jest mi to zupełnie obojętne — zapewniłem ją — pytam z ciekawości.

Przyznała, że przez parę minut rozmawiała z protem podczas minionego weekendu.

— Prawidłowa odpowiedź! — potwierdził Alex.

— Zapytał cię, czy chciałabyś polecieć na K-PAX?

— Czy nie byłoby panu przykro, gdybym odpowiedziała, że tak?

— Nie.

— Wszyscy chcemy polecieć — powiedziała otwarcie i rzeczowo. — Ale on może zabrać tylko sto osób.

— Zgadza się!

W tym momencie jeden z naszych ekshibicjonistów wychylił się zza drzewa i zademonstrował

nam swoją nagą stopę. Ponieważ nikt nie zareagował, podniósł z ziemi but i oddalił się chyłkiem.

— A czy podtrzymywał twoją nadzieję?

— Czy byłoby to niewłaściwe?

— Nie.

— Mówił, że podróż jest dostępna dla każdego. Lista pasażerów nie została jeszcze zamknięta.

— Chciałabyś się na niej znaleźć?

— Czy zmartwiłby się pan, gdybym odpowiedziała „tak”?

— Każda odpowiedź będzie dobra.

— Powiedziałam mu, że będę szczęśliwa, postępując tak, jak on zechce.

— Tak jest! — wykrzyknął Alex.

Dostrzegłszy, że Cassandra zamierza opuścić swe ulubione miejsce niedaleko od nas, przeprosiłem ich i pospieszyłem w jej kierunku. Ophelia wydawała się, jak zazwyczaj, zaniepokojona tym, że ją pozostawiam, mając prawdopodobnie poczucie, że mnie czymś uraziła.

Musiałem porozmawiać z naszą pacjentką prorokinią, której umiejętność przewidywania przyszłych wydarzeń mogła dopomóc w ustaleniu, co prot zamierza w sprawach innych pacjentów.

— Dzień dobry, Cassandro! — zawołałem.

Przystanęła i usiłowała się skoncentrować na realności mojego pojawienia się.

Chcąc nie chcąc spostrzegłem, że jest w dołku.

— Coś się stało, Cassie?

Przyglądała mi się przez parę minut, po czym odwróciła się i oddaliła wolnym krokiem. Nie podobało mi się to. Coś takiego oznaczało zwykle, że dostrzegła jakieś znaki na niebie wskazujące, że wydarzy się coś złego. I wtedy nie było sposobu, by dowiedzieć się, o co chodzi, dopóki nie była gotowa sama tego wyjawić.

Wtedy pojawił się Milton.

— Pewien mężczyzna wraca do domu i widzi, że budynek spłonął doszczętnie. Psiakrew, mówi, znowu się spóźniłem.

Ponieważ nie roześmiałem się, wyjął z kieszeni trzy wielkie ziarna wyluskane z przywiedłego

słonecznika, jakich wiele rośło przy tylnym ogrodzeniu, i zaczął nimi żonglować. Śledziłem wzrokiem Cassandrę, znikającą w grupie pacjentów stłoczonych niczym stado owiec wokół fontanny (wyłączonej już na zimowe miesiące). Była wśród nich „Joanna d’Arc”, która nie zna znaczenia słowa „strach”, i był „Don Supełko”, który boi się wszystkiego. Przyszło mi niespodzianie na myśl, że ich „niekompletna” psychika przypomina cząstkę osobowości wielorakiej, której inne alter ego może być (mogą być) nieobecne lub stłumione. Stałem tam, pragnąc całym sercem, abyśmy znaleźli sposób, żeby umożliwić integrację im obojgu, a także pozostałym tłoczącym się na łączce nieszczęśnikom, tworząc nowe, możliwie pełne osobowości ludziom, których psychika została zdominowana przez tę lub ową emocję. Była to jednak sprawa dalekiej przyszłości, podobnie jak ogarnięcie rozumem, w jaki sposób protowi udaje się „znikać” w pewnych sytuacjach.

Gdy odchodziłem, Milton wciąż żonglował nasionami słonecznika, niekiedy pod uniesioną nogą lub z tyłu za plecami. Było to przedstawienie godne podziwu, naprawdę.

W gabinecie oczekiwała już na mnie Giselle (umówiliśmy się na spotkania po każdej wtorkowej sesji, by skonfrontować nasze zapiski). Opowiedziałem jej o możliwości istnienia innych planet, towarzyszących K-PAX, i o listach, które przekazałem protowi.

Nie była zbyt zainteresowana tymi nowościami.

— Powiedział mi wczoraj, że jak dotąd nie odnalazł Roberta. Czy udało mu się to dzisiaj?

— Niestety nie. Ale obiecał mi, że się postara.

Była chyba bardzo rozczarowana naszym brakiem postępów, tak jak i ja, oczywiście.

— Giselle, od początku wiedziała pani, że to nie będzie łatwe. Moim zdaniem Roberta nęka coś bardziej jeszcze niszczącego niż molestowanie seksualne przez wuja czy śmierć żony i córki z ręki zabójcy, jeżeli w ogóle można sobie wyobrazić coś gorszego. Może to mieć jakiś związek z kąpielą waszego synka.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Mój Boże... czy pan myśli, że został zgwałcony jako niemowlę?

— Nie, nie, nic podobnego! Ale gdyby cokolwiek wydarzyło się w tak wczesnym dzieciństwie, szalenie trudno byłoby do tego dotrzeć. Prawdę mówiąc graniczy to z niemożliwością, nawet gdyby Robert był tu obecny i chętny do współpracy.

— Zatem pana zdaniem nigdy się nie dowiemy...

— Tego nie mówię. Powiedziałem, że będzie to bardzo trudne. Poza tym to wszystko może nie mieć żadnego związku z kąpielą waszego dziecka.

— Cóż więc możemy zrobić?

— Możemy podtrzymywać kontakt z protem, zachęcać go, by dotarł do Roberta, i traktować

to jako punkt wyjścia. Ale — ostrzegłem ją — proszę nie naciskać go zbyt mocno w tej sprawie. Proszę rozmawiać z nim tylko o tym, o czym on sam zechce, i od czasu do czasu nakierowywać rozmowę na temat Roberta.

Smętnie pokiwała głową.

— A tak przy okazji... czy coś się ostatnio wydarzyło w życiu pani czy też Roberta? Zgony w rodzinie? Jego trudności ze studiami? Problemy w domu? Coś w tym rodzaju?

— Nic z tych rzeczy. Jak pan wie, Robert ukończył trzy lata studiów w ciągu dwóch lat i rozmyślał już nad pracą magisterską.

— Czy wybrał już temat pracy?

— Interesował się biogeografią wysp.

— Co to jest biogeografia wysp?

— To dotyczy fragmentacji Ziemi, poprzez blokowanie rozwoju i niszczenie środowiska, na niewielkie cząstki, zbyt małe dla przeżycia lokalnych gatunków.

— To wygląda na interesujący temat.

— Właśnie. Sama mogłabym kiedyś o tym napisać.

— Nad czym pani teraz pracuje?

— Nad artykułem o nowych substancjach leczniczych odkrywanych w lasach tropikalnych.

— To mogłoby mieć ścisły związek ze studiami Roberta.

— Tak — wyszeptała. — Stanowimy dobrany zespół.

Wziąłem głęboki oddech i przystąpiłem do ataku.

— Macie jakieś problemy... a... mhm... bardziej osobistej natury?

— Ja i Robert? Nie, właściwie nie. Mam wrażenie, że jest ze mną całkiem szczęśliwy.

Musiałem sformułować to bardziej wprost.

— Czy Robert jest dobrym partnerem seksualnym?

Zarumieniła się nieco i odwróciła wzrok, ale dostrzegłem potny uśmiezek na jej twarzy.

— Więcej niż dobrym — zapewniła. — Dlaczego pan pyta? Czy coś się stało... ?

— Próbuję tylko wykluczyć pewne możliwości.

— No to już pan wie, że nie chodzi o seks.

— Giselle... — zacząłem. Zniknął psotny uśmiezek. — Chcę pani coś powiedzieć. Niech pani usiądzie.

Usłuchała mnie od razu i czekała, co powiem.

Usiadłem również i zacząłem bębnić piórem o stertę papierów złożonych na biurku, uporczywy nawyk, który powraca, ilekroć mam komuś przekazać przykre wiadomości i nie całkiem wiem, jak zacząć. W końcu powiedziałem jej, że rozmawiałem z Paulem.

Przesunęła się nieco w fotelu.

— Z Paulem?

— Pamięta pani, to ta osobowość, która pojawiała się, kiedy Rob znajdował się w sytuacji wymagającej...

— Pamiętam.

— Możliwe, że Paul skłamał, ale jego zdaniem to on, a nie Rob, jest ojcem Gene'a.

Otworzyła szeroko oczy, potem z wolna je przymknęła.

— Wiem o tym — wyszeptała.

— Wie pani?

— Na początku dawałam się oszukiwać. Nabrałam podejrzeń, gdy zasypiał, kiedy zaczynaliśmy się kochać, a potem nagle stawał się bardzo rozbudzony i namiętny.

— Giselle, dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?

— Chciałam to zrobić. Ale sama nabrałam pewności dopiero rok temu. To był jakby stopniowy proces... hm, trudno to wytłumaczyć. No i bałam się, co nastąpi, jeżeli o tym powiem.

— Co pani myślała, że nastąpi?

— Bałam się, że pan mi go zabierze. — Gdy nie zareagowałem, dodała: — Wiedziałam, że Paul jest częścią Roberta, więc myślałam sobie: co za różnica? Być może wszyscy jesteśmy różnymi osobowościami w różnych chwilach. Pan sam tak mówił. A najważniejsze, że Rob zawsze wracał i był tym samym Robem co przedtem.

Pokiwałem głową i czekałem, co jeszcze powie.

— Poza tym sądziłam, że potrafię mu pomóc. To znaczy, przezwyciężyć jego lęk przed seksem. Wie pan, powoli, krok po kroku, aż... aż przywyknie do swej fobii. Tak jak pan postępuje z

kimś, kto boi się latania albo pajaków.

— Giselle, pani dobrze wie, że psychiatria nie jest taka prosta.

Westchnęła.

— Ma pan rację. Wiem o tym. Ale nie chciałam go utracić...

Miała chyba nadzieję, że ją zapewnię, iż nie wyrządziła nikomu krzywdy, albo przynajmniej że ją zrozumie.

Rozumiałem. Kierowała się nie tylko egoizmem, lecz także współczuciem. Było mi jej szczerze żal. Ale jeszcze bardziej żałowałem Roberta, którego problemy przedstawiały się nieskończenie bardziej tragicznie.

— Giselle, czy chciałaby mi pani jeszcze o czymś powiedzieć?

Zastanawiała się chwilę.

— Wciąż strasznie mu brakuje ojca, nawet teraz, trzydzieści pięć lat po jego śmierci. Ma jego zdjęcie na biurku w swoim pokoiku, gdzie pracuje. Raz, a może dwa razy słyszałam, jak z nim rozmawiał.

— Czy słyszała pani, co do niego mówił?

— Nie, właściwie to nie. Ale kiedyś widziałam, jak płakał. To było prawie tak, jakby go za coś przeproszał.

To także rozumiałem. Często pragnąłem prosić mego ojca o wybaczenie, że jeszcze jako chłopiec czułem do niego coś na kształt nienawiści za to, że wywierał tak potężny wpływ na moje życie. Wydawało mi się nawet, że decydował o tym, co mam ze swoim życiem począć. Dopiero później, wiele lat po jego śmierci uświadomiłem sobie, że cokolwiek mi się przydarzyło, było przede wszystkim skutkiem moich własnych poczynań. Jednakże jestem przekonany, że odczuwał wtedy jakieś negatywne wibracje, podobnie jak i ja sam mógłbym określić, kiedy moje dzieci brały mi za złe coś, co powiedziałem lub zrobiłem, choć nie miałem złych intencji.

— Jeszcze coś, Giselle. Pani rozumie, że Paul jest częścią Roberta. A dlaczego nie prot?

— Ponieważ powiedział mi, że nie jest.

Z tym nie można było polemizować.

— Dobrze, Giselle. Spotkamy się znów w następny wtorek. A jeśli wcześniej...

— Pan dowie się pierwszy — zapewniła mnie.

Gdy wyszła, zacząłem myśleć o Paulu. Nie dawało mi spokoju pytanie, jak wiele rozmów z

Robertem przed dwoma laty przeprowadziłem w istocie z kimś innym?

SESJA TRZYDZIESTA PIĄTA

W czwartki rano spędzam zwykle godzinę lub dwie na przygotowaniach do popołudniowego wykładu na Uniwersytecie Columbia. Tym razem jednak złapałem się na tym, że rozmyślam o pierwszym pobycie prota w IPM i o tym, jak przez całe tygodnie usiłowałem określić, co leży u podłoża jego urojeń. Przede wszystkim usilnie starałem się znaleźć sposób przekonania go, że jest mieszkańcem Ziemi. Prot przejawia tak perfekcyjną logikę, myślałem sobie, że tego rodzaju objawienie wstrząśnie jego umysłem, podobnie jak zadanie nierozwiązywalnego problemu mogłoby „rozprogramować” komputer. Oczywiście wtedy nic jeszcze nie wiedziałem o Robercie. Gdy odkryłem Roberta ukrywającego się za protein, sytuacja się całkowicie zmieniła i porzuciłem pierwotny zamiar na rzecz podejścia bardziej bezpośredniego. Obecnie uświadomiłem sobie, że znalazłem się w punkcie wyjścia. Gdybym potrafił udowodnić protowi, że w istocie jest człowiekiem, a nawet czymś mniej, jedynie częścią człowieka, mogłaby runąć cała jego struktura obronna, umożliwiając mi dostęp do miejsca ukrycia Roberta. Można się wprawdzie obawiać, że Robert znalazłby się wówczas w takim samym stanie, w jakim pozostawił go prot, „odlatując” w 1990 roku, czyli w nieuleczalnej katatonii. Z drugiej jednak strony, jeśli nie udałoby mi się dotrzeć do Roberta przed 31 grudnia, i tak zostanie opuszczony przez prota, odsłonięty i bezbronny. W takim stanie rzeczy nie miałem nic do stracenia, podejmując przemyślane ryzyko.

Do takiej próby zachęcał mnie artykuł, który przewertowałem przed paroma tygodniami. W 1950 roku pewien mężczyzna przybył do Londynu z odległej wioski, w której jak utrzymywał, panował matriarchat. Twierdził, że opuścił rodzinne strony, by uciec przed „ucięciem przez kurwy”, które tam „rządziły”. W trakcie terapii okazało się, że mieszkał wraz z dominującą matką, która zarządzała każdym jego poczynaniem. Gdy sobie to uświadomił i osiedlił się we własnym mieszkaniu, z dala od jej oddziaływań, jego urojenia szybko zanikły. Znalazł sobie żonę i prawdopodobnie żył długo i szczęśliwie. Tego rodzaju poznawcze podejście pragnąłem zastosować wobec prota. Jedynym problemem było przekonanie go, że punktem wyjścia jego urojeń jest nie dominująca matka, lecz straszliwe zrzędzenie losu, z którym spotkało się jego alter ego znacznie wcześniej, niż on sam pojawił się na scenie wydarzeń.

Wykład się nie udał. Właściwie nie odbył się w ogóle, gdyż jeden ze studentów jakoś dowiedział się, dlaczego dziekan przerwał zajęcia przed tygodniem, i gdy tylko wszedłem na salę, zaczął wypytywać mnie o prota. Zaslaniałem się tajemnicą lekarską, jednak bezskutecznie; on i jego koledzy pragnęli się dowiedzieć, przynajmniej w ogólnym zarysie, jak przedstawia się sytuacja. Argumentowali, że napisałem o nim dwie książki i że wystąpił też w ogólnokrajowym programie telewizyjnym, a więc w jego przypadku trudno mówić o „przywileju” praw pacjenta. Wierzę, że nauczanie jest procesem obustronnym, że mądrość profesora zwykle bierze się z nadążania za zainteresowaniami studentów. Z tego powodu czas przeznaczony na wykład zajęło mi podsumowanie dotychczasowych wydarzeń, przedstawienie dylematów, jakie stały się moim udziałem, i planów przyszłej pracy z protem/Robertem. Nigdy nie byli tak ożywieni, tak chętni do dyskusji. Wybaczyli mi nawet niespodziany test, którym zaskoczyłem ich poprzednio.

Wspomniany student, młody człowiek z ogromną czarną brodą (wzorem dla niego był Oliver

Sacks), wystąpił z propozycją szybkiego rozwiązania tego złożonego problemu: trzeba sprawić, by prot podczas następnej sesji w sposób kontrolowany zademonstrował podróż świetlną.

— Jeśli przekonamy się, że to potrafi — dowodził — jest z pewnością tym, za kogo się podaje.

„Przekonamy się”? To znaczy kto? — pomyślałem sobie.

— Już tego dokonał, i to przed kamerą telewizyjną — odparowałem. — Ale musi pan pamiętać, że on potrafi korzystać z obszarów umysłu, do których mają dostęp jedynie autystycy i „obłąkani geniusze”. Jeżeli zniknie, może to oznaczać, że potrafi sprawić, byśmy w to uwierzyli, używając hipnozy lub jakichś innych sposobów, o których nie mamy jeszcze pojęcia.

— Nie, nie, nie — zaprotestował gorąco. — Trzeba go skłonić, żeby się przeniósł do jakiegoś konkretnego miejsca, powiedzmy w innej części kraju, gdzie będzie oczekiwał na niego jakiś pański kolega z aparatem fotograficznym. A pan tylko poczeka na zdjęcie prota, które on prześle faksem. Mógłby pan nawet namówić prota, żeby nałożył jakąś śmieszna czapkę albo coś w tym rodzaju, aby wykluczyć jakiegokolwiek wątpliwości.

Mój wyraz twarzy mówił prawdopodobnie: „Dlaczego na każdym roku zawsze znajdzie się ktoś taki?” Ale odrzekłem:

— A co będzie, jeśli tego nie zrobi?

— To będzie znaczyło, że tego nie potrafi — wykrzyknął mądryła — i będzie go pan miał w ręku!

Nastąpiło chóralne „Tak jest!” i „Zgadza się!”

— Może warto spróbować — przyznałem, w duchu żałując, że sam na to wcześniej nie wpadłem. Próbując za wszelką cenę zachować twarz dodałem: — Ale nie spodziewałbym się po tym zbyt wiele.

Kiedy w końcu udało mi się wyjść z sali, „Oliver Sacks” wraz z dwoma kolegami dopadł mnie na korytarzu. Wszyscy trzej pragnęli być obecni podczas mojej następnej sesji z protem. Choć ich wielkie zainteresowanie tym przypadkiem zrobiło na mnie wrażenie, musiałem wyjaśnić, że nie mogę spełnić tej prośby. Zarośnięty młody człowiek odwarknął:

— No dobrze, może go pan zachować dla siebie, ale oczekujemy pełnego sprawozdania.

No to cudownie, pomyślałem sobie. Teraz będę musiał przed każdym wykładem zeznawać im o postępach w sprawie prota. Jak to się mówi u nas: daj studentowi medycyny kawałek sznurka, a powiesi cię na nim. Zdecydowanie byłem już za stary na to wszystko. Coraz bardziej przychylałem się do uporczywych nalegań żony, żeby przejść na emeryturę w lecie 1998 roku.

Podczas mojej nieobecności w IPM przy głównej bramie zgromadziła się grupka pięciu lub sześciu osób. Ochroniarz bardzo usilnie im tłumaczył, że nie mogą wejść, że to jest szpital

psychiatryczny, że wstęp mają tylko członkowie rodzin i przyjaciele pacjentów, i to wyłącznie w godzinach odwiedzin. Gdy próbowałem przemknąć się obok wartowni, dostrzegł mnie i krzyknął: „Doktorze Brewer, niech pan coś powie tym ludziom!”

Próbowałem zdławić irytację, to był zły dzień.

— O co chodzi?

Odpowiedziała kobieta o płomiennie rudych włosach i z nieskazitelnym uzębieniem:

— Chcemy widzieć się z protem. Wiemy, że jest tutaj... Nie macie prawa go więzić.

Zaprzeczanie jego powrotowi byłoby tylko stratą czasu.

— Prot jest naszym pacjentem. I na razie nie może przyjmować odwiedzin.

Ostrzyżony najeża mężczyzna w średnim wieku, w roboczej kurtce, stanął tuż przede mną.

— Dlaczego go tu trzymacie? Przecież nie zrobił nic złego.

Cofnąłem się o krok.

— Nikt go tu siłą nie trzyma. Sam pragnie tu być.

Przysunął się krok bliżej.

— Nie wierzymy panu. To samo by pan mówił, gdybyście go trzymali wbrew jego woli.

Obstawałem przy swoim.

— Proszę posłuchać, to nie ja ustanawiam zasady. Gdyby tak pana brat przebywał w szpitalu i tłum ludzi pragnąłby się z nim spotkać, co wtedy?

— Zapytałbym go, czy sobie tego życzy.

— Ale decydowanie o tym nie należy do niego.

— A do kogo? — zapytał inny mężczyzna, którego nieogolona broda pojawiła się tuż przed moją twarzą.

Znów się cofnąłem.

— Dobrze, powiem wam, co zrobimy. Spytałem prota, czy zechce wyjść i porozmawiać z wami. Jeżeli nie będzie chciał, koniec sprawy. W porządku?

— Skąd mamy wiedzieć, że pan go zapyta?

— Myślę, że musicie mi zaufać.

Spoglądali po sobie. Ktoś wzruszył ramionami.

— W porządku, doktorze, ale nie ruszymy się stąd, dopóki nie wyjdzie.

— Prawdopodobnie zobaczę się z nim dopiero jutro.

— O której?

— O dziewiątej.

— Będziemy tu o dziewiątej.

— To kalifornijskie mango, prawda? — zauważył prot. — Nie tak dobre, jak te z Karaibów.

— Przykro mi. Nie mam nic lepszego.

— Mogą być — siorbnął. — Są czyste jak łza — oznajmił. — Ani śladu waszych tak zwanych pestycydów.

Zastanawiałem się, w jaki sposób on to spostrzega — testy okulistyczne wykazały, że potrafi widzieć w zakresie ultrafioletu, podobnie jak niektóre owady.

— Cieszę się, że panu smakują... są ekologiczne. Pozwoli pan zadać sobie parę pytań podczas konsumpcji?

— Co będzie, jeśli się nie zgodzę?

— Koniec z owocami.

— Niech pan pyta.

— Jak się miewa Robert?

— Skąd mam wiedzieć?

— To znaczy, że jeszcze go pan nie znalazł?

— Nie. Szukałem na całym Oddziale Drugim i nigdzie go nie ma. Poza tym byłem bardzo zajęty...

— Zajęty? Czym?

— Ach, czytając listy, które otrzymałem, gawędząc z innymi pacjentami, rozmyślając. Pamięta pan, co to rozmyślanie? Często pan to robił, będąc małym chłopcem.

— I odkąd pan jest na Oddziale Drugim, Robert się nie pojawił?

— Nie, proszę pana. Może przebywa na innym oddziale.

— To bardzo ważne, żebym mógł z nim porozmawiać, prot.

— Po co? Czy pan pisze następną książkę?

Udawałem, że tego nie słyszę.

— Jeśli pan go odnajdzie, proszę mi dać zaraz znać, dobrze? Albo powiedzieć Giselle.

— Wedle życzenia — mruknął, wysysając miąższ z dużej pestki. Jego brodę pokrywała papka z mango.

— No dobrze...

Nie mogąc już tego znieść, odszukałem paczkę chusteczek higienicznych i podałem mu jedną. Wytrzeł nią twarz, z uprzejmości dla mnie, jak sądzę, a następnie rzucił zmiętą na podłogę i rozparł się wygodnie w fotelu. Zirytowany i sfrustrowany powiedziałem dobitnie:

— Prot, pan pochodzi z K-PAX w taki sam sposób jak ja. Skąd pan wytrzasnął taką absurdalną historię?

Potrząsnął głową.

— Czego wy, ludzie, potrzebujecie, żeby uznać coś za prawdę?

— Przede wszystkim musi to być wiarygodne.

— Ach, pamiętam. Jeżeli w coś wierzycie, jest to dla was zgodne z prawdą, dobrze mówię?

— Można tak to ująć.

— A moja znajomość GALAKTYKI nie jest dla was wystarczająco przekonująca.

— Nasze komputery wiedzą to samo co pan.

— Nie wszystko. — Niespodziewanie wychylił się z fotela i zaskoczył mnie pytaniem: — Co by pana przekonało, że pochodzę z K-PAX? — Najwyraźniej miał ochotę pograć sobie trochę ze mną, tak jak dziecko, które właśnie otrzymało zestaw do szachów.

Przyszedł mi na myśl eksperyment z podróżą świetlną, ale na razie postanowiłem się z tym wstrzymać, gdyż jak dotąd nie miałem sposobności umówić się z kimś drugim. Spróbowałem więc innego sposobu.

— Czy ma pan może jakieś zdjęcia ze swej rodzinnej planety?

— Czy ma pan jakieś zdjęcia George'a Washingtona?

— Nie, ale mamy jego portrety, listy, relacje naocznych świadków. Czy pan dysponuje

dowodami tego rodzaju?

Popatrzył na mnie z ukosa.

— Widziałem na obrazach smoki i jednorożce, pan chyba też? Listy można sfałszować. A jak można polegać na relacjach „naocznych świadków”, chyba wszyscy wiemy, prawda, gene?

— Mamy też jego mundury, peruki, nawet jego zęby. Jaki pan posiada namacalny dowód, że K-PAX istnieje lub kiedykolwiek istniała? — Oparłem się o fotel z pełnym zadowolenia uśmiechem, na wzór prota.

— A jaki dowód pan posiada, że wasi bogowie istnieją lub kiedykolwiek istnieli?

Wyprowadzony z równowagi, krzyknąłem:

— To zupełnie inna sprawa!

— Czyżby, gene?

— No dobrze... Mamy Biblię, ale pan prawdopodobnie nie przyjmie jej za dowód.

— A kto by przyjął? Waszych biblii nie pisali bogowie, gino. Pisały je ludzkie istoty. Życie według zasad sformułowanych tysiące lat temu. Powinniście przynajmniej je rewidować, powiedzmy, raz na sto lat. A co, jeśli od początku nie były słuszne?

— W porządku. Umówmy się, że być może Bóg nie napisał Biblii, a nawet być może nie ma w ogóle żadnych bogów, jeżeli pan się zgodzi, że być może K-PAX również nigdy nie istniała.

— Jest pewien problem.

— Jaki?

— Ja tam byłem.

— A więc mam przyjąć istnienie K-PAX na wiarę?

Nie stracił rezonu.

— Wcale nie. Jeśli pan tylko zechce, może pan polecieć tam ze mną. Zobaczyć samemu. Zostało jedno lub dwa wolne miejsca.

Na tak nedorzeczną propozycję nie miałem odpowiedzi. Zastanowiło mnie jednak, czy religia nie stanowi w przypadku Roberta czegoś istotniejszego, niż sądziłem dotąd. Postanowiłem pójść tym śladem.

— Większość religii mówi nam, że znajdziemy się w niebie, jeżeli nasza wiara będzie wystarczająco mocna.

— Religie nie są sprawą „wiary”. Są sprawą indoktrynacji.

— Ale to wcale nie musi oznaczać, że są fałszywe. Tak czy owak, prawdziwe czy fałszywe, jeśli przynoszą nam dobro, sprawiają, że czujemy się lepiej...

— Wydają się czymś poniekąd korzystnym, czy nie tak, mój pozbawiony logiki przyjacielu? Ale w istocie rzeczy należą do najgroźniejszych waszych aberracji.

— Aberracji?

— Religie są unikiem. Zwalniają was od odpowiedzialności za wasze czyny.

— No ale przecież potrzebne są jakieś podstawy etyczne. Bez zasad moralnych, jak moglibyśmy prawidłowo postępować?

Zachichotał, wyraźnie rozradowany.

— I tak nie postępujecie prawidłowo, mimo tysięcy waszych religii!

— K-PAXianie mogą sobie żyć bez żadnego takiego wsparcia. Na waszej planecie nie ma okrucieństwa, niesprawiedliwości czy jakiegokolwiek zła, prawda?

— „Zło” to pojęcie czysto ludzkie. Występuje tylko na ZIEMI. I na paru jeszcze PLANETACH klasy B.

Ta sesja nie przebiegała zgodnie z planem, zupełnie jak wczorajszy wykład. Prot jak zwykle przejął prowadzenie, a przecież to ja miałem go przygwoździć. Co gorsza, leżąca na podłodze zabrudzona chusteczka doprowadzała mnie do szału.

— Muszę to sobie jeszcze przemyśleć.

— I nie pożałuje pan tego, proszę mi wierzyć. A co do waszych bogów — dodał pocieszająco — być może pan ma rację. Być może istnieje niebo, być może istnieje także piekło. Wszystko jest możliwe w tym zwariowanym WSZECHŚWIECIE.

Miałem dziwne uczucie, że znowu dostałem mata. Podjąłem jeszcze bardziej bezpośrednią próbę.

— Zna pan świetnie Roberta. Proszę mi powiedzieć, czy religia mogła wywrzeć jakiś szkodliwy wpływ na jego psychikę?

— To by mnie nie dziwiło. Wywiera taki wpływ na większość z was. Dręczy was zwątpienie, jeżeli wierzycie w boga, a jeśli nie wierzycie, szarpie wami lęk. — Potrząsnął głową. — Okropność! Ale będzie pan musiał sam go o to zapytać. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Jedynie o tym, że jego żona była katoliczką.

— Czy to go dręczyło?

— Nie, ale za to dręczyło jego tak zwanych przyjaciół, z których większość znał od dzieciństwa. No i ma pan odpowiedź.

Normalnym trybem podążyłbym tropem przyjaciół Roberta z czasów jego dzieciństwa. Jednakże nie był to zwykły przypadek i nie starczało czasu, by zapuszczać się we wszystkie niejasne zakamarki.

— Niech mi pan coś opowie o swoim dzieciństwie na K-PAX.

Od razu po swoim wyszczerzył zęby w uśmiechu i zapytał, co chciałbym wiedzieć. Przystąpiłem do ataku.

— Dlaczego nie zacząć od samego początku? Jakie jest pańskie najwcześniejsze wspomnienie?

— Pamiętam macicę — powiedział z zadumą.

— Co takiego? — wyprostowałem się. — Jak tam było?

— Było miło i ciepło.

— Tak jak na K-PAX w ładny słoneczny dzień?

— Na K-PAX jest zawsze słonecznie.

— Prawda, zapomniałem o tym. Co jeszcze pan pamięta z pobytu w macicy?

— Było ciasno.

— No tak. Ale poza tym było przyjemnie?

— Raczej tak. Choć hałaśliwie. Ciągłe łomotania i bulgoty.

— Serce pańskiej matki. Żołądek. Jelita.

— Słyszałem także jej płuca. Sap, sap, sap.

— Czy przed urodzeniem zdawał pan sobie sprawę, z czego bierze się ten cały hałas?

— Nie do końca. W każdym razie nie dało się tego określić słowami.

— No dobrze, pamięta pan macicę. Czy to znaczy, że pamięta pan też poród?

— Tak. Ależ to było okropne!

— W jakim sensie?

— Strasznie trudno było się precyzyjnie wyrazić, szefie.

— Bolało?

— Miałem bóle głowy przez wiele dni. To znaczy, waszych dni.

— Hm. Zatem niezbyt się panu podobało przebywanie w macicy i same narodziny też nie były miłym przeżyciem. A gdy już pan się znalazł na świecie, czy to również było niemiłe?

— Pewne zapachy nie były zbyt przyjemne.

— Jakie na przykład?

— Chce mi pan powiedzieć, gene, że nic pan nie wie o kupach?

— Niestety wiem, chociaż wolałbym, żeby było inaczej. A czy dzieci na K-PAX zawija się w pieluchy lub coś w tym rodzaju?

— Nie jest zimno, więc nie ma potrzeby.

— Wasze niemowlęta pozostają gołe?

— Oczywiście. Na waszej PLANECIE jest tak samo. Przynajmniej w lecie.

— Można więc powiedzieć, że jako dziecko był pan całkiem nagi wobec sił natury, jak również wobec swojej rodziny i wszystkich innych, którzy byli w pobliżu.

— O ile wiem, nie było tam nikogo z mojej rodziny.

— Nawet matki?

— Była, ale tylko przez chwilę.

— A jakiś wujek?

— Hę?

— Nie było przypadkiem jakiegoś wujka?

— Już kiedyś odpowiadałem na to pytanie.

— Mówiąc, że nic panu o tym nie wiadomo.

— Zgadza się.

— No dobrze. Jak rozumiem, ojciec porzucił pańską matkę po pana urodzeniu?

— Nie, on odszedł, zanim się urodziłem. Tam skąd pochodzę, ojcowie nie czekają z niepokojem na narodziny dziecka. To nie jest ważne wydarzenie.

— Jeśli dobrze pamiętam, pan nigdy nie poznał swego ojca...

— Mówiłem tylko, że jeżeli nawet widywaliśmy się, nikt nie poinformował mnie o naszym pokrewieństwie.

— Ojcowie na K-PAX pozostawiają dzieci, żeby same się o siebie troszczyły, prawda?

— Oczywiście. Zresztą matki postępują tak samo. Nasi rodzice nie są po to, żeby robić pranie mózgu dzieciom, jak to się dzieje na ZIEMI.

— Kto więc u was robi pranie mózgu dzieciom?

— Nikt. Dzieci mogą uczyć się tego, czego chcą, i zajmować się tym, co je interesuje.

— Bez żadnego nadzoru?

— Tylko takiego, żeby same sobie nie wyrządziły krzywdy.

— Kto sprawuje ten nadzór?

— Gene, gene, gene. Przerabialiśmy to już lata temu.

— Proszę odświeżyć moją pamięć. Kto zapewnia bezpieczeństwo dzieciom?

— Każdy, kto tylko jest w pobliżu.

— A jeśli nikogo nie ma w pobliżu?

— Zawsze jest ktoś, kto czyni to, co powinno być zrobione.

— Jakiś wujek, na przykład?

Prot trochę się zdenerwował.

— Nie odróżniłbym mojego wujka od lorgona (występujące na K-PAX stworzenie podobne do kozy).

— A czy ktoś naprzykrzał się panu w jakikolwiek sposób, kiedy pan był mały?

— Nie przypominam sobie.

— Czy pamiętałby pan, gdyby tak było?

— Oczywiście.

— Na pewno?

— Powinien pan zbadać sobie słuch, gino.

Była to kolejna próbka K-PAXiańskiego poczucia humoru, jak sądzę. Ale zarazem dowód na narastające rozdrażnienie prota, o co mi właśnie chodziło.

— Dobrze. Kto pana kąpał w niemowlęctwie?

Uderzył dłonią w czoło.

— Po pierwsze na K-PAX nie kąpie się dzieci, brakuje nam wody, pamięta pan? Po drugie nie mamy obsesji na punkcie każdego pyłku na skórze, tak jak to chyba jest u was. A po trzecie w razie potrzeby ktoś mnie po prostu czyścił.

— W jaki sposób?

— Za pomocą liści fallidu, są miękkie i wilgotne.

— Kto to robił?

— Ten, kto akurat był w pobliżu.

— Pana matka?

— Jeżeli była w pobliżu.

— Inaczej mówiąc, dziecko jest zdane na łaskę tego, kto jest w pobliżu...

— Mówi pan jak prawdziwy homo sapiens.

— ...ponieważ na K-PAX nikt nigdy nie czyni krzywdy drugiej istocie, tak?

— Teraz uchwycił pan sedno sprawy.

— Czy któryś z wujków często bywał u pana w domu?

Znowu klepnął się w czoło.

— Na K-PAX nie istnieją domy.

— W porządku. Czy którykolwiek z nich pojawiał się w sąsiedztwie albo w pobliżu miejsca, gdzie pan przebywał?

— Co to za obsesja z tymi wujkami? — zaskrzeczał. — Na K-PAX nie mamy wujków! U nas nie ma czegoś takiego jak „wujek”. Czy pan to rozumie?

— Czemu tak pana złości to pytanie?

— Złości mnie głupota.

— W porządku. Chyba wystarczy jak na jedną sesję, zgodzi się pan ze mną?

— Zdecydowanie! — odparł, zerwał się z miejsca i skierował w stronę drzwi.

Wokół warg wciąż miał pomarańczową obwódkę.

— Do zobaczenia we wtorek! — zawołałem.

Jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami.

Usunąwszy z podłogi zabrudzoną chusteczkę, przesłuchałem taśmę z nagraniem naszej rozmowy. Sprawiało mi wielką satysfakcję usłyszeć raz jeszcze, jak emocjonuje go temat nagości, kąpieli czy owych rzekomo nieistniejących wujków. Czy Robin jako niemowlę został w jakiś sposób skrzywdzony przez kogoś, „kto był w pobliżu”? Dotknąłem czulego punktu i byłem prawie pewny, że jestem na właściwym tropie. Pozostawało tylko pytanie, czy nie wiedzie on do nieprzekraczalnej zapory?

Oczywista była też nienawiść prota do religii, a może do pojęcia wiary w ogólności. Czy Roberta szukał ktoś, komu zawierzył? Może jakiś duchowny? Zapisałem sobie, żeby zapytać Giselle, co jej wiadomo o sprawach religii w jego przeszłości.

W gabinecie oczekiwała mnie wiadomość od szefa ochroniarzy — ludzie zgromadzeni na chodniku przy głównej bramie domagali się rozmowy z protem. Zupełnie o nich zapomniałem — być może podświadomie miałem nadzieję, że pójdą sobie i zostawią nas w spokoju.

— Proszę odszukać Giselle — powiedziałem, połączywszy się z biurem ochrony — i polecić jej, żeby się tym zajęła.

Wczesnym popołudniem odebrałem telefon od kolegi mieszkającego obecnie w Niemczech, choć jest Amerykaninem i studiował medycynę w Stanach Zjednoczonych. Razem nawet stażowaliśmy w szpitalu Bellevue. Niepoprawny kawalarz, ale znakomity psychoanalityk, przy tym niezwykle przystojny mężczyzna. Gdy już pogawędziliśmy chwilę o naszych rodzinach, powiedział mi, że ma u siebie pacjenta utrzymującego, że pochodzi z K-PAX.

— Otworzyłeś puszkę Pandory — poinformował mnie radośnie. — Teraz „proty” będą pojawiać się na całym świecie. Prawdę mówiąc, słyszałem już o jednym w Chinach, a drugim w Kongu.

— Znowu kpisz sobie ze mnie?

— Gene! Czy mógłbym ci to zrobić?

— Tak! Nieraz to robiłeś!

— Zgoda, może i tak. Ale tym razem chodzi mi o pacjenta.

— W porządku, opowiedz mi o nim — powiedziałem.

— Bardzo podobny do tego, którego opisujesz w swoich książkach. Ale przedstawia się jako

„trosk”.

— Czy lubi owoce?

— Nie można mu ich nastarczyć.

— Czy potrafi rysować gwiazdne mapy z różnych miejsc galaktyki?

— Nie, posiada inny dar.

— Jakiż to?

— Twierdzi, że ma bezpośredni kontakt z Bogiem.

— Badałeś go pod tym kątem?

— Zapytałem, czy niebo naprawdę istnieje.

— I co, istnieje?

— Tak. Ale tkwi w tym pewien haczyk.

— Mianowicie?

— Nie ma tam ludzi.

— Moim zdaniem brzmi to jak odpowiedź rasowego mieszkańca K-PAX.

— Kto wie?

— Skoro już o pacjentach mowa, George. Zastanawiam się, czy mógłbyś mi w czymś pomóc.

— Oczywiście.

— Czy masz aparat fotograficzny?

— Czy papież jest katolikiem? Czy trawa jest zielona? Czy skunksy...

— Dobrze, dobrze. Oto, co zrobię. Wyślę do ciebie naszego przybysza z K-PAX...

— Nie obiecuj sobie za wiele, ale jeśli się u ciebie faktycznie pokaże, chciałbym, żebyś zrobił mu zdjęcie, i od razu przesłał mi je faksem.

— Kiedy go do mnie wyślesz?

— Pasuje ci najbliższy wtorek? Powiedzmy o dziewiątej piętnaście rano, czyli u was... kwadrans po trzeciej po południu?

— Będę go oczekiwał z niecierpliwością. Czy zna adres?

— Nie, ale nie bój się, otrzyma go na czas. Muszę już pędzić. Dzięki za telefon, Herr Doktor. I dobrze się zajmij swoim K-PAXianinem.

— Mógłbyś mi powiedzieć, w jaki sposób?

— Miałem nadzieję, że ty mi powiesz!

Gdy tylko odłożyłem słuchawkę, uświadomiłem sobie, że już od paru minut czeka na mnie następny pacjent, z obsesjami i kompulsjami, taki, który musi wypełnić jakiś ciągnący się w nieskończoność rytuał, zanim wykona najprostsza czynność. Na przykład nie może zabrać się do jedzenia, zanim dokładnie trzydzieści dwa razy nie umyje rąk i twarzy, a gdy pomyli się w rachunku, rozpoczyna od początku. I jeżeli dotknie czegokolwiek w drodze do stołu, musi wrócić do łazienki i powtórzyć całą procedurę.

Jednakże zaburzenia Linusa są daleko bardziej złożone. Biochemik z dwoma doktoratami, należał do zespołu badającego strukturę ludzkiego genomu, całą chemiczną sekwencję spirali DNA, składającą się na każdy z naszych czterdziestu sześciu chromosomów. Jest to ogromne przedsięwzięcie wymagające udziału setek naukowców i zastosowania najnowszych technologii badawczych.

Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne (dawniej obejmowane ogólną nazwą „natręctwa”) polegają na przymusie przeżywania pewnych myśli, wyobrażeń, skojarzeń itp. (obsesje) lub wykonywania pewnych czynności (kompulsje).

Jego problemy zaczęły wychodzić na jaw prawie natychmiast, gdy został włączony do pracy nad tym projektem. Recenzent jego pierwszego artykułu (pisanego wraz z piętnastoma chyba współautorami) zwrócił uwagę na pewne osobliwości opisywanej w nim sekwencji genu odpowiedzialnego za odczuwanie smaku kwaśnego. Szczegółowa analiza wydawała się wskazywać na to, że odcinek DNA, nad którym pracował Linus, bardzo przypomina fragment innego genu, tylko z odwróconą kolejnością około czterdziestu składników. Poproszono kogoś, by skontrolował te dane, ale sprawozdania Linusa zaginęły czy też zostały skradzione, a nikt inny z zespołu badawczego nie był w stanie ponowić tych badań.

Wówczas wzięto pod lupę prace doktorskie Linusa, ale okazało się, że również są niesprawdzalne, a brudnopisy i dane wyjściowe zaginęły. Streszczając tę długą i ponurą historię, nasz Linus nie miał bladego pojęcia o biochemii ani o czymkolwiek innym. W jaki sposób uzyskał dwa doktoraty? Tego nie wie nikt, ale nie ulega kwestii, że jako doktorant Linus wykazał się niezwykle darem przekonywania i mydlenia oczu. (Mówiono, że jego seminaria dla studentów były tak zawile, że nikt nie był w stanie ich zrozumieć, co prawdopodobnie stworzyło mu reputację genialnego naukowca.)

Już podczas studiów można było u niego obserwować łagodne natręctwa, ale dopiero w okresie badań nad genomem zaczęły występować bardzo poważne formy obsesji i przymusowych czynności. Każdego ranka musiał zaostrzyć dziesiątki ołówków, zanim w ogóle mógł przystąpić do

pracy. Potem zaczął codziennie sprzątać gabinet, który zajmował wspólnie z drugim kolegą biochemikiem. Kiedy zabrał się do porządkowania biurka swego współpracownika i w końcu do polerowania całego szkła laboratoryjnego zawsze przed rozpoczęciem pracy, wysłano go na przymusowy urlop i nakłoniono do podjęcia leczenia.

Dlaczego ktoś tak ewidentnie utalentowany jak Linus (którego iloraz inteligencji wynosi około 180) zmyśla wyniki badań i usiłuje zrobić karierę w oparciu o stek bzdur, podczas gdy łatwiej by mu było przeprowadzić badania uczciwie i przedstawić rzeczywiste ich rezultaty?

Znane od wieków zaburzenia obsesyjno-kompulsywne mają bliski związek z pewnymi innymi zaburzeniami lękowymi i często wynikają z fiksacji analnej. Inhibitory monoaminooksydazy oraz pewne leki trójcykliczne* okazały się przydatne w niewielkiej części takich przypadków, podobnie cingulotomia*, zabieg psychochirurgiczny. Niestety psychoanaliza jest niezbyt skuteczna, być może dlatego że metoda wolnych skojarzeń* nasila jedynie fiksację na obsesjach. Najskuteczniejszym i najbardziej popularnym podejściem jest skonfrontować pacjenta z tym, co wyzwała jego natręctwa, uniemożliwiając mu równocześnie wejście w jego nawykowe rytuały i stawiając czoło spowodowanym przez to lękom.

Niekiedy zaburzenia obsesyjno-kompulsywne maskują ciężkie kompleksy niższości. Ojciec Linusa jest sławnym chemikiem, a matka wysoko cenionym naukowcem w dziedzinie grzyboznawstwa i jednym z czołowych na świecie ekspertów od grzybów trujących. Niewykluczone, że Linus usiłował sprostać ich oczekiwaniom, co samo w sobie nie jest niczym złym i często bywa powodem spektakularnych sukcesów na rozmaitych polach. Równie prawdopodobne jest jednak, że jakieś szczególne wydarzenie dało początek jego chorobliwym zachowaniom.

Fiksacja analna — pojęcie psychoanalityczne; chodzi tu o utrwalenie problemów emocjonalnych, dotyczących głównie radzenia sobie z impulsami agresywnymi, mających początek w tzw. okresie analnym rozwoju dziecka (drugi rok życia), a nie rozwiązanych dostatecznie wcześnie.

Inhibitory... —jedne i drugie należą do tradycyjnych leków przeciwdepre-syjnych, często pomocnych w leczeniu zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych.

Cingulotomia — przecięcie pęczka tzw. włókien kojarzeniowych łączących czołowy i skroniowy płat mózgu; jeden z zabiegów psychochirurgicznych stosowanych w ciężkich zaburzeniach psychicznych niepodatnych na leczenie innymi metodami, lecz obciążonych ryzykiem innych trwałych uszkodzeń funkcjonowania psychicznego i wątpliwych etycznie, mimo objawowej dość dużej skuteczności. Psychochirurgia, długo bardzo popularna w Stanach Zjednoczonych, w Polsce była stosowana na matę skalę na przełomie lat 50. i 60. Tłumacze wyrażają przekonanie, że powinna ona należeć już do przeszłości.

Metoda wolnych skojarzeń — sformułowana przez Freuda i nadal podstawowa metoda badania nieświadomości i leczenia psychoanalitycznego.

Powitałem go w pokoju badań, gdzie karnie stawał się dwa razy w miesiącu. Rzecz jasna nie dał się poczęstować owocami pozostawionymi przez prota.

— Nie umył pan rąk przed przyjściem?

Linus, który nigdy nie wyglądał sympatycznie, skrzywił się jeszcze bardziej.

— Nie, po prostu nie lubię owoców.

— Gdyby nie to, dałby się pan poczęstować?

— Raczej nie.

— Pan jest naukowcem — przypomniałem mu. — Przeprowadźmy mały eksperyment.

Był przerażony.

— Nie... nie chcę.

— Jak pan myśli, co by się stało, gdyby pan to skosztował? — przesunąłem w jego stronę małe mango.

— Muszę najpierw umyć ręce — pisnął.

— Niech pan spróbuje chociaż kawałek. Zapewniam pana, że owoc jest czysty. Prot tak powiedział.

Przestał załamywać ręce.

— Tak powiedział? — Przez chwilę myślałem, że jestem świadkiem jednego z cudownych uleczeń. Linus usilnie wpatrywał się w mango, wyraźnie walcząc ze sobą. Ale w końcu wycofał się, jakby to był owoc zakazany. — Panie doktorze! — błagał. — Proszę mi pozwolić umyć najpierw ręce!

Wybiegł, żeby usunąć z dłoni wszelkie nieczystości, z jakimi mógł się zetknąć przebywając ze mną i przejrzałym owocem mango w jednym pomieszczeniu. Nie próbowałem go powstrzymać. Prawdę mówiąc, pomyślałem o tym, o czym myślą z pewnością wszyscy inni współpracownicy: trzeba skierować go do prota i przekonać się, co on na to potrafi zaradzić.

Pomimo protestów żony w sobotę wczesnym rankiem pojechałem do szpitala. Według jej zamierzeń mieliśmy wybrać się na poszukiwanie domu, w którym zamieszkamy, gdy przejdę na emeryturę.

— Jeszcze nie jestem emerytem — pozwoliłem sobie zauważyć.

— To tylko kwestia czasu — odparowała.

— Wrócimy do tego tematu, kiedy prot nas opuści. Do tego czasu nie chcę o tym myśleć.

Karen wzruszyła ramionami. Dzień 31 grudnia nie był przecież zbyt odległy.

W dni powszednie zwykle przyjeżdżam pociągiem i wchodzę tylnym wejściem, ale tym razem, skoro wziąłem samochód, zaparkowałem od frontu i skierowałem się do głównej bramy. Ku mojemu zdziwieniu i niemałej irytacji zamiast pięcio- czy sześćoosobowej grupki zobaczyłem tłum ludzi, czterdziestu, może nawet pięćdziesięciu. Próbowałem prześliznąć się niepostrzeżenie, ale ktoś mnie rozpoznał i zażądał, żebym „wypuścił prota”.

— On może wyjść, kiedy tylko zechce — przypomniałem, zachowując zimną krew.

— To dlaczego tu tylu ochroniarzy? — spytał butnie.

— Ponieważ przebywa tu kilka niebezpiecznych osób. Nie sądzę, żebyście pragnęli się spotkać z nimi na ulicy.

Paru pacjentów dreptało po ogrodzie.

— Nie wyglądają na bardzo groźnych — zauważył ktoś stojący blisko ogrodzenia.

— Ci tutaj nie. Ale są inni...

— Czy prot jest niebezpieczny?

— Ani trochę.

— No to dlaczego go nie wypuścicie?

— Już mówiłem: prot może wyjść, kiedy tylko chce. Zresztą i tak nas opuszcza tuż przed Nowym Rokiem.

Podczas gdy przemyśliwali tę wiadomość, przemknąłem obok strażnika i pospieszyłem w stronę frontowego wejścia budynku, rozmyślając, dlaczego Giselle nie zajęła się dotąd tym dokuczliwym problemem; mogłem zarazem spostrzec, że dla ekipy budowlanej pracującej przy nowym skrzydle szpitala czas znowu stanął w miejscu. Przyszło mi na myśli, że gdyby sprawę budowy powierzono Albertowi, rozwiązałoby to jego problemy.

Zaraz po wejściu zatelefonowałem do Giselle. Jej matka powiedziała, że nie ma jej w domu, i dorzuciła: „Mam nadzieję, że wkrótce odnajdzie pan Roberta. Tak go nam wszystkim brakuje.”

Zadzwoiłem do dyżurki pielęgniarskiej na Oddziale Drugim, tam jej również nie było. Wciąż zdenerwowany wyjąłem wszystkie swoje notatki z historii choroby prota i zacząłem je przeglądać, intensywnie poszukując w nich jakichś wskazówek czy też niezgodności. Musiałem coś wcześniej przeoczyć i nadal tego nie dostrzegać. Jedyne co zwróciło moją uwagę, to że pies Roberta, imieniem Apple, zginął pod kołami samochodu, gdy Robert miał 9 lat, a niedługo później wuj Dave i ciotka Catherine zginęli w pożarze. Czy te dwa wydarzenia mogły mieć ze sobą jakiś związek?

Sfrustrowany i rozczarowany postanowiłem zjeść lunch na Oddziale Trzecim, przytulisku dla zaburzonych seksualnie i społecznie oraz paru innych nieszczęśników. Zawsze zadziwiało mnie, że czynność jedzenia wydaje się neutralizować objawy większości chorób psychicznych, choćby tylko

przejściowo. Istotnie, przez ten krótki czas posiłku trudno było odróżnić auty styków od koprofilów. Zastanawiałem się, czy dałoby się jakoś wykorzystać to spostrzeżenie — a mianowicie czy przyjemne doznania określonego typu mogłyby okazać się pomocne w leczeniu problemów rozmaitego rodzaju. Na przykład poprzez stymulację pewnych obszarów mózgu można by obniżyć intensywność innych, niepożądanych doznań, a marihuana lub kokaina mogłaby przewyciężyć ciężar zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych lub afektywnych dwubiegunowych... Przypominałem sobie, że niegdyś próbowano leczyć kiłę, wszczepiając malarię. Porównanie wydawało się trafne. Psychiatria znajduje się mniej więcej na tym samym etapie, co interna przed stu laty.

Siedziałem naprzeciw Jerry'ego i Lenny'ego, dwóch naszych autystyków, i wspominałem dzień sprzed ponad dwóch lat, kiedy to prot „wydobył” Jerry'ego z jego świata na czas dostatecznie długi, by ten mógł wyrazić pewne myśli i uczucia, które się w nim nagromadziły. Jak prot tego dokonał? Nie wydawało mi się, żebym miał poznać odpowiedź za swojego życia.

Siedząc przy stole czułem jakieś napięcie wśród spożywających posiłek, chociaż zachowywali się znacznie spokojniej niż zazwyczaj; niemal nie było plucia ani zawrota głowy. Dopiero gdy prawie wszyscy skończyli jeść (bo niektórzy, zanim zaczną, muszą wyrzeźbić z jedzenia ptaszki lub przemienić danie w papkę), jeden z nie poddających się leczeniu podglądaczy zapytał uprzejmie, czy prot mógłby kiedyś przyjść do nich na lunch. Zapadła absolutna cisza. Jery i Lenny nie patrzyli wprawdzie wprost na mnie, ale też nie gapili się w ścianę albo sufit. Cóż mogłem powiedzieć? Odrzekłem, że niezwłocznie przekażę mu zaproszenie. Rozgorzała radość bez końca, radość zaraźliwa. Wszyscy spoglądali po sobie i śmiali się coraz głośniejszymi śmiechami. Nie pamiętam już, kiedy czułem się równie wspaniale, chociaż nie całkiem wiedziałem, z czego się śmiejemy.

Po południu przesłuchałem część taśm z nagraniami wcześniejszych moich rozmów z protem (i o wiele rzadszych z Robertem), po raz kolejny zdumiewając się jego niezwykłą wiarą w prawdziwość swoich dziwacznych konfabulacji. Świat, który sam sobie stworzył, był niewiarygodnie doskonały i tak perfekcyjnie przemyślany, że wydawał się bez skazy, zaiste nieomal wiarygodny. Gdybyśmy potrafili w równym stopniu skoncentrować uwagę na jakimkolwiek wartościowym przedsięwzięciu, o czym często mi sam przypominał, to kto wie, co by nam się udało osiągnąć.

Chyba przysnąłem na chwilę. Obudził mnie dzwonek telefonu — to meldowała się Giselle.

— Pan mnie szukał, doktorze B.?

— Hę? A, tak. Ci ludzie tkwiący przed główną bramą... czy już rozmawiała pani z nimi?

— Tak, oczywiście. Nie odejdą, dopóki nie zobaczą prota.

— Nie może ich pani odprawić?

— Nie, póki on się nie pokaże.

— To zakrawa na cyrk.

— Może by tak Milton przywdział swój kostium kłowna i rozweselił ich popisem żonglerki?

— Proszę nie żartować, Giselle. Jeżeli ta sprawa wydostanie się na zewnątrz, media będą miały używanie.

— Za bardzo pan się przejmuje, szefie. Proszę pozostawić to mnie. Po to tu jestem, pamięta pan?

— Niech pani to załatwi jak najszybciej.

Przekładałem i porządkowałem papiery, po czym wróciłem do przesłuchiwania taśm i tak zeszło mi całe popołudnie. Chcąc wyjść z budynku zauważyłem, że przed główną bramą nadal kłębi się tłum ludzi, i to chyba jeszcze większy niż rano. Problem istniał nadal, podobnie jak wszystkie inne związane z „wizytami” prota. Obróciłem się na pięcie i skorzystałem z tylnego wyjścia.

W sobotni wieczór wybraliśmy się z Karen na Turandot, imponująco wystawioną w Metropolitan Opera. Jeśli nawet spodziewałem się miłego i relaksującego wieczoru, ta opera zagadek i odpowiedzi skierowała moje myśli w stronę prota i związanych z nim zagadek bez odpowiedzi. Dlaczego Robert zniknął tak nagle; co zrobić, żeby powrócił; i co się z nim stanie po „odlocie” prota — tym razem ostatecznym — z końcem tego roku? W perspektywie nadchodzącego wielkimi krokami Nowego Roku, z cieniem gilotyny w tle, dotarcie do sedna sprawy było pilniejsze niż kiedykolwiek. Wkradła się też nutka osobista: jeżeli uda mi się rozwiązać przypadek Roberta/prota, będzie to ukoronowanie mojej kariery, jeżeli nie — odejdę na emeryturę jako przegrany.

Nadziei dodała mi burza okrzyków i oklasków i ukloniłem się, sam nie całkiem wiedząc dlaczego. Następne co dotarło do mej świadomości, to szturchaniec od Karen, która szepnęła, że to koniec opery.

— Jeżeli chciałeś się zdrzemnąć — dorzuciła — mogliśmy zostać w domu i obejrzeć film w telewizji. Spałoby ci się lepiej.

SESJA TRZYDZIESTA SZÓSTA

Ów poniedziałek był jednym z tych dni, w które z takiej lub innej przyczyny czuję się pęknięty na dwoje, tak jakbym stał obok i zaglądał sobie do środka. Nie cieszyło mnie to, co tam dostrzegam.

Było coś w sprawie prota, coś absorbującego bez reszty, w porównaniu z czym wszystko inne wydawało się nieważne. Jego (Roberta) przypadek zdawał się pochłaniać cały mój „wolny” czas. Jeżeli nawet nie studiowałem swych notatek ani nie przesłuchiwałem nagrań, ciągle rozmyślałem nad nimi.

Niektóre osoby spośród personelu też zaczęła wciągać ta ryzykowna gra. To, że prot może pamiętać swoje narodziny, a nawet pobyt w macicy, dla większości zgromadzonych na poniedziałkowym zebraniu było zdumiewającą rewelacją. Niektórzy, zwłaszcza Thorstein,

upatrywali w tym niezwykłą sposobność i zalecali, bym zwiększył ilość sesji, usiłując dotrzeć do najwcześniejszego ze wspomnień prota.

Popierała to nasza najmłodsza koleżanka, Laura Chang. Sama też chętnie „dobrałaby się do jego mózgu”, jak to malowniczo określiła, nawet po godzinach pracy. Argumentowała, że być może źródło wielu zaburzeń psychicznych tkwi w najwcześniejszych naszych przeżyciach. Jej zdaniem pewne wzory zachowania zaczynają kształtować się już na etapie życia zarodkowego — w późniejszej jego fazie. Embrion jest zaintrygowany wszystkimi ostrymi dźwiękami, które słyszy, i nieznanymi smakami i zapachami, które do niego docierają, przyjmując oczywiście (według jej hipotezy), że bywa ich świadomy. Nietrudno mi było pojąć motywy mych kolegów, sam bowiem kiedyś twierdziłem, że wiele można skorzystać z głębokiej bezsprzecznie wiedzy prota o wielu sprawach ezoterycznych, niezależnie od tego, skąd ją ma. Ale raz jeszcze przypominałem wszystkim, że jesteśmy odpowiedzialni za Roberta, nie za prota, i to winno być podstawą wszelkich planów leczenia.

Spotkanie zakończyła dyskusja nad zbliżającą się wycieczką pacjentów — tych, którzy zechcą i będą mogli wziąć w niej udział — do Metropolitan Museum of Art oraz zapowiedź mającej się odbyć już wcześniej wizyty popularnego psychologa, znanego powszechnie jako „telepsychoterapeuta Ameryki”, a przed dwoma laty niespodzianie przez niego odwołanej z przyczyn osobistych.

Zaprosiłem potem doktor Goldfarb do stołówki dla lekarzy na kawę, chcąc porozmawiać z nią o tłumie zgromadzonym pod bramą. Ale ona miała już swoje własne tematy dnia, przede wszystkim zamiar sporządzenia terminarza oficjalnych spotkań niektórych jej pacjentów z protem. Spoglądałem w grube szkła jej okularów, za którymi jej oczy wyglądały jak główki szpilek, usiłując powrócić do sprawy tego całego cyrku, który odbywał się przed budynkiem. Jednakże nie zamierzała się tym przejmować, dopóki nie pojawią się poważniejsze problemy. Wspominałem, że w razie czego to ona poniesie odpowiedzialność. Przytaknęła i poszła dolać sobie kawy. W życiu nie widziałem kogoś, kto potrafiłby pić gorącą kawę równie szybko jak ona.

Poprosiłem ją także, żeby zwolniła mnie z niektórych obowiązków, zwłaszcza tych dobrowolnie przyjętych lub mniej istotnych, jak na przykład z uczestnictwa w rozmaitych szpitalnych i uniwersyteckich komisjach, a szczególnie z przewodniczenia komitetowi nadzorującemu prace wykończeniowe w nowym skrzydle szpitala, które wydawały się nie mieć końca. Chciałem nawet przekazać jej lub komuś innemu niektórych moich pacjentów, tych najtrudniejszych (Frankie i Linusa), a także zapytałem wprost, czy ktoś mógłby przejąć ode mnie prowadzenie wykładów. Z nadzieją że będzie to nieodparty argument, dodałem:

— Myślę o przejściu na emeryturę w lecie następnego roku.

Goldfarb zachichotała przez nos. Opróżniła parującą jeszcze filiżankę i oddaliła się wielkimi krokami, nadal rechocząc. Gdy wychodziła, dosłyszałem jej radosne rzenie:

— Ty nigdy nie przejdziesz na emeryturę!

Wychodząc na swój popołudniowy wykład, wpadłem wprost na Giselle.

— Czy to nie wspaniałe? — zaszcebiotała.

— Co? Co pani ma na myśli?

— Okazało się, że chcą jedynie porozmawiać z protem.

— Kto? Aha, mówi pani o tych ludziach... No dobrze, ale czy on...

— Już to zrobił.

— Co takiego? Rozmawiał z nimi?

— Wczoraj.

— Ach tak. I co im powiedział?

— Że nie może zabrać ich wszystkich.

— To znaczy, że oni wszyscy chcieli z nim polecieć?

— Nie wszyscy. Niektórzy.

— I jak przyjęli odmowę?

— Błagali, żeby wrócił po tych, którzy nie zabiorą się tym razem.

— I co, zrobi to?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Przecież już wcześniej mówił, że to jego ostatnia wizyta na Ziemi.

— A oni co na to?

— Właściwie nic, zwłaszcza że zaraz usłyszeli od niego, że może przybędzie ktoś inny.

Przyglądała mi się, mrugając brązowymi oczami jak kot, który właśnie spałaszował kanarka.

— A kiedyż to przyleci ten następny obywatel K-PAX?

— Tego nie powiedział. Prawdę mówiąc, nie potrafił zagwarantować, że ktokolwiek z K-PAX odwiedzi Ziemię w przyszłości.

— A czy to nie pogorszyło sytuacji?

— Nie, bo dodał jeszcze, że my też mamy tutaj K-PAX. Przekonywał, że Ziemia może być

dokładnie taka jak K-PAX, jeśli tylko wystarczająco mocno tego zapagniemy. Przez jakiś czas panowała cisza, aż jakiś chłopiec, w wieku dwunastu, może trzynastu lat, zapytał: „Jak tego dokonać?” — Zamilkła znowu na swój figlarny sposób.

Mijał nas Milton, wlokąc się ociężale i utyskując: „Hemoroidy są tak strasznie upierdliwe...” Spytałem niecierpliwie:

— No i? Co odpowiedział?

— „To zależy od was.”

— Tak, to do niego podobne...

— I potem wrócił do budynku.

— W takim razie dlaczego oni nadal tam tkwią?

— To nie ci sarni.

— Jak to?

— Kiedy tamci odeszli, pojawiła się następna grupa. Też chcą rozmawiać z protem.

— Dobry Boże, czy to się nigdy nie skończy?

— To nie są szaleńcy, doktorze B. Powinien pan kiedyś wyjść do nich i porozmawiać z nimi. Tam są hydraulicy, gospodynie domowe, księgowi, robotnicy i tak dalej, i tak dalej... Gdyby był czas na to, napisałabym o nich artykuł.

— Od kiedy to brakuje pani czasu?

— Jeżeli prot zabierze Roberta, ja także mogłabym polecieć.

— Na K-PAX?

— Zgadza się.

— Ale nie jest pani tego pewna? Wyglądała tak, jakbym ją zranił.

— Nie całkiem. Sądzę, że powinnam go o to zapytać.

— A jeżeli prot go nie odnajdzie? Pozostanie pani tutaj z Robertem, mam nadzieję?

— Odnajdzie go!

— Jeszcze jedna sprawa: proszę mu nie pozwolić na kontakt z dziennikarzami. I bez tego mamy dość kłopotów.

— Łatwiej zlecić, niż wykonać!

Wykład udał się nadspodziewanie. Gdy studenci dowiedzieli się, że mój kolega w Niemczech jest gotów przyjąć pro-ta o 9.15 rano, „Oliver Sacks” zaproponował, że zorganizuje komitet nadzorujący, który obsadzi wszystkie bramy szpitala i będzie obserwował ewentualne wyjścia i powroty prota.

Tego mi jeszcze brakowało! Cóż jednak miałem robić, zgodziłem się, skoro nie było nic do stracenia.

— Ale bądźcie ostrożni. Nie chcę, żeby ktoś tam się wałęsał przed dziewiątą albo po dziesiątej. I nie wolno wam wchodzić na oddziały. Jasne?

Chyba ich to zadowoliło i mogłem wreszcie rozpocząć wykład, jak sędzę najbardziej pogmatwany ze wszystkich, które wygłaszałem dotychczas. Pomimo to studenci obdarzyli mnie wytężoną uwagą, słychać było tylko skrzywienie piór po kartkach. (Chociaż być może, po prostu rozważali, podobnie jak ja sam, skąd wziął się prot.)

W pewnej chwili pojawiła mi się nagle w głowie myśl, od której przeszły mnie ciarki po plecach, że pomiędzy dzieciństwem prota na K-PAX a tragicznym życiem jego alter ego tutaj na Ziemi może zachodzić związek!

Na kolejną sesję z protem przybyłem dobrze przygotowany. Przesłuchałem wszystkie nagrania z wcześniejszych spotkań, przeczytałem raz jeszcze jego „raport” i obejrzałem zarejestrowany na wideo jego występ w telewizji. Postanowiłem, że w żaden sposób nie pozwolę, by mnie znów zapędził w ślepą uliczkę swoją perfekcyjną pamięcią i wykrętnym zagadywaniem na temat mało istotnych szczegółów. Co więcej, postanowiłem podkreślić wagę tej rozmowy, odmawiając mu owoców.

— To przecież głównie z ich powodu tutaj przychodzę! — lamentował. Usiadł, spoglądając na mnie posępnie. Szeroki uśmiech kota z Cheshire gdzieś zniknął. Pomyślałem sobie, że być może tylko tak udaje.

Włączyłem magnetofon.

Przypominamy, że jest to aluzja do kota z „Alicji w krainie czarów”.

— Czy znalazł pan Roberta?

— Zaglądałem do każdej szafy i za każde drzewo. Niestety nigdzie go nie ma. Być może udał się do Guelph.

— Ciekawe, jak by opuścił szpital przez nikogo niezauważony?

— Może w ogóle tu nie wchodził.

Przytaknąłem, żeby go nie denerwować.

— Prot, mój kolega w Niemczech chciałby spotkać się z panem. Oto jego adres.

Wręczyłem mu karteczkę, a on przestudiował zapisane na niej dane.

— Spróbuję to jeszcze gdzieś zmieścić.

— Nie, pan mnie nie zrozumiał. On chce się z panem spotkać zaraz. Dziś o 9.15 rano.

— Pańskie poczucie humoru nadal szwankuje, gino. Już raz pokazywałem tę sztuczkę. Jeżeli nawet ją powtórzę, pan mi i tak nie uwierzy. Będzie się pan dopatrywał trików.

— Nie, wcale nie! — zaprzeczyłem gorąco. — To będzie dowodem, że jest pan naprawdę tym, za kogo się pan podaje!

— Ile razy mam to udowadniać?

— Jeszcze ten jeden raz.

— Przykro mi. Nie mogę.

— Dlaczego nie, do diabła?

— Już panu mówiłem. A poza tym co się stanie z Robertem, jeżeli pojawi się akurat wtedy, gdy mnie tu nie będzie?

— Ale Doktor Ehrhart czeka na pana!

— Nie ma nic lepszego do roboty?

— Ma, i to dużo!

— Ja także!

— Zatem odmawia pan współpracy.

— Cóż, przecież jestem tutaj, nieprawdaż?

Choć przecież wiedziałem, że prot nie zdoła błyskawicznie przenieść się do Niemiec czy gdziekolwiek indziej, wpadłem w złość, co rzadko mi się zdarzało podczas sesji z pacjentem.

— Prot — zaskrzeczałem — dlaczego pan się wreszcie nie przyzna? Pan tego po prostu nie potrafi, prawda?

— Oczywiście, że potrafię.

— Pan wcale nie jest z K-PAX! Zmyśla pan i udaje! Wszyscy o tym wiedzą!...

— Na pewno nie wszyscy.

— Chodzi o owoce, prawda?

— Nie. Nie należymy do małostkowych i mściwych gatunków, jak parę innych, które mógłbym wymienić.

— Wielu ludzi utraci nadzieję.

— Nie po raz ostatni.

Przez pewien czas świdrowałem go wzrokiem, żeby dać mu odczuć swoją irytację.

— Doktor Ehrhart twierdzi, że na całym świecie zaczęli się nagle pojawiać inni „przybysze z K-PAX”.

— To możliwe. Albo są to chorzy psychicznie.

Pochwyciwszy żółty notatnik, rzekłem z jawnym rozdrażnieniem:

— No dobrze, czort z tym. Proszę mi coś jeszcze opowiedzieć o swoim zmyślnym dzieciństwie.

— Panu doktorowi ciągle mało, prawda?

— Być może traktuję pana wyjątkowo.

— Wcale nie. Z nawyku i determinacji wścibia pan nos w najściślejsze sekrety każdego, kto tutaj trafi.

— Po to są psychiatrzy.

— Ach tak? Myślałem, że są po to, żeby zarabiać mnóstwo pieniędzy na „utrzymanie rodziny”, jak każdy inny homo sapiens w tym opuszczonym przez boga miejscu. — Miał na myśli Ziemię.

Pamiętając, że rodzina Roberta była wyjątkowo biedna, spytałem:

— Kapitalizm niezbyt się panu podoba?

— Szczerze mówiąc, drogi przyjacielu, jest ohydny.

— Co można mu zarzucić? Funkcjonuje całkiem nieźle na przestrzeni naszej historii.

— Tak? To dlaczego macie tyle problemów?

— Proszę posłuchać. Gdyby nie było kupiectwa, handlu wymiennego ani legalnej waluty, każdy sam musiałby wytwarzać żywność dla siebie, sporządzać sobie odzież, środki transportu i wszystko inne. Ogromna strata czasu i energii, nie sądzi pan?

— Nareszcie rozumiem, co wam doskwiera! Wszyscy jesteście stuknięci.

— Nie ma potrzeby nikogo obrażać, prot czy jak tam pana nazwać.

— To tylko takie spostrzeżenie, cienkoskóry przyjacielu. Wydaje się, że nikt z was nie potrafi popatrzeć szerzej, przewidzieć skutków waszych poczynań ani nawet podejść do spraw racjonalnie. Jesteście gromadą oszalałych schizofreników.

— Jakich znowu spraw? — zapytałem spokojnie.

— A jeszcze do tego wszystkiego nie potraficie prowadzić dialogu. Przedstawił pan plusy waszego systemu. A zastanowił się pan, jakie są minusy?

— Pewnie chce pan powiedzieć, że niektórzy ludzie go nadużywają.

— To dopiero początek.

— No cóż, być może jest trochę niesprawiedliwy wobec radzących sobie gorzej...

— Proszę dalej...

— Nie wiem, do czego pan zmierza.

— Słucha pan czasem wiadomości wieczornych? Czytuje pan gazety?

— Od czasu do czasu.

— Jakie są skutki tego całego prania mózgu?

— Prania mózgu?

Złączył czubki palców i spojrzał w sufit.

— Jakie są skutki tego całego skupienia się na ekonomii, interesach, rozwoju gospodarczym, na...

— Ależ każdy korzysta, jeżeli tylko...

— Doprawdy, gene? Wszystkie wasze istoty korzystają? Słonie i tygrysy też? Wasza PLANETA odnosi korzyść?

— Pan się powtarza. Dokładnie to samo mówił pan przed dwoma laty w telewizji.

— A pan nie słuchał mnie uważnie!

— Jesteśmy już świadomi zagrożeń. Wiemy o globalnym ociepleniu. Naukowcy wszystkich krajów studiuje ten problem...

Prot parsknął śmiechem.

— Kiedy wy, ludzie, przestaniecie „studiować” wasze problemy i zaczniecie z nimi coś robić?

— Z tym akurat coś robimy. Staramy się zmniejszyć emisję gazów cieplarnianych do poziomu z roku 1990.

— Chyba pęknę ze śmiechu! To właśnie poziom z 1990 roku spowodował cały problem!

— Nie rozumie pan. Musimy równoważyć zyski i straty. Musimy zachować kompro...

— Kompromis w sprawach środowiska to jak usuwanie połowy nowotworu.

— To nie takie łatwe, prot. Stawką są miejsca pracy, stawką są środki do życia.

— No właśnie.

— Co pan przez to rozumie?

— Ugrzęźliście w bagnie pieniądza i nie możecie znaleźć drogi wyjścia z niego. Tymczasem wasza PLANETA umiera. A naprawdę obłąkańcze jest to, że tego nie dostrzegacie. Katastrofa jest tuż-tuż, lecz gdy nastąpi, wy załamiecie tylko ręce i będziecie udawać, że się tego nie spodziewaliście.

— Ile czasu nam pozostało pana zdaniem?

— Dwadzieścia trzy lata — odparł rzeczowo.

— Chce pan powiedzieć, że naszemu gatunkowi pozostały jedynie dwadzieścia trzy lata życia na Ziemi?!

— Miałem na myśli to, że jeśli w tym czasie nie dokona się niezbędnych przemian, uruchomią się pewne procesy i nie będzie już można powstrzymać upadku.

— Jak pan to obliczył?

— To nie ja. Zrobił to ktoś inny z K-PAX.

— W oparciu o co?

— Posłużyła się danymi z mojego raportu. Opracowanie ich jest tak proste, że pan sam mogłoby to zrobić. Wystarczyłby prymitywny komputer.

— Jeśli to takie proste, dlaczego pan tego nie zrobił?

— Z tej samej przyczyny co pan: ani trochę mnie nie martwi, co stanie się z waszym

krwiożerczym i samolubnym gatunkiem. Jedyne, co mnie przygnębia, to że wasz los spotka też wszystkie inne istoty.

— Ależ mnie to martwi!

— No to dlaczego nic pan nie robi?

— W porządku, prot, może ma pan rację — powiedziałem, aby go udobruchać. — Ale czas kontynuować naszą sesję, zgoda?

— Oczywiście — wzruszył ramionami. — Czemu nie? Tak czy owak, to nie moja sprawa.

— Ponieważ niedługo pan nas opuszcza.

— Yhm.

— Wraca pan na K-PAX, gdzie nie ma problemów.

— Właśnie.

— Proszę mi jeszcze opowiedzieć o swoim dzieciństwie. Czy był pan biedny?

— Nikt nie jest „biedny” na K-PAX. Ani bogaty. To są pojęcia bez znaczenia.

— Jaki był wczesny okres pana dzieciństwa?

Wlepiał wzrok w pustą miskę na owoce. W końcu powiedział:

— O jak wczesny panu chodzi?

— Powiedzmy, sześć pierwszych lat życia.

— Waszych lat, oczywiście.

— Bądź ich odpowiednika według rachuby K-PAX.

— Gdybym miał wszystko opowiedzieć, zajęłoby mi to sześć waszych lat. Ma pan tyle czasu, gino?

— Do cholery, prot. Proszę wybrać to, co najważniejsze.

— Wszystko było najważniejsze. Czyżby w pańskim wypadku nie?

Westchnąłem.

— W porządku. Powiedzmy, że ma pan pięć lat. W ziemskich kategoriach, rzecz jasna. Obchodzi pan piątą rocznicę urodzin. Czy odbywa się jakieś przyjęcie? Czy jest tort urodzinowy?

— Nic z tych rzeczy.

— Dlaczego nic?

— Nie ma tortów na K-PAX. Ani przyjęć. Ani urodzin.

— Nie ma urodzin?

— Nasze cykle roczne są trochę zmienne, zależnie od... ale nie sądzę, żeby pan chciał się zagłębiać w ASTRONOMICZNE szczegóły.

— Nie teraz.

— Tak myślałem. W każdym razie nikogo nie interesuje, kiedy ktoś inny się urodził czy też ile ma lat. To nie ma żadnego znaczenia.

— A co z przyjaciółmi? Czy też są bez znaczenia?

— Niech pan raz jeszcze przeczyta własne książki. Na K-PAX każdy jest „przyjacielem”. Nie ma tam „wrogów”. Po prostu nie potrzebujemy ich, w przeciwieństwie do was.

— Jasne. A macie oswojone zwierzątka?

— Oczywiście, że nie.

— Zabawki? Gry?

— Nie tego rodzaju, jaki pan ma na myśli.

— A jakiego rodzaju?

— Nie mamy gier jak „Monopol”, żeby uczyć się, jak zarabiać pieniądze. Ani żołnierzyków, żeby uczyć się, że wojsko jest potrzebne. Ani lalek, żeby uczyć się radości rodzicielstwa. Żadnych takich głupot. — Zastanawiał się chwilę. — Nasze całe życie jest zabawą. Na K-PAX wszystko sprawia radość. Od samego początku.

— Problemy nie istnieją, czy tak?

— Tylko niewielkie, ale i one są uciechą.

— Z jakiego rodzaju niewielkimi, a zabawnymi problemami musiał pan sobie radzić?

— Ach, wie pan: zadrapania i stłuczenia, czasami ból brzucha, tego rodzaju sprawy.

— Nie wydaje mi się to wielką uciechą.

— To po prostu część życia.

— Czy bił się pan kiedyś z jakimś „przyjacielem”?

— Nikt nikogo nie bije na K-PAX.

— No to skąd te zadrapania i stłuczenia? Czy był pan karany za złe zachowanie?

— Nikt się źle nie zachowuje, bo i po co? A jeżeli nawet, nie ma żadnej kary.

— Ale ktoś musiał przecież spowodować pana kontuzje, czyż nie?

— Czy nigdy nie zdarzyło się panu spaść z drzewa, mój ludzki przyjacielu?

— Raz, może dwa razy. Nie miał pan wujka, który pana wykorzystywał czy coś w tym rodzaju?

— Skąd pan wziął tego zasranego wujka? Mówiłem panu: nic mi nie wiadomo o żadnym „wujku”!

— W porządku. A może ktoś inny dręczył pana, gdy był pan małym chłopcem? Ktoś spoza rodziny, nieznajomy?

— Oczywiście, żenię!

— Dobrze. Czym się pan zajmował jako mały chłopiec?

— Przyglądałem się kormom (ptaki), ścigałem z apami (zwierzęta podobne do małych słoni), uczyłem się nazw owoców i zbóż, obserwowałem gwiazdy, podróżowałem, spędzałem trochę czasu w bibliotekach, jadłem, spałem... wie pan: najpierw robiłem to, co trzeba było zrobić, a potem to, co sprawiało mi przyjemność.

— Czy miał pan rower? Łyżworolki?

— Nie. Po co komu takie rzeczy?

— Chodził pan pieszo, gdzie tylko pan chciał?

— To dobry sposób i więcej się zobaczy niż podczas podróży świetlnej.

— A właśnie, chciałbym zapytać, kiedy po raz pierwszy doświadczył pan takiej podróży?

— Bardzo wcześnie. Naturalnie z początku ktoś mi towarzyszył, dopóki sam tego nie opanowałem.

— W wieku pięciu lat?

— O wiele wcześniej.

— A wcześniej z kim pan podróżował?

— Z kimkolwiek, kto tylko się nadarzył.

— No tak. A z kim pan mieszkał w wieku pięciu lat?

Klepnął dłonią w czoło.

— Nikt z nikim nie „mieszka” na K-PAX. Lubimy się przemieszczać.

— A to dlaczego?

— K-PAX to wielki obszar. Można dużo zobaczyć. — Przeciwnie niż w niewielkim Guelph w stanie Montana, pomyślałem.

— Czy zmarł ktoś znajomy, gdy miał pan sześć lat?

Najwyraźniej chybałem.

— Chyba jakiś staruch, a może dwóch. Na K-PAX rzadko ktoś umiera.

— Tak, już pan to mówił. No dobrze, prot. Nasz czas na dziś dobiegł końca. Może pan już iść. Zobaczymy się w piątek.

Zerwał się z miejsca i pobiegł do drzwi.

— Tylko proszę uważać na fałszywe monety! — zawołał wychodząc.

Przypuszczam, że nadal droczył się ze mną.

George z pewnością doszedł do wniosku, że mój eksperyment z „podróżą świetlną” był świetnym kawałem. W gabinecie czekał na mnie faks od niego ze zdjęciem bardzo starego konia ze zwieszonym łbem i sterczącymi żebrami. Dorysowana strzałka wskazywała na to wychudzone stworzenie: „oto prot”. Pomyślałem, że zadzwonię, żeby wyjaśnić mu sytuację, ale właśnie wtedy pojawiła się Giselle. Wydawała się być w dużo lepszym nastroju niż przedtem. Gdy napomknąłem, że dostrzegam tę wyraźną zmianę, wykrzyknęła, że jeżeli prot znajdzie Roberta i zabierze go na K-PAX, ona na pewno także z nimi poleci.

— On to powiedział?

— Tak!

— I zabierze także mojego chrześniaka?

— Tak!

— No to wydaje mi się, że powinna pani bardziej mu pomóc w poszukiwaniu Roberta.

Jej uśmiech zniknął.

— Jak mogę to zrobić?

Poprosiłem, by najpierw dostarczyła mi wszelkie nieznane mi jeszcze szczegóły dotyczące historii życia Roberta, takie, które mogła poznać w ciągu ostatnich dwóch lat, towarzysząc mu przy stole, oglądając z nim filmy, robiąc wspólne plany przy lampce wina i w innych sytuacjach, które składają się na intymny i szczęśliwy związek dwojga osób. Niestety okazało się, że wie o nim niewiele więcej niż ja sam. Rzadko rozmawiali o jego dzieciństwie — to było bolesne dla niego (i dla niej też) — i o jego poprzednim związku małżeńskim (z tych samych przyczyn). Jednakże dostarczyła mi parę zaskakujących informacji o jego upodobaniach i awersjach. Na przykład choć był zainteresowany większością dziedzin nauki, włączając przyrodę — główny przedmiot jego studiów, dziwnie nie lubił astronomii. Nie oglądał nawet powtórnej emisji starego serialu Star Trek ani całego mnóstwa innych mu podobnych. Następną osobliwością była jego odraza do wanien. Korzystał tylko z prysznicza i nie wchodził do łazienki, kiedy Giselle brała kąpiel.

Pomyślałem sobie: Czy coś się wydarzyło, gdy mały Robin się kąpał?

— Czy może pani sobie coś jeszcze przypomnieć?

— Z tych dziwniejszych spraw to chyba wszystko.

— Jakie miał przekonania religijne?

— Robert nie jest ateistą, ale nie jest również zbyt religijny. Agnostyk to chyba najlepsze określenie.

— Czy opowiadał kiedyś o swojej zabawie żołnierzykami, albo rozmawiał na temat wojny w Wietnamie lub coś w tym rodzaju?

— Miał żołnierzyki?

— Kiedy był chłopcem.

— Jak moi bracia i wszyscy inni chłopcy, jakich znałam.

— Czy skarżył się kiedykolwiek, że cierpiał biedę, gdy dorastał, a może wyrażał negatywne opinie o gospodarce wolnorynkowej? Lub o tym jakie szkody może ona wyrządzić środowisku?

— On jest biologiem, doktorze B. Oczywiście wypowiada się na temat degradacji środowiska. Ale nigdy nie wykazywał komunistycznych inklinacji, nic w tym rodzaju, jeżeli o to panu chodzi.

— Czy jest przekonany, że Ziemia zmierza ku zagładzie?

— Nie w większym stopniu niż my wszyscy. Dlaczego pan o to pyta? Czy prot panu mówił, że Robert ma radykalne poglądy?

— Właściwie to nie. Wciąż staram się dociec istoty problemów Roberta. Proszę mi pomóc,

Giselle. Niech pani jeszcze się nad tym zastanowi, a na następne spotkanie mogłaby pani przygotować relację o wszystkich dziwnych zachowaniach Roberta, jakie tylko pani pamięta. I sporządzić listę jego upodobań i awersji, zwłaszcza tych, które mocno dały się odczuć. Zrobi to pani?

Zmrużyła swe wielkie sarnie oczy.

— Oczywiście, jeśli pan sądzi, że to coś pomoże.

Wolałem nie ujawniać swych wątpliwości.

Przechodząc przez świetlicę, spostrzegłem Frankie; siedziała w swym ulubionym miejscu na szerokim okiennym parapecie i spoglądała na trawnik. Spytałem, dlaczego nie narzuci płaszcza i nie wyjdzie na spacer. Odparła w typowy dla siebie sposób:

— Zasnana pogoda.

— Frankie, przecież dzień jest piękny!

— Piękno widzi ten, kto chce je zobaczyć — rzuciła mi nieprzyjazne spojrzenie. — Albo tak tylko mówią. Nie wiem, sama nigdy go nie widziałam.

— Nie uważa pani, że piękne jest słońce? Wciąż jeszcze zielona trawa pod koniec listopada? Liście pędzone przez wiatr?

— Co jest pięknego w śmierci i przemijaniu? — Wlepiała wzrok w mój lewy policzek. — To najszybszy pieprzyk, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Czy dla pani nie ma nic pięknego?

— K-PAX wydaje się w porządku.

— A na Ziemi nie ma nic dobrego? Góry? Brzeg morza? Muzyka? Czy pani lubi operę?

— Nie znoszę.

— Dlaczego?

— Rzygać mi się od nich chce — dorzuciła i odeszła, kołysząc się jak kaczka. Nieomal wpadła na Alice, która akurat w swojej „gigantycznej” fazie przemierzała świetlicę ciężkimi, olbrzymimi krokami i jednym machnięciem usunęła z drogi Frankie jak komara. W chwilach takich jak ta zawsze nachodzi mnie pragnienie, by zmienić zawód. Frankie nieodmiennie wpędzała mnie w depresję. Obciąża nas wszystkich odpowiedzialnością za śmierć swojej matki, której podano niewłaściwe lekarstwo w szpitalu, gdzie przebywała z jakiegoś błahego powodu. Była to swego czasu głośna sprawa, pamiętam, że sam o tym czytałem. Ale błędy zdarzają się nawet najlepszym z nas. Frankie mogłaby to sobie uświadomić, gdyby jej ojciec nie popełnił samobójstwa w rok później, a wkrótce potem także jedna z jej starszych sióstr. (Jak na ironię pielęgniarka odpowiedzialna za tę

tragiczną pomyłkę wyszła za adwokata Frankie, stając się bogatą i powszechnie szanowaną osobą.) Chociaż sama Frankie nie wykazuje tendencji samobójczych, pozostaje w stanie beznadziejnego zgorzknienia wobec wszystkich i w każdej sytuacji. Niestety ma najmniejszą szansę na uzyskanie pomocy od prota, gdyż on sam kiepsko sobie radzi w relacjach międzyludzkich. Usłyszałem krzyk gdzieś z tyłu poza mną.

— Doktorze Brewer! Doktorze Brewer!

Zastanawiając się, co to za afera znowu wynikła, odwróciłem się i zobaczyłem Milтона biegnącego ku mnie. Wujek Miltie nie miał na głowie swego śmiesznego kapelusza ani skraj koszuli nie wystawał mu z rozporoka. Naprawdę wyglądał na zupełnie kogoś innego. Niespodziewanie pomyślałem sobie, że może to jest właśnie prawdziwy Milton.

— Doktorze Brewer — wysapał, z poślizgiem zatrzymując się przede mną. — Proszę mnie wypisać! Prot powiedział, że jestem wyleczony!

— Ależ, Milton, wypadaloby, żeby pozwolił pan to ocenić jeszcze innym spośród nas.

— Nie, pan nie rozumie, ja j e s t e m wyleczony.

— Przyjmuję do wiadomości, że pan tak uważa i że być może jest to prawdą. Ale czy moglibyśmy umówić się na spotkanie, żeby o tym porozmawiać?

— Nie ma potrzeby!

— Czyżby? Jak mnie pan o tym przekona? Skąd pewność, że jest pan na tyle zdrowy, żeby się z nami pożegnać?

— Prot tak powiedział.

Przypatrywałem mu się bacznie przez długą chwilę. Ustąpiły wszystkie objawy psychozy. Milton był spokojny, spoglądał bystrym wzrokiem, nie usiłował mnie rozśmieszać. Stał przede mną człowiek, który stracił całą rodzinę w Holokauście. Nie z powodu głupiego błędu, jak w przypadku Frankie, lecz na skutek jednego z najmroczniejszych okresów ludzkiej historii. Jednakże głęboka rozpacz, którą zakrywać miały dowcipy i błazenada, już nie zaciemniała jego spojrzenia.

— Niech pan mi powie, co takiego dziś się wydarzyło?

— Rozmawiałem z protem. Znalazł odpowiedź na wszystkie moje problemy.

— Jaką mianowicie?

— Zapomnieć o naszej historii.

— Zapomnieć o Holokauście?

— Zapomnieć o wszystkim. Nie potrzebujemy żyć przeszłością, płacząc nad tym, co

zrobiliśmy albo co nam uczynił ktoś inny. Nie musimy szukać odwetu, drepząc w błędnym kole. Nie musimy nawet nikomu przebaczać. Możemy po prostu zacząć wszystko od początku, tak jakby przeszłość nie istniała. Dziś może być pierwszy dzień mojego życia! To coś dla mnie!

— Czyżby, panie Milton?

— Z całą pewnością, doktorze Brewer.

— I sądzi pan, że wspomnienia nie powrócą?

— Oczywiście, że nie. Przeszłość nie istnieje. Początek jest teraz!

— Porozmawiamy o tym jeszcze, ale najpierw proszę mi pozwolić pomówić z protem. Zgoda?

— Jak pan sobie życzy. Czy mam przygotowywać się do zejścia na Oddział Pierwszy?

— To zależy od doktor Goldfarb i od komisji kwalifikacyjnej. Nie wykluczam jednak, że decyzja zapadnie po pańskiej myśli, jeżeli poprawa będzie postępować.

— Gwarantuję. Zdziwiłby się pan, jakim ciężarem potrafi być przeszłość!

— Temu nie zaprzeczę!

Gdy powróciłem do gabinetu, zastałem tam naszą szanowną panią dyrektor, przechadzała się tam i z powrotem, paląc papierosa. (Goldfarb rzuciła palenie dziesięć lat temu.)

— Co się stało? — zapytałem.

— Pamiętasz wizytę ludzi z CIA po występie prota w telewizji przed dwoma laty?

— Jak mógłbym zapomnieć? Przypominali mi Laurela i Hardy'ego.

— Znowu tu byli.

— Czego chcieli?

— Pytali, dlaczego nie poinformowaliśmy ich o powrocie prota. Zażądali rozmowy z nim.

— I co im powiedziałaś?

— Zapytałam, czy mają nakaz sądowy. — Goldfarb należy do ostatnich już liberałów, podobnie jak moja córka Abby.

— I mieli go?

— Nie. Ale przedstawili prośbę podpisaną przez prezydenta.

— Mówisz o Prezydencie?

— O nim.

— Ale skąd w ogóle wiedzieli, że prot jest tutaj?

— Chyba wszyscy już o tym wiedzą.

— No dobrze. I dałaś im prawo wstępu?

— Nie, powiedziałam, że muszę najpierw porozumieć się z jego lekarzem.

— O czym chcą z nim rozmawiać?

— Chcą się dowiedzieć, w jaki sposób potrafi podróżować z prędkością światła. Ze względu na bezpieczeństwo narodowe, jak podkreślili.

— Kusi mnie, żeby odmówić ich prośbie.

— Jesteś gotów odmówić prośbie Prezydenta Stanów Zjednoczonych?

— Być może.

— Brawo! Jeśli mam być szczerą, nie sądziłam, że cię na to stać.

— Moim zdaniem jednak ostateczna decyzja w tej sprawie powinna należeć do prota.

Stawna para aktorów komediowych z epoki filmu niemego, odtwarzających postaci Flipa i Flapa.

Zgasiła papieros o szkiełko zegarka (jej niegdysiejszy nawyk) i wsunęła niedopałek do kieszeni żakietu.

— To jeszcze nie wszystko.

— Nie?

— Chcą tu być, gdy będzie odlatywał.

— POCO?

— Z tego samego powodu. Chcą zainstalować kamery i wszystko inne, cały sprzęt, który będzie zarejestrować to wydarzenie.

— Jak zamierzają to zmieścić w jego pokoiku?

— Już to przemyśleli. Chcą, żeby wszystko odbyło się w świetlicy.

— Oczywiście nie zgodziłaś się na to.

Przyjrzała się czubkom swym zamszowych bucików, dobranych pod kolor do zielonej wełnianej spódnicy.

— Niezupełnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zaproponowałam im kompromis. Powiedziałam, że wpuszczę ich na teren szpitala tylko pod warunkiem dopuszczenia prasy.

— Co? Chcesz...

— Istnieje różnica między wtrącaniem się w sprawy pacjenta a obserwowaniem go. Jeżeli pozostaną na uboczu i nie będą usiłovali przeszkadzać, niezależnie od tego, co się wydarzy...

— Granica między jednym i drugim jest doprawdy cienka...

— Pomyśl tylko. Nowe skrzydło pochłonie półtora miliona więcej, niż przewidywano. Będziemy potrzebowali wszelkiej możliwej reklamy, by uzyskać fundusze niezbędne do zakończenia tej przeklętej budowy.

Zacząłem się śmiać.

— Co cię tak rozbawiło?

— Wyobraziłem sobie minę prota, kiedy dowie się, że jego wizyta zakończy się kolejnym występem w celu zdobycia funduszy dla IPM.

Dopiero po jej wyjściu uświadomiłem sobie, że na śmierć zapomniałem powiedzieć jej o Miltonie.

SESJA TRZYDZIESTA SIÓDMA

Gdy w środę rano wszedłem do pokoju prota, a wraz ze mną parka kotów, zawołał:

— Spójrzcie no, kogo to koty przyprowadziły! — Publiczność stanowiło kilku pacjentów.

Nie rozbawiło mnie to.

— Prot, muszę z panem porozmawiać.

— Cokolwiek pan rozkaże, doktorze. — Zaledwie skinął głową, a wszyscy odmaszerowali, choć nie bez szemrania i gniewnych spojrzeń, zarówno pacjenci, jak i koty.

— Co pan powiedział Miltonowi?

— Chodzi o to, że potraktowałem jego przeżycia jako kiepski żart?

— Tak.

— Powiedziałem mu, żeby zapomniał o całej tej waszej historii. To tylko sakramencki rozgardiasz, katalog fałszywych inicjatyw i złych obrotów spraw, z góry skazanych na przegraną.

— Miałby zapomnieć o całej naszej historii?

— Każda istota ludzka powinna zapomnieć.

Myślałem, że znowu żartuje.

— Niech pan posłucha, prot. Doceniam pańskie starania, żeby pomóc pacjentom. Wszyscy doceniamy. Ale nie zgadzam się, żeby pan zabierał się do terapii bez wcześniejszego porozumienia z lekarzem.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ choroba psychiczna jest czymś bardzo złożonym...

— Nie tak znów bardzo.

— Prot, wiem, że kiedyś pomógł pan innym. Ale taka obłąkańcza sugestia może przynieść odwrotne skutki...

— W wypadku Milтона okazała się skuteczna, prawda?

— Poza tym jak możemy zapomnieć o naszej historii? Ktoś powiedział, że zapominając historię, jesteśmy skazani na jej powtarzanie.

— I tak ją powtarzacie! Doświadczacie wojny, potem następnej, i jeszcze jednej, i kolejnej. One niczego was nie uczą, tylko jak jeszcze skuteczniej zabijać jeszcze więcej istot. Historia służy przypominaniu, kogo macie nienawidzić. Lecz wasze wojenki i inne grzeszki to pestka w porównaniu z determinacją, z jaką niszczyacie własny ŚWIAT. Zresztą idzie wam źle od samego początku. Feudalizm, komunizm, kapitalizm, seksizm, darwinizm... wszystko, czego tylko próbowaliście, zawiodło. Jediną drogą wyjścia z takiego zamętu jest zacząć wszystko od nowa.

Upomniałem się w duchu, że nigdy nie należy wchodzić w spór z chorym psychicznie.

— Dzięki za wykład, zastanowię się nad tym. Druga sprawa, o której chciałem z panem porozmawiać, dotyczy dwóch wczorajszych gości.

— Chodzi o tych agentów?

— Wie pan o nich?

— Wszyscy wiedzą.

— Czyli wie pan także, że życzą sobie z panem porozmawiać?

— Oni też chcą, żebym udał się do niemiec?

— Nie. Przypuszczam, że pański występ w telewizji przekonał ich, że potrafi pan przemieszczać się na promieniu światła. Niemniej chcieliby wiedzieć dokładnie, jak pan to robi.

— To się robi...

— Za pomocą luster, pamiętam. Czy Giselle może umówić pana spotkanie z nimi?

— Jeżeli chce.

Podniosłem się.

— Oczekuje jej pan?

— W każdej chwili.

— Mówiła mi, że uda się wraz z panem na K-PAX. Czy to prawda?

— Jeśli rob polecą, nic jej nie powstrzyma.

— A jeżeli on nie będzie chciał? Albo jeśli pan go nie znajdzie?

— Przypuszczam, że wtedy giselle zechce z nim pozostać na ZIEMI. Dziwne, prawda?

— Co w tym dziwnego?

— Wasze istoty wolą pozostać na tej skazanej na zagładę PLANECIE z kimś, kogo kochają, niż powędrować do raju. Jest to niezwykle interesujące zjawisko.

— Tak czy owak, czy to mądrze z pańskiej strony rozbudzać w niej nadzieję?

— Ja tylko odpowiadałem na jej pytania. Nadzieja to jej własny wymysł.

— Ale od pana zależy, czy znajdzie się na liście.

— Wielu ludzi, z którymi rozmawiałem, poleciałoby, gdyby dać im szansę. I niemal wszystkie inne istoty. Sprawiliście, że ich życie na ZIEMI jest żalosne, wie pan. Ograniczenie listy do setki okazuje się trudniejsze, niż przypuszczałem.

— Zanim klamka zapadnie, mieszkańcy Oddziału Trzeciego również pragnęliby z panem porozmawiać. Czy przyszedłby pan dzisiaj do nich na lunch?

— A czy będą owoce?

— Sądzę, że to się da zrobić.

— Przyjdę!

Musiałem napić się kawy. W lekarskiej stołówce spotkałem Laureę Chang, czytała czasopismo naukowe, popijając herbatę. Była u nas dopiero od paru miesięcy i nie znałem jej jeszcze zbyt dobrze, wiedziałem tylko, że miała doskonałe wyniki na studiach i świetne rekomendacje. A także to, że w młodości była mistrzynią łyżwiarstwa, lecz pechowa kontuzja przerwała jej karierę i uniemożliwiła udział w Olimpiadzie Zimowej '88. W rezultacie nabawiła się depresji i zainteresowała medycyną, zwłaszcza psychiatrią.

Spytałem, jak radzi sobie z pacjentami, czy chciałaby wiedzieć coś więcej o szpitalu, czy ma jakieś problemy ze współpracownikami i warunkami pracy.

— To łomotanie i wiercenie w nowym skrzydle budynku doprowadza mnie do szału! — odpowiedziała, nie odrywając wzroku od artykułu, który czytała (na temat zależności pomiędzy niedotlenieniem płodu a autyzmem).

— To potrwa jeszcze tylko dwadzieścia albo trzydzieści lat...

To jej nie rozśmieszyło.

— Czuję się zupełnie jak u dentysty.

Poszedłem po filiżankę zdrowotnej „herbaty tropikalnej”. Na drugim końcu sali rozmawiali Thorstein i Menninger. Wyraźnie dochodziły mnie ich głosy, a w każdym razie głos Thorsteina, będący z rodzaju tych, które z łatwością rozchodzą się po całym Dworcu Centralnym. Wynikało z tej rozmowy, że Cassie bardziej niż kiedykolwiek wycofała się w świat swoich myśli i rojeń. Nie było w tym nic niezwykłego — wszyscy pacjenci mają swoje „górkę i dołki”. Jednak zaskakujące było to, że na nią jedną spośród mieszkańców szpitala prot wywierał wpływ negatywny. Pomyślałem sobie, że nawet on nie potrafi dotrzeć do wszystkich.

Kiedy powróciłem do stolika, Chang była nadal zatopiona w lekturze. Wpatrywałem się w jej połyskujące czarne włosy i promienną młodzieńczą twarz i przez chwilę przeżywałem wizję przyszłości. Pomimo astronomicznych kosztów studiowania medycyny i psychiatrii, przewidywanego obniżania nakładów na służbę zdrowia oraz wszystkich innych problemów związanych z uprawianiem naszego zawodu, uświadomiłem sobie z niemałą satysfakcją, że obecny nabór młodych klinicystów można zaliczyć do najlepszych w historii. Być może dlatego, że prawdziwe wyzwania nie są dla słabeuszy.

— Może ma pani jakieś inne kłopoty? — zapytałem. — Coś, o czym chciałaby pani porozmawiać? — Rzecz jasna pragnąłem wy badać, czy ma problemy ze swoimi pacjentami.

Oderwała wzrok od artykułu.

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o protcie.

— To znaczy o Robercie. Prot jest w istocie tylko wtórną osobowością.

— Ale jeśli dobrze zrozumiałam z ostatniego zebrania personelu, ma pan trudności z dotarciem do Roberta. Jakich metod pan próbował?

Wielki Boże, pomyślałem. Ona chce pomagać mnie. Nie wiedziałem, czy mam się czuć mile połączony czy też urażony. Ale niech tam — może potrafi dostrzec coś, co mi umknęło. Streściłem jej przebieg pierwszej i drugiej „wizyty” prota i przedstawiłem zwięźle, co udało się uzyskać (jeśli cokolwiek) w trakcie czterech sesji od czasu jego ponownego pojawienia się przed dwoma tygodniami.

— Gwizdek nie zadziałał tym razem?

— Chyba nie. Robert ukrył się w swojej skorupie jeszcze głębiej niż siedem lat temu.

— Ale poprzednio ten sposób dawał dobre efekty?

— Tak.

— W stanie hipnozy czy bez niej?

— Bez. To była sugestia pohipnotyczna.

— A czy spróbował pan zagwizdać, kiedy pacjent był pod hipnozą?

Szczęka mi opadła. A potem sparzyłem sobie herbatą podniebienie. Jaki byłem głupi! Poprzednim razem było tak łatwo przywołać Roberta, że przestałem uznawać hipnozę za niezbędną.

Laura Chang bez słowa powróciła do lektury. Nim to jednak zrobiła, zdążyłem zauważyć, że jej oczy błyszczą bardziej niż przedtem, i mógłbym przysiąc, że na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Czwartkowy wykład był kolejnym niepowodzeniem. Kiedy powiedziałem, że prot odmówił udziału w eksperymencie z podróżą świetlną, wybuchł wielki zgiełk. Rozgorzała dyskusja (tak jakby mnie tam w ogóle nie było), czy to na pewno dowodzi, że prot jest tylko człowiekiem. Gdy w końcu opanowałem sytuację i zacząłem mówić o zaburzeniach jedzenia, trwało wciąż przesuwanie krzeseł, przekładanie papierów, chrząkanie i pokastywanie, i powróciło nieśmiertelne pytanie: „Czy to będzie obowiązywać na egzaminie końcowym?”

Nie czułem się najlepiej, toteż zreferowałem cały materiał tak szybko, jak tylko się dało. Myśli miałem przy tym zajęte protem i niepożądanymi konsekwencjami, jakie zawsze rodziła jego obecność w szpitalu, aczkolwiek zostałem poinformowany, że jego obecność na lunchu u mieszkańców Trójki przyniosła bardzo zbawienne skutki. A Milton zdecydowanie się zmienił. Nie tylko przestał sypać niekończącymi się dowcipami, żonglować warzywami i jeździć w kółko po świetlicy na swym jednokołowym rowerku, ale nawet wydawało się, że już tego nie potrafi, nie mógł

sobie również przypomnieć żadnych dowcipów. Zdaniem Betty McAllister, którą trudno byłoby nazwać laikiem, i paru innych pielęgniarek — był równie zdrowy jak one i powinien zostać przynajmniej przeniesiony na Oddział Pierwszy, jeżeli nie wypisany od razu.

Ale co z Cassandrą? Dlaczego zamknęła się w sobie bardziej, niż to było na początku jej pobytu, i jaki to miało związek z protem? Oczywiście, moje myśli skupiały się przede wszystkim na Robercie. Musiałem go odnaleźć, może właśnie wtedy, gdy jego „pozaziemski” przyjaciel będzie pod hipnozą. Gdy się to powiedzie, planowałem spenetrować, co mogło mu się przydarzyć we wczesnym dzieciństwie, wstrząsnąć jego świadomością w taki lub inny sposób. Miałem tylko nadzieję, że taki szok nie okaże się dla niego porażający.

Znowu nie było miski z owocami. Chciałem, by prot poczuł się zdenerwowany, niepewny. Wszedł do pokoju badań, rozglądał się, wzruszył ramionami i usiadł.

— Jak pan się dziś czuje? — spytałem zdawkowo.

— Napalony na brzoskwinie — odparł, dość aluzyjnie, jak mi się zdawało.

— Spotkał się pan już z CIA?

— Si, senor, z si aj ej, ajajaj!

— Co im pan powiedział?

— Że to się robi za pomocą luster.

— I co jeszcze?

— Chcieli wiedzieć, czy nie zapoznałem jakiegoś obcego mocarstwa z tą procedurą.

— No i?

— Spytałem: „Co pan rozumie przez «obcy», biały człowieku?”

Ukryłem uśmiech.

— I co dalej?

— Chcieli, żebym podpisał przyrzeczenie, że tego nie zrobię.

— Podpisał pan?

— Nie.

— Co oni na to?

— Proponowali mi jakieś akcje i obligacje. Nie mogłem powstrzymać się od parsknięcia.

— To wszystko?

— Domagali się również, żebym nie próbował opuścić tego miejsca.

— Zgodził się pan?

— Powiedziałem, że zostaję tu do trzydziestego pierwszego grudnia. Poza paroma krótkimi wycieczkami, być może.

— Jakie mieli zdanie na temat tych „wycieczek”?

— Ostrzegli, że będą mnie śledzić.

— Skoro doszedł pan do tego tematu, ciekaw jestem, czy wyjaśni mi pan coś, nad czym się od dawna zastanawiam... Jak udaje się panu wydostać ze szpitala, nie będąc dostrzeżonym przez nikogo?

— A potrafi pan dostrzec fotony? — zapytał ze zbyt już dobrze znanym szerokim uśmiechem.

— Czyli to, z czego składa się światło, tak?

— Mniej więcej.

— No a przenikanie przez drzwi?

— Ależ, gene, pan dobrze wie, że światło nie przenika przez drzwi.

— Czy to oznacza, że gdybyśmy zamknęli pana w pokoju bez okien, nie mógłby pan go opuścić?

— Oczywiście, że mógłbym. Otwarłbym po prostu drzwi i wyszedł.

— A jeżeli drzwi byłyby zamknięte na klucz?

Pokręcił głową. Musiałem mu się wydawać najgłupszą osobą na całej Ziemi.

— Gino, nie ma takiego zamka na ZIEMI, którego nie potrafiłbym otworzyć. Ale jeżeli pan chce rozgrywać kolejną ze swoich gier...

— A jeśli nie byłoby drzwi? — naciskałem.

— Jeśli pokój nie ma drzwi, jak możecie mnie tam wsadzić?

— Moglibyśmy wybudować takie pomieszczenie wokół pana.

— A co by mnie powstrzymało od wyjścia podczas wznoszenia ścian?

— Hm, moglibyśmy na przykład... — Zdałem sobie sprawę, że czas ucieka. — Ech,

zostawmy to. Widzi pan tę małą plamkę na ścianie za mną?

Zajodłował:

— Te staaaaare czaaaaary (pauza) mają mnie w swej moooocy... Razdwatrzycztery... — i zapadł w swój głęboki hipnotyczny sen, tak jak to zwykle bywało.

Odczekałem trochę i zacząłem mówić łagodnym, lecz przekonującym tonem.

— Rob, mógłbyś pokazać się na chwilę? Chcę z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym.

Nic nie wskazywało, że mnie słyszy.

— Rob, myślę, że już wiem, co cię dręczy, co sprawia ci tyle bólu. Mogę ci o tym powiedzieć?

Czekałem znowu przez długą chwilę. Było to jak rozmowa z umarłym. Ale, pomyślałem, co mamy do stracenia? Wyciągnąłem gwizdek i dmuchnąłem ile sił w płucach.

Ani drgnął. Oczywiście w 1995 roku mógł mnie oszukiwać. Jak lubił mawiać mój mentor: „Gdy wszystko zawiedzie, spróbuj użyć młota kowalskiego”.

— Rob, przypuszczam, że zostałeś w jakiś sposób

skrzywdzony w bardzo wczesnym dzieciństwie, może nawet jako niemowlę. To było coś, czego możesz sobie nawet nieuświadamiać, lecz co wiąże się z twoim późniejszymi przeżyciami u wuja Dave’a i ciotki Catherine. Przerażające doświadczenie, które odcisnęło piętno na całym twoim życiu, mimo że nie było w tym żadnej twojej winy. Możemy naprawić te szkody, jeśli na to pozwolisz. Rozumiesz? Brak reakcji.

— Rob? Możemy o tym chwilę porozmawiać? — znów chwilę odczekałem. — No dobrze, daj mi tylko jakoś znać, że mnie słyszysz, i już cię puszczę. Obiecuję, że nie będę wracał do tego tematu, dopóki ty nie będziesz gotowy...

Żadnego ruchu, szeptu — nic.

— W porządku, Rob. Proszę, przemyśl to sobie do następnego spotkania. Zobaczymy się za parę dni.

Po chwili rzekłem cicho:

— Prot? Jesteś tutaj? Gwałtownie rozwarł oczy.

— Hej, doktoru, jak się pan miewa?

— Napalony na brzoskwinie — odparłem posępnie. — Teraz cię wybudzę. Pięć, cztery, trzy...

— Skończyliśmy?

— Najwyraźniej jesteśmy w punkcie wyjścia. Ponownie.

— To najlepsze miejsce.

— A zatem zacznijmy tam, gdzie przerwaliśmy ostatnim razem. Ma pan sześć lat, według rachuby ziemskiej, i jak dotąd pana dzieciństwo na K-PAX przebiegało wspaniale, bez żadnych problemów, pomijając przypadkowe draśnięcia i siniaki. — Nie dostrzegając tej drobnej ironii lub ignorując ją, czekał, co powiem dalej. — Co było potem? — przynagliłem.

— Po czym?

— Po ukończeniu sześciu lat.

— Miałem siedem.

— Ha, ha, ha. Niech mi pan opowie o swoim życiu, życiu siedmiolatka. Na przykład, czy miał pan przyjaciół w swoim wieku?

— Na K-PAX wszyscy...

— Zapytam inaczej. Czy był ktoś w pana wieku, z kim mógł się pan bawić... to znaczy robić coś z nim wspólnie? Chodzi mi o kogoś z pańskiego gatunku.

— Raczej nie. Jak pan wie, nie ma u nas zbyt wielu dzieci. Nie to, co u was na ZIEMI, gdzie prawie wszyscy uważają chyba za swój obowiązek płodzić dzieci i płodzić, i przeludniać ZIEMIĘ, aż wszyscy się w końcu podusicie.

Zanotowałem sobie: „Jego tyrady w sprawie ochrony środowiska tak naprawdę dotyczą prokreacji i seksu?”.

— Porozmawiajmy lepiej o panu, dobrze? Przecież gdyby rodzice pana nie splodzili, nie byłoby pana tutaj.

— Gdyby Giselle miała kółka, toby była samochodem.

— Wolałby się pan nie urodzić?

— Nieistotne, niewłaściwe i nieważne. W tej sprawie nie miałem prawa głosu.

— A gdyby je pan miał, jak by pan głosował?

— Gdyby Giselle miała kółka, toby...

— W porządku. Z kim pan utrzymywał kontakt, będąc chłopcem?

— Z kimkolwiek, kto tylko...

— .. .był w pobliżu. Tak, oczywiście. Ale konkretnie?

Wymienił kilka imion, nie znanych mi wcześniej.

— Wystarczy — przerwałem mu. — Czym się pan zajmował wspólnie z tymi... hm... istotami?

— Tym samym, co każdy. Jedliśmy, spali, oglądali gwiazdy i rozmawiali...

— O czym?

— O wszystkim, co tylko przyszło nam do głowy. W tym momencie coś przyszło do mojej.

— Proszę mi powiedzieć: kto panu powiedział o Ziemi?

— Nikt. Zauważyłem wasze fale radiowe, będąc w bibliotece. Tak samo, jak fale z innych PLANET.

— Ile lat miał pan wtedy?

— O, jakieś trzydzieści pięć. Według waszej rachuby trzy i pół.

— Czy wszystkie dzieci na K-PAX interesują się astronomią?

— Jasne. Mieszkańcy K-PAX wprost uwielbiają rozmawiać o innych PLANETACH, innych GALAKTYKACH, innych WSZECHŚWIATACH, tego rodzaju sprawach.

— Kiedy po raz pierwszy przybył pan na Ziemię?

— Mówiłem już. W 1963, zgodnie z waszym kalendarzem.

— Ile lat miał pan wtedy?

— Sześćdziesiąt osiem.

— To była pierwsza pańska podróż na inną planetę?

— Nie. Ale pierwsza w pojedynkę.

— Rozumiem. Pamięta pan szczegóły?

— Wszystkie.

— Czy mógłby pan o nich opowiedzieć?

— Mógłbym. — Siedział dalej w milczeniu.

Przeformułowalem pytanie.

— Otrzymałem wezwanie od kogoś o imieniu „robin”. Mówił, że mnie potrzebuje. No to wystartowałem.

— Wezwał pana przez telefon?

— Oczywiście, że nie. Na K-PAX nie ma telefonów.

— Więc jak pan się dowiedział, że Robin pana potrzebuje?

— Prawdopodobnie przypadkiem zestroiłem się z jego długością fali.

— Długością fali?

— Zapomniał pan już cały materiał fizyki ze szkoły średniej? Długość fali oznacza, jak długa jest fala.

— I po prostu pan poleciał.

— Tak.

— Co pan robił, gdy nadeszło wezwanie?

— Jadłem likę i przyglądałem się, jak żółty hom kopie dziurę.

— A gdzie pan wylądował po przylocie?

— W chinach.

— Jak dotarł pan do stanu Montana?

— W ten sam sposób jak do chin.

— Na promieniu światła.

— Tak jest.

— Zatem odnalazł pan Roberta...

— Od razu.

— Co robił, gdy pan przybył?

— Uczestniczył w pogrzebie.

— Co powiedział na pana widok?

— Niewiele. Niedawno zmarł jego ojciec.

— Musiał być bardzo nieszczęśliwy.

Prot zamilkł na chwilę.

— Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się ze smutkiem. Trochę czasu mi zajęło, nim zrozumiałem, co mu dolega.

— I jak pan to zrozumiał?

— Wyobraziłem sobie, że to ma chyba coś wspólnego ze zgonem jego ojca.

— A pana coś takiego by nie zasmuciło?

— Nie wiem nawet, kto jest moim ojcem.

— Prawda. Nie mógłby pan więc przeżywać smutku, gdyby umarł.

— Prawdopodobnie bym się o tym nie dowiedział.

— Cóż za wygoda!

— Czy to jeszcze jedno z tych pana ulubionych niedorzecznych stwierdzeń?

— Czego Robert chciał od pana?

— Nie powiedział. Sądzę, że po prostu potrzebował kogoś, kto by się nad nim uzalił.

— Potrafię to zrozumieć. Ale dlaczego wybrał właśnie pana?

— O to musi pan jego zapytać.

— Zdaje się, że nie chce ze mną rozmawiać. Może pan go spyta?

— Nie ma sprawy. Jeśli tylko go spotkam.

— Dziękuję. Jak długo przebywał pan wtedy na Ziemi?

— Parę dni.

— Tylko tyle, żeby pomóc mu przetrwać najgorszy okres, czy tak?

— Tak, można tak to ująć. Po pewnym czasie nie byłem mu więcej potrzebny.

— Zatem powrócił pan na K-PAX.

— Zgadza się.

— Do swych wędrówek, oglądania gwiazd i tym podobnych zajęć?

— Właśnie.

— I w ten sposób upływało pana dzieciństwo.

— Właśnie tak, przeważnie. Nie sądzi pan, że w tej chwili bardzo przydałaby się pomarańcza, a może banan?

— Postaram się, żeby pan dostał trochę owoców na zakończenie sesji.

— Uprzejmie dziękuję.

— No problemo. Idźmy dalej. W jakim wieku wszedł pan w okres dojrzewania?

— Miałem sto dwadzieścia osiem lat.

— Jak ten proces przebiega na K-PAX?

— Prawie tak jak tutaj. Wszędzie wyrastają włosy... Zresztą sam pan wie.

— Czy zmieniło się wtedy pańskie nastawienie do dziewczynek?

— Dlaczego miałoby się zmieniać?

— Kiedy zaczął się pan interesować dziewczynami?

— Odkąd pamiętam, wszystko mnie interesuje.

— Mam na myśli zainteresowanie seksualne.

— Gra pan znowu głupka, nieprawdaż, gene? Na K-PAX nikt przy zdrowych zmysłach nie interesuje się seksualnie kimkolwiek.

— Ponieważ stosunek seksualny jest bardzo przykry.

— Okropnie.

— Jeśli jest tak przykry, to dlaczego część waszych istot jednak decyduje się na przedłużenie gatunku?

— Niewiele jest takich istot.

— Ot tyle, żeby utrzymać gatunek przy życiu?

— „Gatunki” nie żyją. Tylko osobniki.

— Zapytam inaczej. Rozmnażacie się wyłącznie po to, by gatunek przetrwał?

— Nie. W istocie nasz gatunek prawdopodobnie wyginie za parę tysięcy lat.

— Czy to pana nie martwi?

— Dlaczego?

— Dlaczego? Ponieważ nie będzie już więcej dremerów! — (Mieszkańców K-PAX z gatunku prota).

Wzruszył ramionami.

— Dzisiaj tu, jutro tam. Kropla w oceanie czasu.

— No dobrze. Proszę mi powiedzieć, czy czynności seksualne są przykre od chwili ich rozpoczęcia?

— Od samego początku.

— Czy będąc chłopcem miewał pan erekcje?

— Od czasu do czasu.

— Jak to było?

— Zwykle oznaczało, że trzeba oddać mocz.

— Poza chwilą oddawania moczu nigdy nie dotykał pan swego penisa?

— Nie.

— Czy w czasie erekcji miał pan czasem jakieś seksualne doznania, miłe czy też nieprzyjemne?

— Bardzo nieprzyjemne. Wstawałem i od razu sikałem.

— A zatem przez całe... ee... czterysta lat, czy coś koło tego, nie był pan nigdy z kobietą? Ani też z mężczyzną, jeśli już o to chodzi? Nie onanizował się pan ani razu?

— Ani mi to było w głowie.

— I nigdy w życiu nikt nie usiłował pana uwieść?

— Nigdy.

— Czy widział pan kiedyś, jak ktoś to robi? Mam na myśli pański gatunek.

— Robi co?

— Podejmuje jakiegoś rodzaju czynności seksualne.

— Nie. Wie pan przecież, że to się rzadko zdarza na K-PAX.

— Nigdy nie widział pan, jak ktoś całuje lub dotyka kogoś płci przeciwnej?

— Oczywiście, że się dotykamy. Ale w sposób, który wy byście nazwali „platonicznym”.

Uderzyła mnie pewna myśl.

— Jeśli dobrze pamiętam, powiedział mi pan kiedyś, że na K-PAX nie ma czegoś takiego jak małżeństwo, dobrze mówię?

— Tak, i mogę powiedzieć, że jest to bardzo głupia koncepcja, także na ZIEMI.

— Bez miłości i małżeństwa skąd wiadomo, z kim spłodzić dziecko?

— To nie jest wielka zagadka. Wpadasz na kogoś, kto z takiego lub innego powodu odczuwa przymus powiększenia populacji gatunku i...

— Ale skąd wiadomo, że ktoś chce to zrobić?

— Powie o tym, rzecz jasna. Nie uprawiamy tych wszystkich głupich gier, jak wy na ZIEMI.

— Gdzie „wpada się” na przedstawicieli odmiennej płci? Czy istnieją bary lub coś w tym rodzaju?

— Nie ma barów. Ani restauracji. Ani siłowni. Ani sklepów spożywczych. Ani kościołów. Ani...

— Zatem dzieje się to podczas podróży?

— Zazwyczaj. Albo w bibliotece. Zdziwiłoby pana, jak wiele interesujących istot można spotkać w bibliotece.

— I po prostu czyni się to, niewiele o tym myśląc?

— O, przemyślimy to bardzo starannie przed rozpoczęciem.

— Rozważając za i przeciw.

— Otóż to!

— I każdy na K-PAX wie, jak przykrą sprawą jest seks?

— Z pewnością.

— Kto was tego uczy?

— Ktokolwiek jest...

— Ktokolwiek jest w pobliżu. Wiem, wiem. W porządku. A co, jeśli ktoś pragnąłby począć dziecko z panem, a pan tego nie chce?

— Nic.

— A jak to jest ze zwierzętami?

Kolejne krótkie prychnięcie w stylu prota.

— Wszyscy jesteśmy zwierzętami, gino.

— Czy widział pan kiedyś kopulację innych gatunków na waszej planecie?

— Od czasu do czasu.

— Czy sprawiały wrażenie, że odczuwają ból?

— Zdecydowanie tak. Ma wtedy miejsce stawianie silnego oporu, dużo hałasu i zamieszania.

— Wszystkie wasze istoty mają te problemy?

— Nie uważam tego za problem.

— Prot, czego nienawidzi pan bardziej: pieniędzy czy seksu?

Pokręcił znowu głową.

— Jeszcze pan tego nie pojmuje, doktorze? Pieniądze to głupi wymysł. Seks jest rzeczą straszną.

Pokiwałem głową, odkrywając ze zdziwieniem, że pora kończyć spotkanie.

Ale prot jeszcze nie skończył.

— Wasze istoty zdają się ulegać bezgranicznej fascynacji tematyką rozmnażania. Wszystkie wasze piosenki są o tym, filmy, seriale i tak dalej, i tak dalej, rzygać się chce. Miłość, seks, miłość, seks, miłość, seks. W, ludzie, niełatwo ulegacie znudzeniu, prawda?

— Dla większości z nas to ważny temat.

— A szkoda. Pomyślcie, ile moglibyście osiągnąć, poświęcając cały ten czas i energię czemuś innemu.

— Podejmiemy tę dyskusję na następnej sesji, dobrze?

— Będzie, jak pan zechce. Proszę nie zapomnieć przesłać mi trochę owoców. Będę w swoim pokoju.

— Ciekaw jestem, co pan będzie robił po zjedzeniu owoców?

— Myślę, że się zdrzemnę.

— To brzmi ekscytująco.

— I takie jest. — Założył swe ciemne okulary. — Pozdrawiam.

Zastanawiałem się, co chce przez to powiedzieć. Gdy wychodził, zawołałem:

— Prot!

Obrócił się na pięcie i zerknął sponad okularów.

— Taaaak?

— Czy miewa pan sny?

— Oczywiście.

— Niech pan postara się zapamiętać jakiś sen na następne spotkanie, dobrze?

— To nie będzie trudne. Zawsze śni mi się to samo.

— Tak? A co?

Przewrócił oczyma.

— Ka raba du rashtpan domit, sordkamm...

— Po naszymu, proszę.

— Okej. Widzę pola zbóż, wśród nich tu i ówdzie drzewa i piękne kwiaty. W pobliżu gromadka apów, ścigających się ze sobą, a w oddali stado... to coś w rodzaju waszych żyraf, przeżuwają liście rummudu. Przelatuje całe stado górskich kormów, wydając bardzo urozmaicone okrzyki... — Otwarł oczy i spojrzał w sufit. — A niebo! Niebo jest jak wasz zachód słońca: różowo-purpurowe. Mógłby pan powiedzieć, że to obraz jak z widokówki, tyle że my nie robimy zdjęć. Ani widokówek. Niebo jest tak czyste, że można dostrzec parę kanałów na naszych najbliższych księżycach. Ale tego, co najwspanialsze, nie da się zobaczyć. Trzeba to dotknąć, wachać, smakować. Jest tak niezwykła cisza, że głos niesie się na mile. Powietrze ma woń słodsza niż kapryfolium, tylko nie tak dusząca. Ziemia jest miękka i ciepła. Można się wszędzie położyć. Gdzie spojrzeć, wszędzie jest pożywienie. I można swobodnie wędrować, gdzie tylko się zechce, bez najmniejszej obawy. Jedyńm ograniczeniem jest wyobraźnia. Panuje cudowny spokój. Nie ma żadnego przymusu, żeby pracować czy robić to, na co się nie ma ochoty. Każda chwila jest szczęśliwa, bez...

— W porządku, prot. To brzmi wspaniale. Zaraz prześlę panu koszyk owoców. Na jakie ma pan ochotę?

— Na banany! — odparł bez namysłu. — Nie jadłem ich od dłuższego czasu. Im dojrzałe, tym lepsze — przypomniał mi.

— Pamiętam.

Z uśmiechem oczekiwania skierował się ku schodom.

Gdy już poszedł, spostrzegłem, że gryzmołę w żółtym notatniku: MIŁOŚĆ! SEKS! MIŁOŚĆ! SEKS! Zacząłem nawet nucić to pod nosem. Miałem poczucie, że była to kluczowa sesja, ale nie potrafiłem uchwycić dokładnie z jakiej przyczyny. Czyżby problem tkwił w tym, że komuś, kogo kochał, uczynił coś nie dającego się (w jego rozumieniu) wyrazić słowami? Czy wiąże się to w jakiś sposób z seksem? Dla prota seks był najgorszym wytworem całego wszechświata, gorszym nawet niż inne jego postrachy: pieniądze, religie, rządy, szkoły i cała reszta. Pomimo stworzonej przez niego laurki życia na K-PAX egzystencja jego samego i jego rodaków musiała być czymś tak okropnym, że większość z nich wybierała raczej wyginięcie niż reprodukcję gatunku. Przygnębiła mnie nasuwająca się smutna prawda, że ostatecznym rozwiązaniem problemów prota — i być może każdego z nas — jest śmierć sama w sobie. Nie lubię dzwonów żałobnych.

Była jeszcze sprawa snów, tego bezpośredniego połączenia z podświadomością. Istnieją czasopisma naukowe w całości poświęcone marzeniom sennym, jak też samemu zjawisku snu, choć wydaje się, że w istocie nikt nie wie, jaką sen spełnia rolę. Powstała hipoteza (Sagana, między innymi), że sen wytworzył się jako mechanizm ochronny u zwierząt zagrożonych przez drapieżniki, uruchamiany na czas największego zagrożenia. Moje własne poglądy są przeciwstawne w mniejszym lub większym stopniu: sen ma na celu obniżenie poczucia lęku i znudzenia w czasie, gdy zwierzęta pozostają w ukryciu. U istot ludzkich mógłby odgrywać tę samą rolę. Tak czy inaczej potrzeba snu tkwi w nas od milionów lat, podobnie jak, być może, potrzeba marzeń sennych.

Analiza snów może być potężnym narzędziem psychoterapii, jako że marzenia senne przywracają świadomości wydarzenia, które uległy wyparciu. Na przykład człowiek z lękiem wysokości będzie śnić nieustannie, że wypada z okna. Kobieta zaniepokojona seksualnymi prowokacjami swego współpracownika będzie przeżywać sny, w których jest atakowana przez mężczyzn z kijami (symbolizującymi męskie członki). Chociaż sny można rozmaicie interpretować, dostarczają one istotnego wglądu w to, co dosłownie „obciąża umysł”. Czasami mówią nam o sprawach, których nie ujawni nawet hipnoza. Choć wątpiłem, by analiza monotonicznie idyllicznego snu prota mogła wnieść coś nowego, obwinałem się o to, że nie podjąłem prób analizy snów Roberta, gdy była ku temu sposobność. Teraz nie było snów Roberta do analizy. Nie było Roberta.

SESJA TRZYDZIESTA ÓSMA

W sobotę, przy grabieniu ostatnich jesiennych liści, rozmyślałem o pewnym moim śnie, który powtarza się tak uporczywie, że od razu rozpoznaję w nim ułudę. Rozgrywa się zawsze w tym samym miejscu, w moim domu, choć jego pokoje są puste. Po bardzo długich poszukiwaniach (nie wiem

czego) wchodzę do jednego z pokoi i widzę tam jakiegoś mężczyznę. Rzeźbi coś dłutkiem. Skradam się bliżej, próbując zobaczyć, co takiego struga, aż wreszcie niemal rozpoznaję tkwiącą w jego silnych dłoniach dobrze mi znaną postać. W tym momencie zawsze się budzę. Czy dlatego, że uznaję, że sen już się zakończył, czy też dlatego, że tak naprawdę nie chcę dowiedzieć się, co ów mężczyzna rzeźbi — nie potrafię powiedzieć.

Rzecz jasna chodzi o mojego ojca, który kształtuje moje życie.

Miewam także inne, przyjemniejsze sny: zdobycie Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny (zupełnie nie wiem, co powiedzieć w przemówieniu), uprawianie namiętnej miłości z żoną (co czasem kończy się na jawie), gra w koszykówkę z naszymi dziećmi (które we śnie wciąż są tymi samymi dziećmi sprzed lat).

Ale protowi śnił się tylko jeden przepiękny sen, odzwierciedlający jego samotnicze szczęśliwe życie w absolutnie doskonałym świecie. Gdzie nikt nie musi pracować, żywności jest w bród, a życie jest wciąż radosne, harmonijne i interesujące. Czy zawsze miewał ten sam idylliczny sen, od samego początku?

Upychając pokruszone wonne liście do dużego plastikowego worka, myślałem o jego poprzednich „wizytach” i lucie szczęścia przy odkrywaniu tożsamości Roberta, bez czego cała terapia nie byłaby możliwa. Przypomniało mi się nagle, jak wprowadziwszy prota w stan hipnozy po raz pierwszy, pytałem go o najwcześniejsze jego wspomnienie. Odpowiedział wtedy bez chwili wahania, że był nim pogrzeb ojca Roberta. Teraz twierdził, że pamięta swoje narodziny, a nawet okres wcześniejszy. Czy nie w tym tkwił ów klin czy klucz — brak konsekwencji, którego tak usilnie poszukiwałem?

Karen zawołała mnie na lunch. Poprzedniego wieczoru odbywało się przyjęcie z okazji jej przejścia na emeryturę i niemal każdy z gości miał coś do powiedzenia o jej karierze zawodowej. Była pielęgniarką psychiatryczną w jednym z najlepszych w stanie Connecticut szpitali ogólnych. Jeden z kolegów opowiadał na przykład o tym, jak to kiedyś nie zdążyła na lunch i widział, że zjada resztki pozostawione przez pacjentów, którzy narzekali potem, że wcale jeszcze nie skończyli posiłku.

Były także podarunki, między innymi książka z zagadkami „Twój operowy iloraz inteligencji”, zawierająca wszystko, czego tylko zapragnęłaby dowiedzieć się na temat opery. Dla żartu, oczywiście. Karen nienawidzi opery, dotrzymuje mi towarzystwa tylko dlatego, że chce, bym ja z kolei od czasu do czasu wspólnie z nią oglądał w telewizji jej ulubione stare filmy. Niemniej z wielką powagą podziękowałem zebrany i obiecałem sprawdzać okresowo jej postępy w tej dziedzinie. Wśród innych, poważniejszych prezentów były książki kucharskie i podręcznicze — wertowała je w łóżku przez pół nocy, a pomiędzy nami leżała nowa kula do gry w kręgle, którą otrzymała ode mnie.

Chociaż przed końcem roku będzie musiała jeszcze pojawić się w pracy, by odebrać swoją ostatnią wypłatę i załatwić kilka zaległych spraw, był to de facto jej pierwszy dzień na emeryturze. Większą część przedpołudnia spędziła w kuchni, gotując treściwą zupę, zagniatając ciasto na chleb, przygotowując wspaniałą sałatkę i piekąc placek z jabłkami na deser. Coś całkiem odmiennego od moich codziennych krakersów z białym serem.

Reszta popołudnia upłynęła leniwie na rozmowach o sprawach rodzinnych i planach wycieczkowych. Problemem, który wykluczał (moim zdaniem) ostateczną przeprowadzkę na wieś, było, co zrobić z domem, w którym się wychowywałem, mając Karen w najbliższym sąsiedztwie. Oczywiście wciąż widziałem, jak wybiega się bawić, jej połyskujące zębki, piegowaty nos, włosy lśniące w słońcu. Przypomniałem jej, że nie chcę tracić tych wszystkich cudownych wspomnień.

— Nie bądź głupi — odrzekła. — Wynajmiemy go któreś z dzieci. Dlaczego nie porozmawiasz o tym z Fredem?

Mruknąłem coś pod nosem i zacząłem zapadać w drzemkę.

— Pożegnaj się lepiej ze swoim żółtym notatnikiem — zareagowała na to — zanim zaczniesz zasypiać podczas zebrań!

Nie przyznałem się, że to mi się już nie raz zdarzyło. Ale przynajmniej nie zasnąłem dotychczas w obecności pacjenta!

Poniedziałkowe zebranie personelu, zazwyczaj przebiegające ospale, tym razem było dość ożywione. Wiele emocji wzbudzała raptowna zmiana u Milтона, który był u nas od lat i jak wszyscy sądziliśmy, pozostanie już na stałe. Teraz oczekiwał na Oddziale Pierwszym zgody na wypisanie i cieszył się perspektywą życia poza murami szpitala, bez względu na to, jakie miałyby być. Czegoś takiego życzymy wszystkim naszym pacjentom, ale niestety cuda rzadko się zdarzają.

Ten sukces rzecz jasna spowodował większą jeszcze presję na mnie, bym zachęcał prota do rozmów z pozostałymi pacjentami, szczególnie z tymi zasiedziały, sprawiającymi wrażenie stałych domowników i wzruszającymi nas szczególnie, jak Linus, Albert, Alice i Ophelia. I Frankie, oczywiście. Wydawało się, że każdy z uczestników zebrania bezgranicznie pragnie wierzyć, że prot umożliwi tym pacjentom powrót do życia, tak jak to się stało w wypadku Milтона, a wcześniej i innych, w tym nawet paru naszych byłych psychopatów.

A ja cały czas zastanawiałem się: czy mam zachęcać prota, by spędzał więcej czasu z tymi nieszczęsnymi istotami? Czy pomoc, jaką być może uzyskają, jest ważniejsza od ryzyka, na jakie zostanie narażony mój pacjent Robert? Powróciła stara etyczna kwestia: czy można poświęcić jedną osobę w imię dobra dwóch lub trzech innych? Do tej pory nie odpowiedziałem sobie na to pytanie.

Ale jedno wiedziałem na pewno: że żadną miarą nie powinien mieć do czynienia z psychopatami. Nie chciałem, by osoba w rodzaju Charlotte, która zabiła i ciężko okaleczyła co najmniej siedmiu młodych mężczyzn, wykorzystywała jego naiwność i wielkoduszość. Jeżeli nawet nie czynił użytku ze swych genitaliów, nie mogłem pozwolić, by je stracił za sprawą obłąkańca.

Nie wyrzekłem ani słowa.

— Razdwatrzy... — powiedział prot i zapadł w trans.

— Słyszysz mnie, prot?

— Oczywiście.

— Dobrze. Spróbuj się odprężyć. Chciałbym porozmawiać przez chwilę z Robertem.

Dopóki prot pozostawał w stanie hipnozy, można było próbować bez ryzyka wywoływać Roberta. Może przemyślał sobie poprzednią sesję, może zmienił zdanie.

Czekałem dobrych parę minut. Nie ujawnił się, rzecz jasna, ale pomyślałem, że może uda mi się przełamać jego opór.

— Rob? Czy myślałeś o tym, co ci opowiedziałem ostatnio?

Brak reakcji.

— Nie będziemy rozmawiać o czymkolwiek, co jest ci niemiłe. Chcę tylko dowiedzieć się, czy słyszałeś mnie poprzednim razem i czy słyszysz mnie obecnie. Jeśli tak, podnieś lewą rękę do góry.

Ręka ani drgnęła.

— Rob? Tracimy tylko czas. Wiem, że mnie słyszysz. Zatem posłuchaj uważnie. Gdy przebywałeś tutaj przed dwoma laty, rozmawialiśmy o pewnych twoich problemach i udało się je w dużym stopniu rozwiązać, pamiętasz?

Brak odpowiedzi.

— Gdy mogłeś już opuścić szpital, pojechałeś odwiedzić swoje rodzinne miasto, później ukończyłeś pierwszy etap studiów przyrodniczych, ożeniłeś się z Giselle i urodził się wam synek. Nazwaliście go Gene, moim imieniem. Zgadza się?

Nadal brak odpowiedzi.

— Myślę, że nazwaliście go tak, ponieważ czułeś, że mi coś zawdzięczasz, i słusznie. W zamian za to, czego udało nam się wspólnie dokonać, proszę tylko, żebyś dał mi znać, że mnie słyszysz. To wszystko, o co cię proszę. Cokolwiek cię dręczy, o tym możemy pogadać kiedy indziej. W porządku?

Nic.

— Rob? Będę liczył do trzech. Gdy powiem trzy, uniesiesz lewą rękę. Zaczynam: raz... dwa... trzy!

Uparcie spoglądałem na jego rękę, ale nawet palec mu nie drgnął.

— Dobrze, będziemy tu siedzieć, aż podniesiesz rękę.

Siedzieliśmy, ale ręka się nie poruszyła.

— Wiem, że chciałbyś to zrobić, Rob. Ale boisz się, co się wtedy stanie. Zapewniam cię, że nic. Tu jest twoja bezpieczna przystań, pamiętasz? Nic złego nie może cię tu spotkać. Ani ty sam nie wyrządzisz nikomu krzywdy. Rozumiesz? Gdy tylko podniesiesz rękę, możesz się wycofać i odpoczywać aż do następnego spotkania. W porządku? No, a teraz... podnieś rękę!

Wciąż brak reakcji.

— Rob, mam dość tego kręcenia się w kółko. **PODNIĘŚ TĘ CHOLERNĄ RĘKĘ!**

Ani drgnęła.

— Dobrze, Rob, rozumiem. Czujesz się tak źle, że nic niema dla ciebie znaczenia. Ani miłość, ani lojalność, ani twój synek, nic w ogóle. Ale rozważ to sobie: ja, Giselle, mały Gene, twoja matka... czy mówiłem ci, że Giselle rozmawiała z nią przez telefon?... koledzy szkolni, przyjaciele, cały personel i pacjenci IPM, wszyscy, których znasz, chcą ci pomóc przejść przez ten trudny okres, jeśli tylko nam pozwolisz. Proszę, pomyśl o tym. Porozmawiamy później — zakończyłem rzeczowo. — Dobrze, prot. Możesz wrócić.

Podniósł głowę i otworzył oczy.

— Hej, doktorze. Co nowego?

— Niezbyt wiele, niestety. Ale mam nadzieję, że to wkrótce się zmieni.

— Spodziewam się, że na lepsze.

— Ja też. Zamknął oczy.

— Pięć—cztery—trzy...

— Proszę zaczekać! Rozwarł szybko powieki.

— Co? Czy źle to robię?

— Nie, skądże znowu. Ale chcę, żebyś pozostał jeszcze chwilę pod hipnozą.

— POCO?

— Powiedzmy, że chodzi o pewien eksperyment. Nawiasem mówiąc, ile masz lat obecnie?

— Trzysta...

— Według ziemskiej rachuby, poproszę.

— Trzydzieści dziewięć lat, dziesięć miesięcy, siedemnaście dni, jedenaście godzin i...

— To już wystarczająca dokładność. Dobrze, teraz chcę, żebyś cofnął się do wieku

siedemnastu lat. Oczywiście według ziemskiej rachuby. Błyskawicznie się odmładzasz. Robert jest w szkole średniej. Odwiedziłeś go wtedy. Pamiętasz?

— Jasne. Już o tym rozmawialiśmy.

— Właśnie. Przyjaciółka Roba, Sara, zaszła w ciążę. On nie wie, co począć.

Młody prot przesunął w ustach wyobrażoną gumę do żucia.

— Wdepnął w gówno, jak wy, ludzie, elegancko o tym powiadacie.

— I przybyłeś, żeby mu pomóc z niego wyjść.

Potrząsnął głową.

— Ludzie! Problemy dręczą was bez końca!

— W porządku. Rozmawialiśmy już na ten temat. Teraz chcę, żebyś cofnął się do wieku dziewięciu lat ziemskich, na K-PAX to będzie jakieś dziesięć razy więcej, prawda? Stajesz się coraz młodszy. Sto dwadzieścia, sto, i w końcu dziewięćdziesiąt. Jasne?

— Aha. Mam dziewięćdziesiąt lat.

— Tak. Właśnie skończyłeś dziewięćdziesiątkę. Oczywiście nie ma żadnych prezentów urodzinowych. To cię nie martwi?

— A powinno?

— Nie. Powiedz mi, co teraz robisz?

— Patrzę na drzewa jortowe za polami adro. Myślę, że pójde tam i zjem parę jortów.

— Świetnie. Zrobiłeś to. Co dzieje się wokół ciebie?

— Parę emów skacze po drzewach. Widzę kormy fruujące w górze i mnóstwo apów biegających tam i z powrotem po polach... — Był to obraz najwyraźniej piękny i spokojny, jak w jego jedynym marzeniu sennym.

— Czy w pobliżu są jacyś dremerzy?

— Tylko jeden.

— Kim on jest?

Dziewięćdziesięcioletni prot zachichotał.

— To nie on, tylko ona.

— Twoja matka?

— Nie.

— Ciotka? Sąsiadka?

— Nie mamy nikogo takiego na K-PAX.

— Ktoś obcy? Jakaś nieznajoma?

— Nie.

— Jak się nazywa?

— Gort.

— Czy to jakaś twoja bliska przyjaciółka?

— Wszyscy są przyjaciółmi.

— Czy Gort jest szczególnie godna uwagi?

— Każda istota jest godna uwagi.

— Od dawna ją znasz?

— Nie.

— Dobrze, prot. Stajesz się jeszcze młodszy. Młodszy... Młodszy... Wracamy do czasu, gdy miałeś pięćdziesiąt lat.

Prot natychmiast zamknął oczy. I potem już nie poruszył się. Czekałem. Wciąż tkwił w bezruchu. Zacząłem się niepokoić, że coś mu się stało. Równocześnie poczułem się niesamowicie podniecony. Czy ten destruktywny okres życia Roberta (gdy miał pięć lat) mógł w jakiś sposób oddziaływać również na psychikę pięćdziesięcioletniego prota?

— Prot?

Żadnej reakcji.

Mój niepokój narastał.

— Prot? Posłuchaj uważnie. Powrócimy znów do czasu, gdy miałeś dziewięćdziesiąt lat. Jesteś coraz starszy. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. Teraz masz już znowu dziewięćdziesiąt. Otwórz oczy, proszę.

Otworzyły się. Wydawał się trochę zakłopotany.

— Rozmawialiśmy o Gort, pamiętasz?

— Tak.

— Dobrze. Masz więc teraz dziewięćdziesiąt lat. Opowiedz, co pamiętasz ze swych osiemdziesiątych urodzin.

— Nie obchodzimy urodzin na...

— Tak, tak, wiem. Chcę, żebyś opowiedział, co robiłeś w dniu ukończenia osiemdziesięciu lat.

— Poleciałem na K-REM.

— Co to jest? Jakaś inna planeta?

— Nie. To jeden z naszych purpurowych księżyców.

— Jak wygląda?

— Jak wasza sahara.

— Długo tam przebywałeś?

— Niedługo.

— Byłeś tam z kimś?

— Tak.

— Z mężczyzną?

— Tak.

— Ile miał lat?

— Osiemset osiemdziesiąt siedem.

— To pewnie była jedna z ostatnich jego podróży.

Wzruszył ramionami.

— W porządku. Teraz znowu stajesz się młodszy. Masz osiemdziesiąt lat i coraz mniej. Siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt, sześćdziesiąt pięć. Stop, teraz masz sześćdziesiąt.

Prot znowu zamknął oczy.

Czekałem, ale nic nie powiedział.

— Spokojnie, prot — rzekłem prędko. — Teraz znowu będziesz starszy. Masz sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć... siedemdziesiąt lat. Co teraz robisz?

— Sprawdzam, jak daleko potrafię skoczyć.

— Dobrze. Teraz posłuchaj uważnie. Chcę, żebyś mi opowiedział, co się z tobą działo, gdy skończyłeś sześćdziesiąt lat.

Zastanawiał się chwilę nad tym pytaniem.

— Nie pamiętam.

Poczułem mrowienie na karku.

— Nie pamiętasz siebie z okresu, gdy miałeś sześćdziesiąt lat?

Majstrował coś przy oparciu fotela.

— Nie.

— Zupełnie nic?

— Nic.

— A co pamiętasz najwcześniejszego?

Bez chwili wahania odparł:

— Pamiętam jakąś skrzynkę. To co wcześniej jest trochę mgliste.

Zamarłem z napięcia.

— Co potrafiłbyś opowiedzieć o tym mglistym okresie, zanim jeszcze zobaczyłeś skrzynkę?

Zmarszczył silnie czoło, próbując sobie przypomnieć.

— Leżę na ziemi — wyszeptał. — Ktoś pochyla się nade mną.

— Kto to jest? Kto pochyla się nad tobą?

— Nie znam jej. Wyciera mi czymś buzię.

— Myje cię?

— Tak mi się zdaje. Jestem zamroczony. I boli mnie głowa.

— Dlaczego boli cię głowa?

— Nie wiem. Chyba spadłem z drzewa. Ale nie pamiętam.

— To bardzo ważne, prot. Ile miałeś lat, gdy to się wydarzyło?

— Sześćdziesiąt osiem.

— I nie pamiętasz niczego, co wydarzyło się wcześniej?

Pociągnął nosem i wytarł go rękawem koszuli.

— Nie.

Mój Boże! pomyślałem. Więc jednak nie chodzi o wykorzystanie seksualne Roberta w niemowlęctwie ani nawet w wieku pięciu lat przez wuja Dave'a. Decydujący moment nastąpił później. Miało to związek ze śmiercią jego ojca i było tak przerażające, że zepchnęło w cień wszystko inne, co spotkało go wcześniej. Czy mógł być świadkiem zgonu ojca? Albo jego samobójstwa? Czy możliwe, że został przez niego poproszony, by mu w tym dopomógł? Czy mogło to być — Boże Wszehmocny — zabójstwo z litości? Dostrzegłem, że nasz czas dobiega końca, i dobrze, że tak było. Potrzebowałem to wszystko sobie przemyśleć.

— Dobrze, prot. Teraz przywiodę cię do czasu obecnego. Jesteś coraz starszy. Masz siedemdziesiąt pięć lat i szybko doroślejesz. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt. Teraz sto, dwieście, trzysta lat. Wracamy do terażniejszości, jesteś na Ziemi. Rozumiesz?

— Oczywiście, że rozumiem, doktorze. To łatwizna.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Teraz cię wybudzę. Będę liczył od pięciu do jednego i...

— Znam już to wszystko. Pięć—cztery... Hej, szefie! Skończone na dzisiaj?

— Prawie. Chcę, żeby mi pan jeszcze odpowiedział na parę pytań.

— Czy one się nigdy nie skończą?

— Nie, zanim nie otrzymam pewnych odpowiedzi. Proszę mi powiedzieć, co pan pamięta ze swych sześćdziesiątych ósmych... to znaczy, chodzi mi o dzień, w którym pan skończył sześćdziesiąt osiem lat.

— Czy już nie...

— Tak, ale chcę jeszcze raz to usłyszeć.

Powtórzył, szybko i mechanicznie:

— Otrzymałem wezwanie od kogoś o imieniu „robin”. Powiedział, że jestem mu potrzebny. No to wystartowałem. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się ze smutkiem. Trochę czasu mi zajęło, nim zrozumiałem, co mu dolega...

— Właśnie zmarł jego ojciec.

— Tak.

— Co pan pamięta sprzed tego czasu?

— Wszystko.

— Swoje narodziny i tak dalej.

— Tak.

— Prot, czy pan wie, że w stanie hipnozy nie mógł pan sobie przypomnieć niczego, co wydarzyło się przed pana sześćdziesiątym ósmym rokiem życia?

— Bzdura!

— Jak pan to może wyjaśnić?

— Co wyjaśnić?

— Że pod hipnozą nie pamięta pan nic z tego wszystkiego.

— Nie mam pojęcia, szefie. Chyba że ma to jakiś związek z kroladonem.

— Z czym? Co to jest kroladon?

— Lek przywracający pamięć.

— Przywracano panu pamięć za pomocą tego środka?

— Słuszny wniosek, gino.

— Dlaczego nic mi pan o tym wcześniej nie mówił?

— Temat jakoś nigdy nie wypłynął.

Nagranie tej sesji zarejestrowało milczenie przez pełne dwie minuty. W końcu westchnąłem i zapytałem:

— Jak ten „lek” działa?

— Nie mam pojęcia, ale myślę, że kroladon tak naprawdę nie przywraca pamięci, tylko „odtworza” ją w innych obwodach.

— Rozumiem. W jaki sposób stracił pan pamięć?

— Nie bardzo wiem. Rozumie pan, powstaje pewna luka pomiędzy momentem, w którym

traci się pamięć, a tym, od którego kroladon ją programuje na nowo. Poza tym...

— Mniejsza o szczegóły, a zatem kiedy pan ją stracił?

— Gdy miałem lat sześćdziesiąt osiem.

— Tuż przed pierwszą pana podróżą na Ziemię.

— Dok... ładnie.

— Dok... ładnie w chwili śmierci ojca Roberta?

Nie spoglądając na zegar, który wskazywał akurat koniec sesji, prot nagle wykrzyknął:

— Czas na owoce! — i wybiegł.

Nie próbowałem go zatrzymać.

To było zwariowane, absurdalne. Wbrew wszelkiej logice prot niezahipnotyzowany pamiętał (dzięki „leкови przywracającemu pamięć”) wydarzenia sięgające życia płodowego, podczas gdy prot zahipnotyzowany nie potrafił przypomnieć sobie niczego, co wydarzyło się przed jego „sześćdziesiątymi ósmymi” urodzinami. Być może dlatego, że wcześniej po prostu nie istniał? Czy więc wymyślił swoje najwcześniejsze dzieciństwo? Czy to on był „kroladonem”? W uszach rozbrzmiały mi zachęty mego dawnego nauczyciela Davida Friedmana: „Dociekaj, dociekaj, dociekaj”. Z drugiej strony lubił on także powtarzać głupoty, w rodzaju „czarna krowa w kropki bordo...”, w najbardziej nieoczekiwanych momentach. To mu pomagało w myśleniu, jak sądzę.

Wymamrotałem to zdanie trzy albo cztery razy, ale nic zupełnie mi do głowy nie przyszło, poza wyobrażeniem zdumionej krowy. Mimo to byłem zdecydowany dociekać, dociekać, dociekać, niezależnie od tego, do czego to doprowadzi.

Giselle przybyła ze spisem upodobań i awersji Roberta. Można było z tego wywnioskować, czego prawdopodobnie najbardziej mu brakuje w obecnym jego stanie wycofania. Synka, Giselle, matki, pizzy z grzybami i czarnymi oliwkami, wiśni w czekoladzie i tak dalej. I ojca, oczywiście. Na to akurat niewiele można było poradzić, ale z resztą powinno być łatwiej.

— Chyba dostrzegłem u niego ślad reakcji, gdy mu wspomniałem o matce. Ale może to tylko moje pobożne życzenie — wyznałem szczerze.

— Czy powinniśmy ją zachęcić, żeby go odwiedziła?

— Wątpię, czy to pomoże. Gdy przyjechała tutaj poprzednim razem, był w katatonii, pamięta pani? Nie zareagował na jej obecność i to ją zmartwiło jeszcze bardziej.

Jej oczy rozblęły.

— Założę się, że zareagowałby na wizytę ojca.

— Giselle, przecież to nierealne.

— Dlaczego nie? Mam przyjaciela aktora, który mógłby bardzo dobrze w niego się wcielić, jeżeli tylko dostarczymy mu odpowiedni materiał. Może warto spróbować?

Musiałem przyznać, że taką metodą szoku można by wydobyć coś z Roberta. Z drugiej strony, rzecz jasna, mogło to jego stan pogorszyć. Ale czas uciekał i z tego powodu warto było próbować wszystkiego.

— Jest tylko pewien problem — dodała. — On bierze udział w próbach na Broadwayu. Ale sprawdzę, czy nie mógłby się podjąć jeszcze i tego.

— Zgoda, ale nie róbmy niczego pochopnie. Sam mam coś jeszcze na tapecie.

Powiedziałem jej, że prot w stanie hipnozy nie potrafi przypomnieć sobie wczesnego dzieciństwa i że zamierzam pójść tym tropem.

Była pełna zdumienia.

— Czy to możliwe? Wzruszyłem ramionami.

— Wszystko jest możliwe, jeśli chodzi o prota.

Następnego ranka, mijając świetlicę Oddziału Drugiego, napotkałem Alice i Alberta gawędzących z ożywieniem na wielkiej zielonej sofie. „Alex Trebek” krążył w pobliżu, najwyraźniej w roli animatora. Zdumiałem się, nie po raz pierwszy zresztą, jak bardzo postępową jest instytucja psychiatryczna w porównaniu z otaczającym ją światem: młoda Murzynka, stary amerykański Chińczyk i biały mężczyzna w średnim wieku pogrążeni byli w rozmowie, nie zwracając uwagi na różnice wieku, rasy, płci i narodowości. Tutaj wszyscy są równi. Być może prot ma rację — wszystkie nasze nieporozumienia biorą początek w minionych błędach i okrucieństwach, a gdybyśmy mogli jakoś zapomnieć nasze partykularne historie i zacząć wszystko od nowa, kto wie, co dobrego mogłoby jeszcze z tego wyniknąć.

Zamilkli, gdy się do nich zbliżyłem. Ale zaraz i tak się dowiedziałem, że wszyscy troje otrzymali pewne „zadania” do wykonania. Ogarnął mnie znany już dobrze niepokój.

— Czy mogę spytać, kto wam przydzielił te „zadania”?

— Prot, oczywiście — z dumą poinformowała mnie Alice.

— Zgadza się! — potwierdził Alex.

Ogarnęły mnie mieszane uczucia na temat tej rewelacji, ale zdążyłem nauczyć się, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków w sprawach związanych z naszym gościem z kosmosu.

— A jakie „zadanie” prot ci powierzył, Alice?

Ustała pola Albertowi, który zabrał głos:

— Teoretycznie bardzo łatwe. Wie pan, Alice ma problemy z przestrzenią, a ja z czasem. Ale prot nam wykazał, że ciągłość czasoprzestrzeni to takie połączenie, w którym skracając czas można powiększać przestrzeń albo na odwrót. Jeśli nauczymy się zamieniać jedno na drugie, będziemy zdrowi.

Oparłem się pokusie przypomnienia im, że osąd w tej sprawie należy do ich lekarzy. Wydawali się tak uradowani możliwością szybkiego znalezienia prostego rozwiązania, że nie miałem odwagi ich zniechęcać.

— A co z tobą, Alex? Czy prot tobie także coś polecił?

— Tak jest!

Chodziło o to, by wystąpił w roli prezentera własnego kwizu tu na miejscu, w szpitalu, jak w jego imieniu wyjaśnił Albert.

— I będziesz to przygotowywał, Alex?

— Zgadza się!

— Zacznie nad tym pracować zaraz po lunchu — dorzuciła Alice.

— A ty, Albercie? Również zabieracie się do roboty, ty i Alice?

— Od razu. Prawdę mówiąc, naradzaliśmy się właśnie nad tym, gdy pan się pojawił. — Spoglądali na mnie niecierpliwie.

Pojąłem tę aluzję.

— W porządku, muszę już iść. Życzę wam wszystkim powodzenia.

Żadne z nich nie pożegnało się ze mną. Natychmiast powrócili do tego, co omawiali wcześniej. Pomyślałem sobie, że ich „zadania” wydają się dość nieszkodliwe i mogą pozwolić im zapomnieć o problemach, choćby na pewien czas.

Poszukując prota, dosłownie wpadłem na niego. A raczej wpadłbym, gdyby nie usunął mi się z drogi w ostatniej chwili, choć wydawało się, że wcale nie patrzy w moim kierunku.

— To było najlepsze, co mogłem wymyślić w tak krótkim czasie — rzekł bez pytania, gdy tylko mnie dostrzegł.

— Co? Te „zadania”, które pan im pozlecał?

— Czy nie dlatego chciał się pan ze mną zobaczyć?

— Rzeczywiście to był jeden z powodów. W tej chwili nie widzę z tym problemu, pod warunkiem że nie dojdzie do rozbudzenia nadmiernych oczekiwań u pacjentów.

— Wszystko, co mogę zrobić, to tylko wskazać drogę. Reszta należy do nich. W porządku, zobaczymy, jak podziała pański program terapii. Ale przede wszystkim chciałem pana zaprosić do siebie na jutrzejsze Święto Dziękczynienia.

— Co? Żebym patrzył, jak pan kroi zmarłego ptaka? Nie, dziękuję.

— No dobrze, a co pan powie na następny dzień? Może być piątek?

— Niech pan wypocznie, gino. Proszę skorzystać z weekendu. A zresztą, nie będzie mnie tutaj w piątek.

— Co to znaczy, że pana „nie będzie”?

— Czy to takie trudne do pojęcia? — I raz jeszcze powtórzył, wymawiając każde słowo oddzielnie i powoli: — Nie — będzie — mnie — tutaj. — I jakby pragnąc podkreślić wagę tej zapowiedzi, odwrócił się i odszedł.

— Dokąd pan się wybiera? Chyba nie zamierza pan znowu opuścić szpitala? — zawołałem za nim.

— Nie na długo! — odkrzyknął i już go nie było.

SESJA TRZYDZIESTA DZIEWIĄTA

W tym roku Święto Dziękczynienia wypadało w moje urodziny. Z tej okazji przybyła Abby z rodziną, w towarzystwie Willa i jego narzeczonej. Przyjechali dość wcześnie. Abby przywiozła jakiegoś indyka (ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, gdyż jest gorliwą wegetarianką), a Dawn pomagała w przygotowaniach. Zagrałem parę partii szachów z chłopcami (jeszcze potrafię ich pokonać, ale już nie tak łatwo), co przypomniało mi Oddział Drugi i odbywające się tam rozgrywki szachowe w zwolnionym tempie. To z kolei skierowało moje myśli w stronę prota i jego zamiaru „czasowego opuszczenia” szpitala.

Wciąż nad tym rozmyślałem, gdy niespodzianie pojawili się Fred, po zakończeniu swego tournée z musicalem Nędznicy, oraz Jenny, po długiej podróży z Kalifornii. Po raz pierwszy od lat cała rodzina była w komplecie.

Uściskali mnie serdecznie, a ja, ledwie tłumiąc wzruszenie, wykrztusiłem:

— Co wy tu oboje robicie?

— To przecież Święto Dziękczynienia, tatusiu.

— I przejście mamy na emeryturę — dorzucił Freddy.

— I twoje urodziny.

— To miała być niespodzianka. — Każde z nich wręczyło mi paczuszkę.

Powiedzieć, że byłem zdziwiony, to mało — po prostu oniemiałem.

— Przypuszczam, że to matka was namówiła.

— Była we wszystko wtajemniczona, ale pomysł rzucił prot — odrzekł Fred.

— Prot?

— Był u nas w ubiegłym miesiącu.

— W ubiegłym miesiącu??

W tym momencie wparowała ekipa kuchenna, nastąpiły kolejne uściski i pocałunki i niebawem udaliśmy się do jadalni w radosnym towarzystwie jeszcze jednego naszego gościa, Oxeye Daisy. Nie będę się rozwodził nad samą kolacją, lecz muszę wspomnieć, że jadłem pierwszego w moim życiu i najwspanialszego w świecie indyka sporządzonego z soi.

Żadne z nas nie ma nabożeństwa do przemówień publicznych (ani prywatnych), ale pomyślałem, że powinienem wygłosić parę słów z okazji swych sześćdziesiątych urodzin. Kiedy już najedliśmy się po uszy, przez parę chwil plotłem coś na temat radości, jaka stała się moim udziałem, i doniosłości naszego spotkania, oraz o tym, jak rodzina staje się coraz ważniejsza z upływem czasu, itede, itepe.

— Sądzę, że za to powinniśmy być wdzięczni Protowi — dodałem. — I dziękuję wam wszystkim, kochani, że jesteście tutaj.

Pragnąc być może mnie uciszyć, Fred podniósł kieliszek i zawołał:

— Zdrowie prota! — i trąciliśmy się kieliszkami, każdy z kim tylko mógł.

Gdy już poplotkowaliśmy, jak to bywa w takich sytuacjach, o wydarzeniach roku, nietypowej pogodzie i o tabelach piłkarskich (mąż Abby, Steve, wzniosł toast za Jetsów, którzy wciąż są w czołówce), Will powstał z miejsca. Karen z drugiego końca stołu obdarzyła mnie domyślnym uśmiechem. Spodziewaliśmy się, że padnie data ich ślubu. Tymczasem usłyszeliśmy:

— Dawni ja będziemy mieli dziecko!

Były okrzyki radości i jeszcze więcej trącania się kieliszkami. „Babcia”, która była zbyt dobrą dyplomatką, by dociekać, kiedy zamierzają się pobrać, zapytała naszą niezalegalizowaną synową, kiedy dziecko ma się urodzić.

— W czerwcu — odpowiedziała ochoczo Dawn.

Jenny uniosła kieliszek.

— Za czerwiec!

— Za dzidziusia! — dołączyła się Abby.

— Dużo szczęścia z okazji urodzin, tato — dorzucił Fred.

— Wspaniałej emerytury, mamó — życzył Will.

— Za Oxie! — wykrzyknął Star.

— La chiam! — zawołał Rain. Brzdęk. Brzdęk. Brzdęk.

Nie wiem dlaczego, ale po policzkach zaczęły mi spływać łzy radości i smutku. Pociągnąłem łyk wina, mając nadzieję, że nikt tego nie spostrzegł.

Will zniknął i powrócił z olbrzymim Tortem Diabelskim, płonącym blaskiem świec, których liczba wydawała się przerażająca. Jako że miałem wprawę, udało mi się zdmuchnąć prawie wszystkie już za pierwszym razem, z wyjątkiem jednej w samym środku, która nie chciała zgasnąć. Rozległy się pomruki niezadowolenia.

— To jest świeca prota — wyjaśnił Rain z dużym przekonaniem. — Mamó, czy mogę dostać troszkę wina?

Abby dała mu spróbować swojego. Śmiały chłopak, pomyślałem z dumą. Może będziemy mieć następnego lekarza w rodzinie?

Karen będąca zawsze optymistką zaznaczyła, że sześćdziesiątka to początek drugiej połowy życia, gdy można zrobić wszystko to, po czemu nie było okazji w pierwszej.

— Pod warunkiem że nie będzie się zwlekać zbyt długo — dodała, spoglądając na mnie znacząco.

Później, gdy już prezenty zostały rozpakowane (od Karen otrzymałem „kalendarium emeryta”), wziąłem Willa na stronę i zapytałem, jak mu idą studia medyczne.

— Znakomicie! — odparł.

— Nadal myślisz o psychiatrii?

— Oczywiście.

Pogawędziliśmy trochę o tym, czego uczy się obecnie, i o plusach (a także minusach) rezydentury szpitalnej oraz

Na zdrowie! — zamerykanizowany hebrajski toast „L’chaim!”

prywatnej praktyki. Pomyślałem sobie: żyć, nie umierać! Pragnąłbym tylko, by mój ojciec, lekarz z małego miasteczka, mógł być razem z nami.

— Twoja matka zastanawia się, kiedy weźmiecie ślub z Dawn.

— Nie wiem, tatku. Może nigdy.

— Czy myślisz, że tak będzie dobrze?

— To wydaje się bez znaczenia.

— Może dla ciebie, ale co z dzieckiem?

— Tato, powinieneś porozmawiać z protem.

Otoczyli nas pozostali. Odśpiewaliśmy z Fredem kilka broadwayowskich szlagierów. Fred śpiewa o wiele lepiej niż ja, ale lubię sobie wyobrażać, że to po mnie ma talent. Wnuczkiwie odegrali małe przedstawienie komediowe. Nie wiem, skąd im się to wzięło...

Zazwyczaj w piątek po Święcie Dziękczynienia idę do pracy, ale tym razem pomimo poczucia winy pozostałem w domu. Abby z rodziną oraz Will i Dawn wyjechali wczorajszego wieczoru, ale Fred i Jenny zostali na noc. Fred zamierzał nas opuścić po południu, żeby pojechać do swego mieszkania w centrum miasta (jego^o piękna przyjaciółka — tancerka, miała też wtedy powrócić z odwiedzin u swojej rodziny), Jenny zaś odlatywała do San Francisco dopiero w niedzielę.

Karen oparła się pokusie stawiania Fredowi młodszego brata za przykład, niemniej jednak zadała mu parę zgryźliwych pytań na temat „współmieszkanki”, którą rzadko widywaliśmy. Biedny Fred w końcu wykrztusił z siebie, że „Laura nie chce mieć dzieci”.

Po chwili kłopotliwego milczenia zaczęliśmy rozmawiać na temat chorych na AIDS i metod ich leczenia, co było specjalnością Jenny. Żywiła sporo optymizmu, przytaczając podnoszące na duchu statystyki: po raz pierwszy w historii tej choroby liczba zgonów zmalała, a szczepionka była już niemal w zasięgu ręki. Kiedy zażartowałem, że w takim razie wkrótce nie będzie miała czym się zajmować, przypomniła mi, że wciąż jeszcze tysiące ludzi umierają co roku z powodu zakażenia HIV, a rozpowszechnienie wirusa na świecie nadal wzrasta. Przypomniałem sobie zapowiedź prota, że kiedyś ludzkość wyniszczą choroby, „wobec których aids będzie przypominało katar”. Miałem tylko nadzieję, że nie będzie mnie już wtedy na świecie.

Gdy nadarzyła się okazja porozmawiać z Fredem na osobności, dowiedziałem się, że zakończywszy tournée po całym kraju pozostał znów czasowo bez zatrudnienia. To nasunęło mi pewien pomysł. Powiedziałem mu, że terapia Roberta utknęła w martwym punkcie i że być może jedynie pojawienie się jego ojca zdołałoby wydobyć go z obecnego stanu.

— Zgoda — odparł.

Poprosił o fotografie pana Portera i informacje na temat brzmienia jego głosu. Zapewniłem go, że prześlę mu parę zdjęć z naszej dokumentacji i poproszę Giselle, by zapytała matkę Roba o

sposób mówienia jej męża i o wszystko inne, co tylko mogłoby się przydać.

Nie chcąc więcej go dręczyć na tematy osobiste, przemilczałem sprawę przejęcia naszego domu, gdybyśmy zdecydowali się z Karen wyprowadzić. Zamiast tego spytałem mojego syna, byłego pilota, czy nie tęskni czasem za lataniem.

— A czy tęskni się za borowaniem zębów? — odpowiedział.

Gdy zbliżała się pora lunchu, zadzwonił doktor Chakraborty. Odebrałem telefon w pokoiku, który wciąż jeszcze, nawet w tak późnym wieku, traktowałem jako sanktuarium mojego ojca.

— Halo, Chak. Co się dzieje?

— Mam dwie wiadomości: złą i... złą. — poinformował poważnym głosem.

Westchnąłem.

— Przekaż mi najpierw tę złą — zażartowałem wisielczo.

— Nie uwierysz w to — uprzedził mnie.

— W co takiego?

— Chodzi o te badania DNA. Nie ma już wątpliwości. DNA prota i Roberta Portera są całkowicie odmienne. Zostało to właśnie potwierdzone.

— Jak bardzo odmienne?

— Prawdopodobieństwo, że mogłyby pochodzić od tej samej osoby, wynosi jeden do siedmiu miliardów.

— Ale...

— Przecież mówiłem, że nie uwierysz.

Patrzyłem na biurko, na którym panował bałagan większy niż na moim biurku w gabinecie i obiecywałem sobie, że zabiorę się do tego w najbliższym czasie.

— Chak, napiszmy o tym artykuł.

— Można to zrobić. Ale i tak nikt nam nie uwierzy.

— Chyba masz rację. No dobrze, a druga zła wiadomość?

— Prot znowu zniknął.

— Czy ktoś widział, jak wychodzi?

— Nie. W pewnej chwili jeszcze był, a w następnej już go nie było.

— Nie martw się. Wróci.

— Wcale się nie martwię.

Ja też się nie martwiłem. Robił tak wcześniej i zawsze wracał. W drodze do jadalni zastanawiałem się, czy DNA Paula i Harry'ego mogłyby także różnić się od DNA Roberta? Czy naprawdę w tak prosty sposób dałoby się rozpoznać zespół wielorakiej osobowości? Oczyma wyobraźni ujrzałem, jak odbieram Nagrodę Nobla — byłby to całkiem satysfakcjonujący finał kariery...

Na poniedziałkowym zebraniu wszyscy już oczywiście wiedzieli o zniknięciu prota i raz po raz zadawano mi pytanie, w jaki sposób zdołał się nam znowu wyśliznąć. Oznajmiłem, że na moje polecenie Berty McAUIster zapewniła nieustanny nadzór nad nim, ale odwrócił uwagę pilnujących go pielęgniarek, wskazując na kota balansującego ryzykownie na wysokiej półce, a kiedy się odwróciły, już go nie było. Tak jak poprzednio kamery systemu bezpieczeństwa nie zarejestrowały go ani w korytarzach, ani przy wyjściach, a przeszukiwanie terenu także okazało się daremne. Nikt jednak nie wydawał się zaniepokojony jego zniknięciem i pomyślałem sobie: jakże szybko potrafimy przyzwyczać się do najdziwniejszych nawet sytuacji!

Niestety dobra wola zebranych wyczerpała się, nim przyszła kolej na moje sprawozdanie z ostatniej sesji (podczas której zahipnotyzowany prot nie potrafił sobie nic przypomnieć ze swego wczesnego dzieciństwa) oraz rewelacje na temat wyników badań DNA. Zarówno jedno, jak i drugie było ich zdaniem naciągane i naturalnie nie mieli obiekcji, by mi to wytknąć. Goldfarb zaleciła, żeby pobrać próbki DNA od innych alter ego Roberta, nim nawet zdążyłem wspomnieć, że sam już o tym pomyślałem. Chang proponowała, żeby skoncentrować się na tej dokładnie chwili, gdy prot stracił pamięć, i ustalić precyzyjnie jej zbieżność z momentem, w którym Robert wezwał go na Ziemię. Menninger zastanawiał się, czy odkrycia z ostatniej sesji nie oznaczają, że jego tak zwane wspomnienia z K-PAX są wymysłem. Thorstein także podejrzewał oszustwo.

Zebranie zostało zakłócone pukaniem do drzwi. Wkroczyła Betty, by nam powiedzieć, że prot powrócił i że ktoś go widział w Bronksie, w ogrodzie zoologicznym.

— Mój Boże! — zawołała Goldfarb. — On zabiera ze sobą zwierzęta!

Wprawdzie zamierzałem konsekwentnie odmawiać protowi owoców, ale ponieważ w jakiś sposób udało mu się ściągnąć całą moją rodzinę na Święto Dziękczynienia, nie miałem sumienia mu odmawiać. Na najbliższą sesję zamówiłem też w szpitalnej kuchni pizzę z grzybami i oliwkami, a Giselle poprosiłem, żeby się postarała o trochę wiśni w czekoladzie.

Gdy pochłaniał owoce jeden po drugim, jakby świat miał się jutro skończyć, włączyłem magnetofon.

— Przede wszystkim chcę panu podziękować, że Fred i Jenny nas odwiedzili. Jak pan ich do tego namówił?

— Po prostu ich poprosiłem.

— Gdybym ja poprosił, nie jestem pewien, czyby przyjechali.

— To jedna z najbardziej interesujących spraw dotyczących waszego gatunku. Ludzie przeważnie spełnią prośbę, jeśli uznają ją za bezinteresowną, podczas gdy stanowczo odmówią prośbie egoistycznej. Zadziwiające, nie sądzi pan?

— Czy zechce mi pan powiedzieć, gdzie pan przebywał w ostatnich dniach?

— Och, rozmawiałem z paroma przyjaciółmi.

— Ma pan na myśli przyjaciół, którzy nie są ludźmi?

— W większości.

— Na przykład w zoo?

— Między innymi.

— Zabiera pan niektórych z nich na K-PAX?

— Jednego lub dwóch, być może.

— Jest coś, co mnie ciekawi.

— Istnieje jeszcze nadzieja co do pana, doktorze b.

— Czy sprowadzenie obcych gatunków na K-PAX nie zakłóci równowagi ekologicznej na waszej planecie?

— Nie, jeśli tylko nie zaczną się zachowywać jak ludzie.

— Ale... eh, nieważne. — Wiedziałem, że ta droga prowadzi donikąd.

Choć były jeszcze trzy godziny do pory lunchu, zapach wydobywający się spod przykrycia tacki sprawił, że zacząłem przełykać ślinę.

— Czy ma pan ochotę na pizzę?

— Nie, jeżeli to, co w tym zapachu czuję, jest serem, a myślę, że jest.

— Och, na litość boską, prot, co pan ma do sera? Nie zabija się krów, żeby go uzyskać.

Parsknął — było to ostateczne potępienie mej bezbrzeżnej ignorancji, jak sądzę.

— Może powinien pan wniknąć w to głębiej.

— Uczynię to — obiecałem. — Ale najpierw chciałbym porozmawiać z Robertem.

— Razdwa... — Głowa opadła mu na pierś tak gwałtownie, że zważyłem, by Robert był w nastroju do rozmowy.

— Rob?

Tak jak przewidywałem, nie był.

— Rob, mam dla ciebie niespodziankę. Czujesz zapach pizzy? — Sięgnąłem po kawałek i uniosłem go w górę. Ser rozciągnął się na długość ponad jednej stopy.

— Proszę. Poczęstuj się.

Ani mięsień mu nie drgnął. Głośno odgryzłem kęs — wszystko dla nauki!

— Pycha — oznajmiłem. — Ten rodzaj, który lubisz najbardziej.

Żadnej reakcji.

— No dobrze, może masz rację. Trochę za wcześnie na lunch. A co powiesz na wiśnie w czekoladzie? Jedna ci na pewno nie zaszkodzi.

Nie był zainteresowany nawet w najmniejszym stopniu. Aby go zachęcić, sam pochłonałem parę. Były wspaniałe.

Proponowałem mu wieczór z Giselle, spotkanie z synkiem, a nawet z matką. Jakby go to wszystko nie obchodziło. Wyłożyłem ostatnią kartę.

— Być może wkrótce odwiedzi cię twój ojciec. Co ty na to?

Wydało mi się, że widzę szybkie drgnięcie jednej ręki i słyszę jakiś stłumiony odgłos, ale taśma go nie zarejestrowała. Odczekałem chwilę, na wypadek gdyby zmienił zdanie. Nie ujawnił się jednak.

— W porządku, prot. Możesz wracać. Szybko unióś głowę.

— Finitol

— Na razie. Wyjdź z hipnozy.

— Pięć—cztery... Znalazł go pan wreszcie?

— Nie, nie znalazłem. Może pan ma jakiś pomysł?

— Może pan wspina się na niewłaściwe drzewo?

— A na które miałbym się wspinać według pana?

— Myślałem o drzewie wiadomości złego i dobrego.

Utkwiłem w nim wzrok.

— Ostatnio mówił mi pan o „leku odbudowującym pamięć”, pamięta pan?

— Oczywiście.

— Jest coś w sprawie tego... kroladonu, czego nie rozumiem.

— Nie dziwi mnie to.

Prot wydawał się za każdym razem coraz bardziej arogancki. Ale być może wynikało to z mej własnej frustracji. Albo z j e g o frustracji?

— Czy ten lek przywraca wszystkie wspomnienia? Nawet złe?

— Nie ma złych wspomnień na K-PAX.

— Rozumiem. Zatem jeżeli zapytam pana o coś z przeszłości, o cokolwiek, zawsze otrzymam odpowiedź?

— Dlaczego by nie?

— Nawet gdyby wspomnienie było dla pana przykre?

— A dlaczego miałoby być przykre?

— Dajmy temu spokój i porozmawiajmy jeszcze trochę o pana dzieciństwie na K-PAX.

— Zdaje się, że ma pan obsesję na punkcie dzieciństwa, gino. Czy to dlatego, że pana własne było takie okropne?

— Do diabła, prot, gdy z tym skończymy, będzie pan mógł pytać mnie o wszystko, o co tylko pan zechce. Ale do tego czasu będziemy koncentrować się na panu. Zgoda?

— Pan tu rządzi.

— Taa... Proszę powrócić myślą do swych lat chłopięcych na K-PAX. Ma pan lat pięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć. Jasne?

— Myślę, że to nie przekracza moich możliwości.

— Świetnie. A teraz ma pan sześćdziesiąt lat i czas biegnie szybko. Obserwuje pan gwiazdy, zajada, rozmawia i biega razem z przyjaciółmi jakiegokolwiek gatunku, dni mijają... mam na myśli upływ czasu... i niebawem osiąga pan lat sześćdziesiąt osiem koma jeden. Znów mija trochę czasu i

już jest sześćdziesiąt osiem koma dwa. I tak dalej. Koma trzy, koma pięć, koma siedem, koma dziewięć. Czy pamięta pan cokolwiek z tych dni?

— Wszystko.

— Naturalnie. Teraz chciałbym pana znów wprowadzić w ten stan.

— W jaki stan?

— Prot, proszę po prostu zasnąć.

— Raz...

— Prot? Słyszysz mnie?

— Oczywiście.

— Dobrze. Teraz chcę, żebyś powrócił do czasu, gdy miałeś lat sześćdziesiąt osiem koma pięć. Co pamiętasz z tego okresu swojego życia?

— Nic.

— Czy potrafisz opowiedzieć, co się działo, gdy miałeś sześćdziesiąt osiem koma sześć?

— Pamiętam, że patrzyłem na gwiazdy.

— To pierwsze przeżycie, jakie pamiętasz?

— Tak.

Wyprostowałem się gwałtownie.

— Mów dalej.

Przytknął ręce do skroni i zmarszczył czoło.

— Boli mnie głowa. Pamiętam, że jakiś czas szedłem w kierunku K-MON. Zbliżyłem się do drzewa balnok i wdychałem woń jego kory. Kora balnoku pachnie wspaniale. Żułem ją przez chwilę, potem zobaczyłem skałę, której nie widziałem nigdy dotąd, i zapytałem kogoś, co to za skała. Powiedział, że to ruda srebra, a niebieskie i zielone żyłki to sole morgo i lyal. To było tak piękne, że aż...

— Czy nosiłeś wtedy jakąś odzież?

— Nie. Po co?

— A twój współplemieniec?

— Też nie. I nie był moim współplemieńcem. To był kras.

— Kto to jest „kras”?

— Przodek dremerów.

— Dremerzy rozwinęli się z krasów?

— Można to tak sformułować.

— Czy wyrządził ci jakąś krzywdę?

— Oczywiście, że nie.

— Co było dalej, gdy już opowiedział ci o tej skale?

— Poszedł swoją drogą, a ja swoją. Niedługo później otrzymałem wezwanie od...

— W porządku. Wrócimy do tego później. Teraz chcę, żebyś trochę cofnął się w czasie. Wcześniej coś ci się przydarzyło. Spadłeś z drzewa lub coś w tym stylu. Może nawet straciłeś przytomność. Gdy się obudziłeś, głowa bardzo cię bolała i leżałeś na ziemi. Ktoś wycierał ci twarz i nie mogłeś sobie przypomnieć, co się stało. Czy pamiętasz ten moment?

Przymknął oczy.

— Aa...

— Czy pamiętasz, co ci się przydarzyło? Jak to się stało, że leżałeś na ziemi z bólem głowy?

Mocno zmarszczył czoło, potem popatrzył na sufit, jakby tam szukając odpowiedzi.

— Spróbuj sobie przypomnieć, prot. To bardzo ważne.

— Dlaczego?

— Prot, proszę cię o współpracę! Myślę, że to nas do czegoś doprowadzi.

— Do czego?

Nagranie ujawnia, że w tym momencie wziąłem długi, głęboki oddech.

— Jeszcze nie wiem. Teraz spróbuj, proszę, przypomnieć sobie, dlaczego bolała cię głowa!

— Ja... tam jest jakiś... jakiś dremer. Leży w wydrążonym pniu drzewa. Myję go liściem fallidu...

— Powiedz mi coś jeszcze o tym... hm... dremerze. Jak wygląda? Jest stary czy młody?

— Nie jest stary, ale też nie młody. Jest w bardzo złym stanie. Cierpi... wielki ból i... nie przypominam sobie nic więcej.

— Spróbuj!

— Pamiętam tylko, że biegnę. Biegnę, biegnę, biegnę, tak szybko, jak tylko mogę. Biegnę i zderzam się z drzewem. Potem ktoś ociera mi twarz. Boli mnie głowa..,

— Co wydarzyło się potem?

— Znalazłem trochę kory balnoku do żucia, ale ból głowy nie ustępował. O srebrnej skale już panu mówiłem. Potem usłyszałem, że ktoś mnie woła. To był Robert. Potrzebował mnie, toteż wyruszyłem, żeby mu pomóc.

— Czy nie sądzisz, że to trochę dziwne? Ktoś wzywa cię na pomoc zaraz po tym, jak straciłeś pamięć.

— Wcale nie. Istoty wciąż wołają o pomoc, w całym WSZECHŚWIECIE.

— Ach tak. No dobrze... to jest twoje pierwsze doświadczenie z podróżą międzyplanetarną, prawda?

— Nie. Robiłem to już wcześniej.

— Podróżowałeś na inne planety?

— Odkąd ukończyłem jakieś dwadzieścia pięć lat, przelatywałem tu i tam w obrębie naszego układu słonecznego. Jako pasażer, oczywiście.

— Ale żadna z tych wycieczek nie wynikała z tego, że ktoś wzywał cię na pomoc.

— Żadna.

— I chociaż nigdy wcześniej nie przekraczałeś granic waszego układu słonecznego, podjąłeś samotnie swą pierwszą podróż poprzez połowę Galaktyki.

Wzruszył ramionami.

— Bo akurat tam znajdowała się wasza PLANETA.

— Nie bałeś się? Nie przerażało cię, że jesteś tak daleko od domu w tak młodym wieku?

— Mój dom jest tam, gdzie się znajduję. Cały WSZECHŚWIAT jest naszym domem.

— Kto ci tak powiedział?

— Wszyscy.

— Sąsiedzkie więzi małego miasteczka nieistnieją dla mieszkańców K-PAX, prawda? Ale czy nie odczuwałeś potrzeby towarzystwa kogoś dorosłego? Żeby ci pomógł wyjść z tarapatów w razie potrzeby?

— Dlaczego miałbym wpaść w tarapaty?

— No, na przykład mógłbyś napotkać jakieś niebezpieczne zwierzęta.

— I napotkałem.

— Napotkałeś?

— Tak. Gatunek homo sapiens.

— Och. Powróćmy do czasu, zanim otrzymałeś wezwanie. Kogoś kąpałeś. Czy wiesz, kto to był?

— Nie.

— Skoncentruj się. Kąpałeś tę istotę i nagle zacząłeś biec. Dlaczego?

— Ja... On...

— Spokojnie, nie musisz się spieszyć.

— Stało się coś złego.

— Co, prot? Co złego się stało?

— Nie wiem. Właśnie to jest zamazane. Dalej tylko pamiętam, że uciekałem od niego. — Był poruszony.

Bardzo nie chciałem przerywać tej sesji, lecz niestety miałem wziąć udział w charytatywnym lunchu na Long Island (jedna z tych spraw, które bezskutecznie usiłowałem wyeliminować z mojego przeładowanego programu zajęć). Kusiło mnie, by z tego zrezygnować, ale było zaplanowane także moje wystąpienie.

— Dobrze, prot, możesz już wyjść z hipnozy.

— Pięć...

— To wszystko na dzisiaj. Zobaczymy się w piątek.

Wyszedł, choć wydawało mi się, że nie tak żwawym krokiem jak zazwyczaj. Ja też czułem się wykończony, więc posiliłem się pizzą i czekoladkami. Pomyślałem, że w razie czego skrócę swoją przemowę.

Ku memu zaskoczeniu na lunchu byli ludzie z CIA i paru dziennikarzy — obie te grupy przyglądały się sobie nieufnie. Nie mam pojęcia, jak to zwietrzyli, ale w związku z tym całe przedsięwzięcie nabrało całkiem innego charakteru.

Zacząłem od informacji o postępach prac nad nowym skrzydłem budynku i o tym, że zapewni ono przestrzeń dla nowych pomieszczeń i nowego wyposażenia, by móc tam przeprowadzać ważne badania na skalę dwudziestego pierwszego wieku. Jednakże zanim zdołałem przejść dalej, ktoś zadał pytanie na temat prota. Przyznałem, że powrócił, ale odmówiłem komentarzy na temat jego leczenia. Mimo to uparcie drążyli: Kim on jest naprawdę? Gdzie przebywał? Czy rzeczywiście potrafi robić te wszystkie rzeczy, o których pisałem w książkach, w szczególności przemieszczać się z ponadświatłą prędkością? Od jak dawna przebywa u nas? Dokąd się wybiera? Kogo zabierze ze sobą? Czy pewne „cudowne” uleczenia, które uzyskaliśmy w ostatnich latach, są jego zasługą? Dlaczego tak wielu ludzi gromadzi się pod szpitalem? I tak dalej, i tak dalej. Niestety, na wiele pytań nie miałem odpowiedzi. Prawdę mówiąc, nabrałem przekonania, że w istocie nie wiem zbyt wiele o procie, o zespole wielorakiej osobowości i w ogóle o czymkolwiek.

Sam lunch też nie przypominał pikniku. Grzebałem w talerzu z linguine (z sosem grzybowym i czarnymi oliwkami), nie mogłem nawet spojrzeć na tort Death by Chocolate.* Mój żołądek burzył się, podczas gdy w umyśle wciąż kłębiły się pytania, na które nie było odpowiedzi. To było jak koszmar. Co najgorsze, nie uzyskaliśmy żadnej dotacji ku wielkiemu zmartwieniu Virginii Goldfarb oraz naszego dyrektora finansowego, których coraz bardziej frustrowało przekroczenie kosztów budowy nowego skrzydła. Była to jedna ze spraw, za które byłem formalnie odpowiedzialny.

Następnego ranka, dokładnie gdy wstawało słońce, zaświtało mi wreszcie, dlaczego Cassandra była ostatnio trochę depresyjna — mogła dostrzec jakieś znaki na niebie zapowiadające, że nie znajdzie się wśród pasażerów wybranych do wyprawy na K-PAX. Ale w takim razie mogła także wiedzieć, kto ma polecieć, zwłaszcza że zapowiedziany termin odlotu był tuż-tuż. Rzecz jasna nie przewidywałem masowej emigracji w przeddzień Nowego Roku, rzeszy pacjentów wzbijających się w niebiosa nieprzerwaną wstęgą niczym stado bezskrzydłych gęsi. Ale jeśli mógłbym poznać nazwiska z „listy oczekujących”, personel miałby ułatwione zadanie przy łagodzeniu okropnego acz nieuniknionego zawodu tych, którzy stanęli w kolejce do podróży.

Prot, prot, prot. Skąd się wzięłaś i dokąd zmierzasz? Jak to się dzieje, że pewni ludzie lub nawet ich wtórne osobowości potrafią przekonać innych, że znają odpowiedź na wszystko, że są w posiadaniu klucza do królestwa? Czy ktoś potrafi wyjaśnić, jak pewna charyzmatyczna postać mogła namówić ponad trzydzieści osób, by wybrały się w podróż na kometę Hale’a-Boppa, zażywając cyjanek? I nie były one wcale pacjentami instytucji psychiatrycznych!

Nie miałem tyle energii, by pod prysznicem zaśpiewać arię toreadora z Carmen, chociaż drążyła ona moje myśli jak uparty robak. Oczyma duszy widziałem,

Rodzaj włoskiego makaronu (pasta) — długi, wąski i płaski.

Dosłownie: „Morderczy Tort Czekoladowy”.

jak trzymam mulecę, a prot wciąż atakuje mnie swymi rogami. I co ty na to, czarna krowo w kropki bordo?

Odtwarzałem ze szczegółami sesję z minionego dnia. Przybliżaliśmy się coraz bardziej do prawdy, nigdy do niej nie docierając. Każde drzwi po otwarciu prowadziły do pustego pokoju. Jak mógłbym przewyciężyć niedoskonałość „kroladonu” i dowiedzieć się, co zaszło pomiędzy protem (Robertem) a cierpiącym mężczyzną w średnim wieku (jego ojcem), zanim rozpętało się to całe piekło? Być może należałoby wyostrzyć ogniskową. Poddać analizie ten mały odcinek czasu tuż przed ucieczką prota — małego chłopca. Badać minutę po minucie, sekundę po sekundzie, aż wyjawি coś z tego, co się wydarzyło. „Tor-re-a-dor, en garr-de!”

Przed południem, drżąc z zimna na naszej łączce w oczekiwaniu na zakończenie przez Cassandrę jej medytacji, odebrałem wezwanie od Betty McAllister. Badanie nowego pacjenta przewidziane na popołudnie zostało odwołane. Od razu poprosiłem, by spróbowała umówić mnie na dodatkową sesję z protem w tym czasie.

Gdy wróciłem na trawnik, Cassie już nie było. Nie miałem czasu jej szukać, o dziesiątej było zebranie komitetu nadzorującego budowę. Poszedłem przejść się po łączce, zerkając na wznoszące się mury i krążących w górze robotników w hełmach. O czym oni mogli myśleć? O lunchu? O urodzinach dzieci? O powrocie do domu po pracy? O meczu piłki nożnej w nadchodzący weekend? O podróży na K-PAX?

Początek — w oryginale — powszechnie znanej, a ulubionej przez narratora arii z opery Carmen Bizeta („Toreador wyrusza na bój!”).

SESJA CZTERDZIESTA

Oczekując na niego w pokoju badań, próbowałem domyślić się, co w istocie wydarzyło się w chwili bezpośrednio poprzedzającej ucieczkę prota od mężczyzny, którego kąpał. Wiedziałem tylko tyle, że mały prot nagle zaczął uciekać. Cóż, na litość boską, wydarzyło się w tym kluczowym momencie? Czy coś równie dramatycznego przydarzyło się sześciolatniemu Robertowi? I jaki zachodził związek między jednym i drugim?

Porwałem całą misę przejrzałych bananów ze szpitalnej kuchni. Prot zabrał się do nich bez zwłoki, pożerając je chciwie, jak ktoś zagłodzony. Gdy już skończył i rozparł się w fotelu oblizując palce, włączyłem magnetofon i przeszliśmy raz jeszcze wszystkie istotne wydarzenia, bez użycia hipnozy. Niestety nie powiedział nic nowego — krótka luka w jego pamięci pozostała niewypełniona. Odśloniłem białą plamkę na ścianie i poprosiłem, by sam się wprowadził w hipnozę. Kiedy już się pogrążył w swym zwykłym głębokim transie, cofnąłem go do wieku sześćdziesięciu ośmiu lat i zażądałem, by przypomniął sobie wszystkie szczegóły związane z umywaniem cierpiącego dremera. Z trudem przypomniął sobie ten epizod i jedynym, co udało mi się jeszcze od niego dowiedzieć, było to, że tuż przed oddaleniem się prota mężczyzna ów zaczął podnosić się z wydrążonego pnia (z wanny?).

— Spróbuj sobie przypomnieć, prot! Czy on usiłował cię dotknąć? Pochwycić?

— Ja... ja nie... on chciał...

— Tak? Co on chciał zrobić?

— Chciał mnie uderzyć!

— Dlaczego? Czy wiesz, dlaczego chciał cię uderzyć?

— Ja... ja... ja...

— Tak? Tak?

— Nie pamiętam. Nie pamiętam! NIE PAMIĘTAM! CZY PAN TO ROZUMIE?

— Dobrze, prot, uspokój się. Po prostu odpręż się. W porządku. Odpręż się. Dobrze. Dobrze...

Kilkakrotnie odetchnął głęboko. Wyprowadziłem go z hipnozy i od razu odzyskał całkowitą kontrolę nad sobą, tak jakby nic się wcześniej nie działo.

Postanowiłem spróbować innego sposobu.

— Kosmiczna podróż jest chyba trochę niebezpieczna? — zaryzykowałem.

W jego spojrzeniu irytacja mieszała się z protekcjonalnością, znałem to już dobrze.

— Gene, gene, gene. Czy nie jeździł pan na rowerze jako dziecko?

Od razu przypomniałem sobie ojca, jak biegł obok, podtrzymując mnie na moim pierwszym rowerze, i jak w końcu mnie puścił, a mnie ogarnęła duma, że chybocząc się, po raz pierwszy pokonuję samodzielnie podjazd do domu.

— Tak. Tak. Jeździłem.

— Dla nas podróżowanie w przestrzeni to jak jazda na rowerze dla was. Czy wsiadając na rower za każdym razem bał się pan, że z niego spadnie?

— Po paru pierwszych próbach już nie.

— No właśnie!

— Proszę mi powiedzieć, jak to jest: lecieć przez pustą przestrzeń z prędkością wielokrotnie większą od światła?

— To jest tak, jak nic.

— To znaczy, że nic się z tym nie może równać?

— Nie, to znaczy, że w ogóle nic się nie czuje.

— Coś jak przebywanie w stanie nieświadomości? Albo snu? Coś w tym rodzaju?

— Coś w tym rodzaju. Być może jest to podobne do tego, co nazywacie hipnozą.

Pojąłem tę ironię, ale nie było czasu teraz się nad tym zatrzymywać.

— Nie czuje się głodu ani pragnienia, ani upływu czasu? Nie ma żadnych przeżyć?

— Żadnych.

— Dlaczego nie ulega się spaleni w atmosferze, jak meteor?

— Dlatego że światło nie spala się w atmosferze.

— Gdy pan „lądjuje”, nie odczuwa pan żadnego wstrząsu?

— Nie.

— W jaki sposób pan się zatrzymuje?

— To proste, jeśli ma się odpowiedni program.

— Chce pan powiedzieć, że wszystkim steruje komputer?

— Oczywiście.

— Zatem wszędzie wozi pan ze sobą komputer?

— Jasne. Tak samo jak pan. W zasadzie wszyscy jesteśmy komputerami na nogach. Nie zauważył pan tego?

— Chce pan powiedzieć, że wszystko to zostało zaprogramowane w pańskim mózgu i pan nie ma nad tym kontroli?

— Gdy tylko matryca jest na swoim miejscu, sprawa jest zamknięta.

— Czyli jest to nawet silniejsze od siły woli, czy tak?

— Nie istnieje nic takiego, jak „siła woli”, przyjacielu. — Wydawało mi się, że mówił to z żalem.

— Jesteśmy jedynie zbiorem związków chemicznych, czy to właśnie chciał pan powiedzieć? Nikt nie posiada kontroli nad swoim działaniem?

— Czy wodór i tlen mogą się powstrzymać od wytworzenia wody?

— Mówi pan o predestynacji.

— Nie, ale można to tak nazwać, dla uproszczenia. Nie mówię, że życie jest zdeterminowane od początku do końca, tylko że w pewnych określonych sytuacjach można przewidzieć czyjeś postępowanie, co wynika z przebiegu procesów chemicznych w mózgu. Pojmuje pan?

— Więc jeżeli ktoś, powiedzmy, zabił swego ojca, nie jest to jego winą, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— Czy rozmawiał pan o tym z Robertem?

— Wiele razy.

— A zatem dlaczego on czuje się winny śmierci ojca?

— Przecież jest istotą ludzką. Spoglądałem na niego przez chwilę.

— Prot, coś mi właśnie przyszło na myśl.

— Brawo, doktorze brewer.

— Czy całe pana ciało przybyło tutaj z K-PAX? Czy też tylko umysł lub coś w rodzaju pańskiej „esencji”?

— Czy ja wyglądam na ducha, doktorze?

Taśma zarejestrowała gwałtowne stukanie długopisem o notatnik.

— W taki razie dlaczego... a, czort z tym. Jeszcze tylko parę pytań o pana pierwszą podróż na Ziemię, OK?

— Oszczędzę panu fatygi. Podczas podróży przybyło mi siedem waszych miesięcy, choć nie czułem upływu czasu. Lot przebiegł bez wypadków, nie zderzyłem się z niczym. Wylądowałem bezpiecznie, w chinach przyglądałem się tamtejszym istotom, wziąłem udział w pogrzebie w montanie, użaliłem się nad robertem, szczegóły tego wszystkiego znajdzie pan w obfitości w swoich notatkach i nagraniach. Coś jeszcze?

— Tak. Czy wszyscy mieszkańcy K-PAX potrafią od razu zlokalizować kogoś w oddali, w innych stronach Galaktyki?

— Oczywiście.

— Niezwykła zdolność.

— Wcale nie. Proszę pamiętać, że nasz gatunek jest o kilka miliardów lat starszy od waszego. Zdziwiłby się pan, ile można się nauczyć dzięki samemu tylko trwaniu przez odpowiednio długi czas. Poza tym informacje nadchodzą nieustannie na wszystkich długościach fal. WSZECHŚWIAT jest pełen interesujących wibracji, jeśli tylko potrafi sieje odbierać.

— I bez chwili wahania wszedł pan w te wibracje, by znaleźć się przy Robercie na drugim końcu Galaktyki?

— Dokładnie: w kostnicy. Szkaradne słowo, nie sądzi pan?

— Co się działo po pogrzebie?

— Poszliśmy do jego domu.

— Co robił, gdy już się tam znaleźliście?

— Leżał na łóżku i wpatrywał się w sufit.

— Mógł pan z nim rozmawiać?

— Ja z nim mogłem, ale on nie bardzo chciał ze mną.

— Przebył pan całą długą drogę z K-PAX, a on nie odezwał się ani słowem?

— Nie. Ale to nie miało znaczenia.

— Dlaczego?

— Po krótkiej obserwacji wiedziałem dokładnie, co odczuwa.

— Jak to możliwe? Czy już przeżywał pan kiedyś to samo co on?

Przymknął oczy, palce zetknęły się ze sobą. W końcu powiedział:

— My z K-PAX potrafimy wyczuwać, co dręczy inne istoty.

— Potraficie czytać myśli?

— Nie dosłownie. To trudno wytłumaczyć...

— Proszę spróbować.

Znowu zamilkł na chwilę.

— Mógłby pan to nazwać semiotyką na wyższym poziomie. To kombinacja różnych rzeczy: wyraz twarzy, subtelne zmiany barw, szczególnie w zakresie ultrafioletu, ton głosu, mowa ciała, poruszenia oczu, częstość przełykania śliny, rytm oddechu i... aa... parę jeszcze innych spraw.

— Jakich?

— Och, smak, gładkość skóry, pH, rodzaj wysyłanego promieniowania, rzeczy tego rodzaju.

— Jest pan empatykiem?

— To mi okropnie przypomina Star Trek, szefie, ale tak, wszyscy mieszkańcy K-PAX są, jak to nazywacie, empatykami. To nie jest trudne, jeśli tylko nie uważać siebie samego za pępek WSZECHŚWIATA.

— Prot, pan twierdzi, że apy też są empatyczne?

— Z pewnością. Tak samo jak większość innych istot. Czy próbował pan kiedyś oszukać psa?

W tym miał rację. Nasze dalmatyńczyki jakoś zawsze wyczuwały wcześniej, co planujemy.

— Zatem to dlatego pan zdaje się lepiej rozumieć problemy pacjentów niż ich lekarze.

— Pan też by to potrafił po wyjściu ze swego więzienia.

— Węzienia?

— Wie pan, z tych granic swoich własnych przekonań i wierzeń.

Miałem wrażenie, że znowu weszliśmy na niewłaściwą drogę. Ale nagle doznałem olśnienia.

— Z całym tym niezwykłym wglądem w naturę ludzką z pewnością pan wie, co dręczy Roberta obecnie?

Moje podniecenie było najwyraźniej tak wielkie i widoczne, że zachichotał, zanim

odpowiedział:

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ nie wiem, gdzie on jest!

— No tak, ale przecież mógłby pan się jakoś z nim skomunikować? Wysłać sygnał na jego „długości fali” lub coś podobnego? Albo odebrać jego wołanie o pomoc?

— Nie wydaje mi się, żeby potrzebował pomocy.

— Do licha, prot, Robert musi tu gdzieś być, razem z panem!

— Czyżby? Jakoś go nie widzę. A pan?

Oczywiście, że widziałem, ale on nigdy by w to nie uwierzył.

— W porządku. Powróćmy do czasu, gdy pan miał lat sześćdziesiąt osiem koma sześć. Pomógł pan małemu Robertowi przeboleć stratę ojca. Jak pan tego dokonał?

— Przeprowadziłem z nim poważną rozmowę.

— To znaczy o...

— Nie, nie o tym. Wyjaśniłem mu, jak funkcjonuje WSZECHŚWIAT.

— I to mu pomogło?

— Poczuł się lepiej.

— Co dokładnie mu pan powiedział?

— Wytłumaczyłem mu, że nie trzeba się bać śmierci, gdyż czas zmienia swój bieg, a co za tym idzie jego ojciec znów będzie żył.

— I Robert w to uwierzył?

— Dlaczego miałby nie uwierzyć? Powiedziałem mu samą prawdę.

— Zatem gdyby pan chciał pomóc Robertowi obecnie, przypomniałby mu pan po prostu, że jego ojciec tak naprawdę nie umarł, że będzie żył znowu za parę miliardów lat... coś w tym rodzaju?

— On już o tym wie. I prawdopodobnie wyciągnął z tego wniosek.

— Jaki wniosek?

Potrząsnął głową.

— No właśnie!... Że wszystko inne, co mu się przydarzyło, także się powtórzy.

Przez głowę przeleciała mi burza myśli, żadnej jednak nie pochwyciłem.

— A czy ma pan jakąś sugestię, co mogłoby mu pomóc? To znaczy, jeśli go w ogóle znajdziemy.

— Zmiana otoczenia, wyjazd na K-PAX... nowy, wspaniały ŚWIAT.

— I to pana zdaniem pomoże mu zapomnieć?

— Nie, ale przynajmniej uświadomi sobie, że tam nie grozi mu nic z tego, co spotkało go tutaj. Ponadto będzie mógł spotykać swego ojca i rozmawiać z nim, kiedykolwiek zechce.

Włosy na karku stanęły mi dęba.

— Co takiego? W jaki sposób?

— Ależ, gene, już dawno temu opowiadałem panu o... aa... nazwał pan to, zdaje się, hologramem.

— Aha. — Stuk, stuk, stuk. — Czyli nadal chce pan zabrać Roberta ze sobą?

— Jego zaprosiłem pierwszego, pamięta pan?

— Ciekawe, dlaczego nie skorzystał z zaproszenia przy pierwszej okazji? — zapytałem z pewnym siebie uśmiechem. — Czyżby panu nie ufał?

— Najpierw chce zrzucić z serca jakiś ciężar.

Poczułem się zawiedziony i zirytowany, rzecz nie do wybaczenia.

— Czemu więc tego nie zrobi? — krzyknąłem.

— Czego nie zrobi?

— Nie zrzuci ciężaru z serca, do jasnej cholery!

— Proszę się uspokoić, doktorze. Po prostu odprężyć się. Dobrze. Dobrze... Po prostu nie jest w stanie tego zrobić.

— Dlaczego?

— Zbytńio się boi.

— Proszę przestać mówić zagadkami! Czego dokładnie się boi?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Ale ja mam! Na razie jednak tylko bladozielone i dlatego potrzebuję jeszcze paru faktów. Powie mu pan o tym?

— Jeśli go spotkam.

— Naprawdę na pana liczę, prot.

— Proszę go znaleźć, a na pewno z nim porozmawiam.

— Wielkie dzięki.

— Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Usiłowałem zachować spokój.

— Ostanie pytanie: jeżeli wszystko jest przesądzone z góry, jaki sens ma życie?

— A gdyby nie było przesądzone, jaki miałyby sens?

Wyczerpany do cna patrzyłem, jak niespiesznie wychodzi. Być może, pomyślałem, powinienem go zapytać wprost, co mu takiego wiadomo o Robercie, czego ja nie wiem. Wtedy przynajmniej nie mógłby zaskoczyć mnie czymś później, przemądrzale twierdząc, że nigdy go o to nie pytałem. Co u licha stało się ojcu prota/Roberta w pniu drzewa czy też wannie? Czymkolwiek to było, musiało się wydarzyć, według przekonania prota. Takie myślenie jest najlepszym ze znanych mi sposobów łagodzenia wielkiego poczucia winy.

W ubikacji natknąłem się na Carla Beamisha. Stając obok niego, przysłuchiwałem się odległemu zgiełkowi przywodzącemu na myśl tłum kibiców na meczu koszykówki. Wspomnienia zapachu potu, szafek na ubrania i błyszczącej posadzki sali gimnastycznej cisnęły mi się do głowy. Karen nie opuściła ani jednej rozgrywki, gdy przez całe cztery lata grałem w szkolnej drużynie. Jakże pragnąłem wtedy, by choć raz pojawił się także mój ojciec. Zadumałem się. Może rzeczywiście istnieje jakiś równoległy świat, w którym da się przywrócić utracone okazje i osiągnąć odmienne rezultaty?

— Za dużo kawy? — wyraził swoje zdanie Beamish, najwyraźniej dlatego że stałem jeszcze przy pisuarze, gdy on już skończył. Zanim zdołałem odpowiedzieć, znowu dały się słyszeć głośne oklaski.

Spytałem, co to takiego jego zdaniem. — Pewnie prot wyszedł porozmawiać z ludźmi przy głównej bramie — osądził.

Byłem już trochę spóźniony na sesję z Linusem, ale zanotowałem sobie w pamięci, żeby docisnąć Goldfarb, gdy tylko znajdę chwilę czasu, w sprawie tej bezsensownej sytuacji u wejścia do szpitala. Oczywiście jeśli to zrobię, prawdopodobnie mianuje mnie przewodniczącym komitetu mającego zająć się tą sprawą.

— Czy ten cyrk wcale ci nie przeszkadza? — spytałem Beamisha.

Popatrzył na mnie, jakbym był niespełna rozumu.

— Ja także mam nadzieję z nim polecieć!

Z Giselle mieliśmy się spotkać na lunchu. Kiedy wreszcie przyszła do jadalni, poprosiłem, żeby mi opowiedziała, co się dzieje przy głównej bramie.

— Powinien pan sam pójść i zobaczyć, doktorze B.!

— Dlaczego oni wciąż tam tkwią?

— Ci, z którymi porozmawiał, w większości odchodzą, ale wciąż przybywają następni. Chyba jest ich tam teraz parę tysięcy. Niektórzy przyprowadzają swoje psy i koty, żeby mogły zobaczyć prota. A kiedy przemawia do nich wszystkich, nie słychać szczekania ani miauczenia. Zapada zupełna cisza.

— Wydawało mi się, że słyszałem oklaski.

— Zawsze go oklaskują, gdy mówi, że Ziemia mogłaby stać się K-PAX, jeżeli tylko się postaramy.

— Tylko wtedy?

— A cóż więcej mógłby powiedzieć?

— Słyszałem oklaski dwukrotnie.

— Po raz drugi były wtedy, gdy skończył i wracał do budynku.

— Niech pani pójdzie po swój lunch.

Zanim wróciła, zjadłem już biały ser z krakersami. Teraz musiałem towarzyszyć jej, gdy pochłaniała górę smakowitości. Na szczęście miałem umówione spotkanie.

— Giselle, nie mam wiele czasu. Czego się pani dowiedziała od matki Roberta?

Otworzyła brązową kopertę z plikiem fotografii, głównie przedstawiających ojca Roberta, tylko na niektórych była cała rodzina. Większość zdjęć pochodziła z okresu niemowlęstwa Roberta, kiedy to Gerald Porter był wielkim, krzepkim mężczyzną. Jedno z nich ukazywało go w rzeźni, gdzie pracował, w zakrwawionym ceratowym fartuchu. Późniejsze były już całkiem inne. Pod koniec życia zanikła mu większość tkanki mięśniowej. Ze ściągniętą twarzą, ciemnymi obwódkami wokół oczu sprawiał wrażenie kogoś, kto pragnie ukryć swoje cierpienie, przynajmniej w chwili fotografowania. Jego przydzwiek wydawał się zbyt obszerny, zwłaszcza sztruksowe spodnie i błękitne drelichowe koszule. Spostrzegłem, że czesze się z przedziałkiem po prawej stronie.

— Niestety nie ma nagrań wideo — powiedziała — ale te zdjęcia wiele mówią.

— Przekażę je Fredowi. A jaki miał ton głosu?

— Matka Roberta mówiła, że to był głęboki baryton. Śpiewał w chórze kościelnym. Później jego głos był raczej piskliwy, znużony, o wysokiej tonacji. Mówiła mi, że nie sypiał prawie wcale. I nie mógł jeść zbyt wiele.

— Z powodu bólu?

— Okropnego.

— A jakie były stosunki Roberta z ojcem? Czy zauważała coś szczególnego? Czy Robert zmienił się po powrocie ojca ze szpitala?

— Nie rozmawialiśmy o tym. Może powinien pan sam ją o to zapytać.

Wieczorem dotarłem do miejsca zamieszkania mego syna aktora w East Village, by dostarczyć mu kopertę ze zdjęciami i ustalić termin jego wizyty w szpitalu. Domofon przy bramie wejściowej nie działał, ale zamek był uszkodzony, więc wszedłem na górę i zapukałem do jego drzwi. Nikt mi nie otworzył. Zawiedziony odszukałem w kieszeni długopis. Kiedy gryzmoliłem wiadomość, na schodach pojawił się żylasty mężczyzna z długimi siwymi włosami związanymi w kucyk. Zastanawiałem się przez moment, czyby przez niego nie przekazać pacuszki, ale poniechałem tego zamiaru. Przemknął bokiem, ledwie oświetlonym korytarzem, do mieszkania po przeciwnej stronie, gdzie powitał go uściskiem drugi mężczyzna, tylko w slipach i podkoszulku. Ściana była tam popękana bardziej nawet niż po stronie Freda. Wcisnąłem kopertę przez szparę pod drzwiami wraz z prośbą, by się ze mną skontaktował telefonicznie, i pojechałem taksówką na Dworzec Centralny.

Następnego dnia, w czwartek, zajrzałem do pokoju rekreacyjnego i zobaczyłem tam Ophelię. Wyraźnie wyglądała inaczej niż zwykle, ale nie mogłem zorientować się dlaczego. Był tam też Alex, bardzo zajęty przeszukiwaniem encyklopedii, atlasu i słownika geograficznego. Ophelia pomachała mi ręką. Zazwyczaj udaje, że mnie nie dostrzega, obawiając się, jak sędzę, mej zbyt surowej oceny z tego czy innego powodu. Dałem jej znak, by do mnie wyszła, gdyż nie chciałem przeszkadzać Alexowi.

— Jak się czujesz dzisiaj, Ophelio?

— Myślę, że już jestem zdrowa. A jak pan się miewa?

— Ophelio! Co się wydarzyło?

— Już się nie boję.

— Zgadza się! — usłyszałem głos Alexa.

— Skąd ta nagła zmiana?

— Prot zabronił mi myśleć o króliku.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

— I wtedy królik się pojawił w twoich myślach.

Zachichotała.

— Bardzo chciałam być posłuszna, ale nie mogłam nic na to poradzić.

Zza kanapy wychyliła się Alice, spostrzegła nas i uciekła, popiskując jak myszka.

— A więc nie spełniłaś jego polecenia.

— Nie.

— I sądzisz, że jesteś wyleczona.

— Tak... nie, powiem inaczej. Ja wiem to na pewno.

Z pewnością nie była jeszcze zdrowa. Tak wielki postęp nie mógłby się dokonać po paru zaledwie miesiącach psychoanalizy, tym bardziej więc nie był możliwy po paru minutach rozmowy z protem.

— To wspaniale, Ophelio. Myślę, że na najbliższym zebraniu personelu zajmiemy się twoją sprawą.

— Nie ma potrzeby. Zostałam już przeniesiona na Oddział Pierwszy.

— Na Oddział Pierwszy? Kto tak postanowił?

— Prot.

— Prawidłowa odpowiedź! — wykrzyknął Alex.

— Ophelio! Wiesz przecież, że prot nie zarządza szpitalem!

— Wiem, oczywiście. Ale doktor Goldfarb podpisała przeniesienie.

Popołudniowy wykład był kolejną klapą. Już od dawna zrezygnowałem z podążania za programem, który układałem z początkiem roku akademickiego (prawdę mówiąc, już od ponad dwudziestu lat). Rozpocząłem wykład — co już stawało się normą — od krótkiej opowieści o mych niepowodzeniach w poszukiwaniu Roberta, dorzucając parę słów na temat Ophelii i innych pacjentów, którym prot zdołał pomóc w ten lub inny sposób. Oczywiście „Oliver Sacks” skierował dyskusję na osobę prota.

— A może mógłby go pan nakłonić, żeby porozmawiał z nami? — zaproponował. —

Rozumie pan, po to, żeby nam powiedział, co wie na temat pacjentów i jak powinniśmy z nimi pracować.

Mogłem mu tylko przypomnieć, że jak dotąd nie zajmował się żadnym pacjentem, zamiast tego odwarknąłem jednak:

— Nie jest jego zadaniem nauczanie gromady studentów medycyny, w jaki sposób mają zostać psychiatrami. W każdym razie nie wydaje mi się, by świat miał zostać uleczony przez wiernych uczniów prota, a co pan o tym myśli?

— Nie wiem. Proponuję tylko, byśmy mogli go wysłuchać i przekonać się, czy ma to jakąś wartość, a potem wyciągnąć własne wnioski.

— Przykro mi, ale to niemożliwe.

Krzyki i szemrania dały się słyszeć ze wszystkich stron sali.

— Dobrze, dobrze! Powiem wam, co zrobię. Polecę mu, by zanotował parę swoich przemyśleń na temat pacjentów, i przekażę je wam następnym razem. Zakładając, że na to się zgodzi. W porządku?

Oliver nie dał za wygraną. On nigdy nie daje za wygraną.

— Proszę go zapytać, czego nie rozumie, jeśli chodzi o pacjentów. Sądzę, że to nam wiele powie o nim samym.

— Tak jest! — pisnął ktoś z tyłu sali.

Zgodziłem się, choć niechętnie, i szybko zmieniłem temat.

— W czasie, który nam pozostał, porozmawiamy o zaburzeniach seksualnych.

Przynajmniej tym razem udało mi się pozyskać ich pełną uwagę — wydawało się, że zapomnieli nawet o procie.

SESJA CZTERDZIESTA PIERWSZA

Prot wszedł w trans bez chwili zwłoki.

— No dobrze, dobrze, proszę wyjść z hipnozy.

— Co takiego? — wytrzeszczywszy oczy, rozglądał się po pokoju. — Gdzie ja jestem?

— Darujmy sobie dzisiaj tę komedię.

— Drogi panie, pan nie wie, co to komedia! Nie rozpoznałby jej pan, nawet gdyby nagle ugryzła pana w tyłek.

Sięgnął po kiść czerwonych winogron i wpakował do ust całą, wraz z szypułkami i wszystkim innym oraz sporym kawałem dojrzałej brzoskwini na dokładkę.

— Zgodzę się z tym, jeśli opowie mi pan coś, czego nie wiem o Robercie.

Roześmiał się serdecznie, jak mały chłopiec, który zauważył coś niemądrego. Jego usta zdobiła cała tęcza kolorów.

— Myliłem się, doktorze b. Pan jednak ma poczucie humoru.

— Czy to oznacza, że nie zdradzi mi pan nawet najdrobniejszego z jego sekretów?

— Nie, to oznacza, że są miliony takich sekretów. Odnośnie do roba, a także wszystkich innych, nie wykluczając pana samego.

— W takim razie to nie powinno być dla pana trudne. Proszę mnie doksztąpić. Czegóż to na przykład nie wiem?

— Na przykład nie wie pan tego, że przynajmniej dwukrotnie usiłował popełnić samobójstwo.

— Co takiego? Kiedy?

— Gdy zamordowano mu żonę i córkę, pamięta pan?

— Oczywiście. Próbował się wtedy utopić w rzece obok swego domu.

— Bardzo dobrze. A o pierwszym razie także pan wie?

— O jakim pierwszym razie?!

— Gdy miał sześć i pół roku. Próbował powiesić się w swoim pokoju.

— W wieku sześciu lat?!!

— Prawdę mówiąc, było mu już bliżej do siedmiu. A dokładnie miał wówczas sześć lat, dziesięć miesięcy, dziewięć dni...

— I to wtedy wezwał pana po raz pierwszy? Po próbie samobójstwa?

— Na głowę proroka, zdaje się, że pan to wreszcie pojął.

— Wezwał pana, ponieważ nie chciał umierać?

Prot wsadził do ust następną kiść winogron.

— Nie, mój ludzki przyjacielu. Wezwał mnie, ponieważ nie u d a ł o mu się umrzeć.

— I nic mi pan o tym nie powiedział! Jest parę spraw dotyczących istot ludzkich, których pan sam nie rozumie, mój przyjacielu z kosmosu.

— Wiem już o nich więcej, niżbym sobie życzył.

— Bardzo proszę — błagałem (przypominało to raczej skomlenie) — nie rozwódźmy się dzisiaj nad tym tematem. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego Rob chciał się zabić.

— Ponieważ zmarł mu ojciec.

— Ale przecież nic nie mógł na to poradzić?

— On uważał, że to jego wina.

— Dlaczego wina?

— Nie wiem. Musi pan jego o to zapytać.

— Do licha, prot, on nie chce ze mną rozmawiać!

— Może zadaje mu pan niewłaściwe pytania.

— O nic go nie pytałem — odpaliłem. — Przecież nie ma go tutaj, nieprawdaż?

— Gdyby pan zaczął od właściwych pytań, może by przybył.

Jedyne co mi się udało, to nie wybuchnąć. Zamiast tego stukalem dość gwałtownie długopisem o żółty notatnik.

— Jakie pytania byłyby odpowiednie, ma pan jakieś propozycje?

Popatrzył na mnie jak na kompletnego głupka.

— Na przykład mógłby pan próbować się dowiedzieć, w jaki sposób umarł jego ojciec.

— Ale on przecież zmarł śmiercią naturalną. W wyniku obrażeń doznanych wiele miesięcy wcześniej w czasie pracy, o ile dobrze pamiętam.

— Widział pan świadectwo zgonu?

— Nie. A pan?

— Też nie.

— No to skąd pan może wiedzieć, z jakiej przyczyny zmarł?

— Ile jest dwa dodać dwa?

— Pana zdaniem pewnie pięć.

— To zależy od wymiaru, w którym się znajdziemy.

— Chce mi pan powiedzieć, że dwa dodać dwa równa się pięć w przypadku Roberta?

Pokręcił głową.

— Raczej to, że mógłby pan spróbować spojrzeć na sprawę pod innym kątem.

— A jeżeli nie wiem, pod jakim kątem mam patrzeć?

— Hm, sądzę, że mógłby pan poddać krytycznej ocenie wasz system edukacji.

— Chodzi panu o moje wykształcenie psychiatryczne?

— Nie, mój drogi, chodzi o umiejętność spostrzegania. Oczywiście uczenie się tego mogłoby panu zająć parę tysięcy lat.

— Prot, nie mamy tyle czasu.

— Może parę dziesięcioleci mniej. Albo więcej.

— Prot, proszę mi powiedzieć wprost wszystko, czego ja nie wiem.

— Ma pan kozę w nosie.

— Co?

— Smark.

— Och. — Spoglądał z pewnym rozbawieniem, jak wyciągam chusteczkę i usuwam ten irytujący szczegół. — Czy tylko tyle ma pan do powiedzenia?

— O pańskim nochalu?

— Lub o czymkolwiek innym.

— Na razie tak.

— W porządku. Zmieńmy temat.

— Na „wujów”, jak przypuszczam?

— Być może. Chcę panu zadać jeszcze parę pytań dotyczących pańskiego dzieciństwa na K-PAX.

— Czy będą tym razem miały jakiś związek z całą sprawą?

— Proszę pozwolić, że sam to ocenię. Wzruszył ramionami.

— Niech pan sobie ocenia.

— Dziękuję. Zapytam teraz o okres pańskiego niemowlęctwa na K-PAX, gdy miał pan poniżej dwudziestu waszych lat. Czy przez te dwadzieścia pierwszych lat przydarzyło się panu coś przykrego, w jakimkolwiek sensie?

Podrapał się w głowę, zupełnie jak każda przeciętna ludzka istota. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego próba przypomnienia sobie jakiegoś zapomnianego faktu wywołuje swędzenie głowy.

— Nic takiego, doprawdy. Najzwyczajniejsze niemowlęctwo.

— W porządku. Przenieśmy się do trochę późniejszego okresu. Ma pan dokładnie pięćdziesiąt pięć lat. Czy ma pan jakieś ulubione zwierzątko?

— Nie mamy ulubionych zwierzątek na K-PAX.

— Dobrze, ale takie, które wciąż jest w pobliżu? Idzie wszędzie za panem? Jakies zwierzę, które jest przy panu częściej niż inne?

— Był pewien folgam, który towarzyszył mi czasami.

— Co to jest „folgam”?

— Coś w rodzaju kota, tylko mniejszy.

Byłem poruszony, przypomniawszy sobie, że wuj Dave, pedofil, zabił małego kotka (oraz psa przybłądę) i zapewnił sobie milczenie pięcioletniego Robina, grożąc mu, że to samo może go spotkać.

— Kot?

— Ka-o-te. Kot.

— Ale koty są mięsożerne, prawda?

— Nie na K-PAX.

— Kot wegetarianin.

— Właśnie to powiedziałem, nicht wahr?

— Powiedział pan, że folgam „był”. Co się stało z tym zwierzęciem?

— On nie był „zwierzęciem”. On to był „on”, istota jak pan i ja.

— Co się z nim stało?

Prot zmarszczył czoło i zacisnął wargi.

— Gdzieś sobie poszedł.

— Zniknął?

— Nie, on nie pochodził z Cheshire. Po prostu poszedł sobie.

— I nie wie pan dokąd?

— Właśnie!

— Pewnego ranka pan się obudził, a jego już nie było.

— Bardzo słusznie. Z tą różnicą, że nie ma u nas ranków w waszym rozumieniu. Wie pan, z tymi naszymi dwoma słońcami...

— Dobrze, dobrze. Co działo się potem, gdy ten folgam już sobie poszedł?

— Nic takiego. Poszedłem do biblioteki, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o folgamacach.

— Dlaczego?

— Ciekawiło mnie, czy one zawsze tak odchodzą.

— Tęsknił pan za swoim folgamem, prawda, prot?

— On nie był „moim” folgamem. Po prostu chciałem się dowiedzieć.

— Czy jakiś inny folgam kiedyś jeszcze panu towarzyszył?

Przyglądał się swoim paznokciom.

— Nie.

— Czy ktoś kręcił się w pobliżu, gdy pana folgama uciekł?

Zastanawiał się.

Nieprawdaż? (niem.).

— Gdzieś w oddali widywałem kogoś, ale nie potrafię powiedzieć, kto to był.

— Był zbyt daleko?

— Tak.

— Był gruby czy chudy?

— Wydawał się raczej otyły jak na dremera.

— Poprzednio pan go nie widywał?

— Już mówiłem: nie wiem, kim on był.

— W porządku. Teraz przejdźmy do czasu, gdy miał pan lat sześćdziesiąt osiem. Pamięta pan? Obudził się pan z bólem głowy i tak dalej?

Przytaknął, acz z pewną podejrzliwością.

— Zanim to się zdarzyło, kąpał pan kogoś, prawda? Znowu kiwnął głową.

— Czy był on „raczej otyły, jak na dremera”?

— Nie.

— Zatem to nie była ta sama istota, którą pan widywał po ucieczce folgama.

— Nie.

— A czy wie pan, kogo pan kąpał?

— Tak, wiem.

— Wie pan? — Czuję, jak serce mi wali. — Jak się nazywał?

— Tego nie wiem.

— Zna pan nazwisko swojego ojca?

— O ile mi wiadomo, nigdy nie spotkałem swego ojca.

— A jakiego rodzaju związek istniał między panem a tym dremerem w wydrążonym pniu?

— Zwyczajny. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, oglądaliśmy gwiazdy, podziwiali kormy.

— O czym rozmawialiście najczęściej?

— O wielu sprawach.

— O seksie?

— To nie jest zbyt częsty temat na K-PAX. Niewiele da się o tym powiedzieć.

— Czy on... hm... przejawiał jakąś seksualną aktywność wobec pana?

— Na pewno nie! Dlaczego miałby przejawiać?

— Ale spotykał go pan wcześniej.

— Wiele razy.

— I nigdy nie wydarzyło się nic niezwykłego?

— Nie.

— Ale... dlaczego pan go kąpał?

— Czy nie rozmawialiśmy już o tym?

— Tak, ale bez szczegółów.

— Nagle staje się pan drobiazgowy?

— Właśnie.

— Myłem go, ponieważ nie mógł umyć się sam.

— Dlaczego nie mógł?

— Miał trudności z poruszaniem rękami i nogami.

— Były uszkodzone?

— Nie wydaje mi się. Mamy środki do usuwania takich uszkodzeń.

— No to co mu było?

— Nie wiem.

— Czy cierpiał ból?

— Tak.

— I nie podawał mu pan czegoś przeciwbólowego? Na przykład kory balnoku do żucia?

— To mu nie pomagało.

— Rozumiem. A czy mył go pan kiedykolwiek wcześniej?

— Nie.

— No dobrze. Spotykał pan często tego dremera. Od jak dawna pan go znał?

— Od jakiegoś czasu.

— Naprawdę? Przecież mieszkańcy K-PAX często zmieniają miejsce pobytu.

— Chodzenie sprawiało mu trudność, więc nie przemieszczał się tak jak inni.

— A pan? Czy nie przemieszczał się pan w tym czasie? Nie opuszczał pan tej istoty?

— Dzieci nie przemieszczają się w takim stopniu jak dorośli. A poza tym chyba przez długi czas podążaliśmy w tym samym kierunku.

— Czyli widywał go pan dosyć często?

— Częściej niż inne istoty. I co z tego?

— Jednak nie wie pan, jak się nazywał.

— Już to mówiłem — odwarknął.

— Po tym jak uderzył pan o coś głową i stracił pamięć, nigdy go już pan nie spotkał, tak?

— Nigdy.

— Dlaczego nie?

— Kto to może wiedzieć? Przypuszczam, że w końcu przeniósł się w inne miejsce.

— A może umarł?

Chyba go to trochę poruszyło. Ale odparł po prostu:

— To możliwe, oczywiście.

— Ile miał lat?

— Około czterystu, jak sądzę.

— Dość młody jak na mieszkańca K-PAX.

— Zbliżał się do wieku średniego.

— Czy ktokolwiek umiera w tym wieku na K-PAX?

— Bardzo rzadko.

— Ale jest to możliwe?

— Tak, to możliwe! Wszystko jest możliwe!

— Prot, proszę, żeby pan się dobrze zastanowił, zanim odpowie pan na następne pytanie. Czy ten mężczyzna mógł być pańskim ojcem?

— Wątpię — odparł bez chwili namysłu.

— Dlaczego nie?

— Nigdy nie spotkałem swojego ojca.

— Prot, pan mnie okłamuje, prawda?

— Moi? Już mówiłem: nie skłamałem nigdy w życiu.

— Mieszkańcy K-PAX dysponują wieloma zdolnościami, prawda? Sądzę, że jedną z nich jest okłamywanie innych w sposób niezmiernie przekonujący. Czy to możliwe?

— Wszystko jest... Chcę powiedzieć, że oczywiście to jest możliwe, ale tak się składa, że akurat w tym wypadku nie jest prawdą.

— Wie pan, kto był pańskim ojcem, prawda? Albo przynajmniej może pan przypuszczać, kto nim był.

Ja? (franc).

— Mówiłem panu wiele razy, że nie wiem.

— I tyle samo razy pan kłamał, czyż nie?

— Nie! Nie kłamałem!

— Mężczyzna w wydrążonym pniu to pana ojciec, prawda?

— Nie! To znaczy... Nie wiem, kim był mój ojciec, rozumie pan? To po pros...

— Ale nie można wykluczyć, że ten mężczyzna był pana ojcem, prawda?

— TAK JEST, NIE MOŻNA TEGO WYKLUCZYĆ, DO CHOLERY!

Okręciłem się na fotelu.

— Dziękuję, prot. To wszystko na dzisiaj — powiedziałem, nie patrząc na niego.

Zabrałem się do notatek. Po paru sekundach rozejrzałem się, ale już go nie było. I co teraz, czarny procie w kropki bordo? Być może nasz system edukacji jest obezwładniający, ale dokądś nas prowadzi, nicht wahr? Po jeszcze paru latach udręki, tak sam siebie zapewniałem, zdołałbym dojść do sedna tego wszystkiego! Ale pozostało mi jedynie parę tygodni, zbyt mało, by dotrzeć do niego nawet w połowie. Ziarnka klepsydry przesypywały się nieubłaganie i musiałem szybko zdecydować, czy powinienem wszystek pozostający czas i całą uwagę poświęcić samemu tylko Robertowi, nakłaniając go, żeby zechciał zrzucić ciężar z serca, czymkolwiek ów był? Zaczynałem podejrzewać, że chodzi o wyznanie, iż mały Robin w jakiś sposób przyczynił się do śmierci ojca...

Szukałem Giselle i znalazłem ją w świetlicy, siedziała na parapecie okna, ulubionym miejscu Frankie, w tym samym miejscu, z którego ponad siedem lat temu pewien niegdysiejszy pacjent, Howie, wypatrywał ptaka szczęścia. Spytałem, nad czym medytuje.

— Och, doktorze B., myślałam właśnie o tych wszystkich ludziach, których tu pozostawimy. Niech pan spojrzy na Alexa, który usiłuje być kimś innym, niż jest. Traci na to swój bezcenny czas. A ci wszyscy inni pacjenci. W większości nie mają nawet pojęcia, z jakiego powodu są nieszczęśliwi. Albo żyją w lęku, nie wiedząc, czego się boją. Nie możemy ich wszystkich zabrać ze sobą. To żalosne, prawda?

Nie chciałem mówić, jak żalosne mogą okazać się jej własne marzenia, gdy zawiodą. Zamiast tego powiedziałem jej o krótkiej rozmowie, którą odbyłem poprzedniego wieczoru z matką Roberta.

— Sześciolatek Robin był bardzo blisko ze swoim ojcem, a w miesiącach poprzedzających jego śmierć wręcz go nie odstępował. Ojciec nazywał go „Robbie” (to ważna informacja dla Freda). Dowiedziałem się również, że Gerald Porter pod koniec nie mógł utrzymać moczu ani kału. Używał pampersów, jak niemowlę! I jeszcze jedno może być istotne: z powodu wysokich kosztów leczenia niewiele brakowało, by utracili swój dom. Bardzo rozpaczał z tego powodu.

— Mogli stracić dom? Jak to?

— Ponieważ nie byli w stanie pokryć wszystkich opłat, włączając rachunki za szpital. Ich sprawy finansowe wyglądały naprawdę kiepsko. Myślę, że to dlatego prot tak negatywnie ocenia gospodarkę wolnorynkową.

— Ale jednak nie stracili domu, prawda?

— Nie. Na szczęście mieli jakieś ubezpieczenie na życie. Niewielkie, ale wystarczyło, żeby zaspokoić wierzycieli, przynajmniej na jakiś czas.

Giselle rozmyślała nad tym przez chwilę.

— A co mama Roberta wie o...

— Niewiele. Dziewczynki spały już w swoim pokoju. Usłyszała hałas i poszła zobaczyć, co się stało. Znalazła męża w wannie. Był już wtedy martwy. Myślała, że zmarł z powodu zawału serca. Prot w tej sprawie ma wątpliwości. Czy mogłaby pani zdobyć świadectwo zgonu?

Kiwnęła głową, westchnęła głęboko i ciężkim krokiem skierowała się do wyjścia.

Zanim opuściłem świetlicę, zatrzymałem się przy Aleksie, który siedział w wielkim pękatym fotelu, przeglądając olbrzymią encyklopedię i zapisując coś w żółtym notatniku, takim samym jak mój. Przypadkowy gość mógłby go wziąć za kogoś z personelu, pracującego ciężko nad trudnymi problemami któregoś z pacjentów.

— Hej, Alex, jak ci idzie?

— Prawie gotowe — mruknął, nie podnosząc głowy.

— Powodzenia — szepnąłem do niego i do siebie samego zarazem.

Dopiero gdy wyszedłem z sali, uprzytomniłem sobie, że Alex zareagował w sposób zupełnie dla siebie nietypowy. No tak, pomyślałem. Zanim nie porozmawiał z protem, nikt nie dawał mu szansy, by b y ł tym, kim naprawdę pragnął być, szansy na spełnienie głębokiej potrzeby, nawiedzającej wielu także poza murami szpitala. Rozwahałem, czy takie podejście mogłoby się okazać skuteczne również wobec paru innych pacjentów. Co by się stało, gdybyśmy zaspokoili ich kaprysy, dali im szansę być takimi, jakimi naprawdę pragną być, przynajmniej przez krótki czas?

Przedpołudnie zajęła nam wizyta słynnego „telewizyjnego terapeutę”, która miała się odbyć przed dwoma laty i została wtedy przez niego odwołana. Był to pulchny niski człowieczek, z policzkami przypominającymi jabłuszka, znakomicie nadawałby się do roli Świętego Mikołaja. Z zawodu rolnik, roztaczał delikatny zapach nawozu. Zastanawiałem się, co by sobie o nim pomyślał mój dawny pacjent Kurczak.

Wizyta była pierwotnie zaplanowana na cały dzień, ale musiał odwołać program na popołudnie (podobnie jak kiedyś odwołał cały) z powodu pewnych nieokreślonych, lecz pilnych zobowiązań. Chociaż w głębi serca nie byłem tym zmartwiony — miałem wystarczająco wiele obowiązków — irytowała mnie jego jawna arogancja, podobnie jak to było w roku 1995. A jeszcze bardziej działało mi na nerwy to, że w przeciwieństwie do mnie zdobył majątek na swoich książkach. Niemniej wyczekiwałem spotkania z nim, ponieważ zawsze można się czegoś nauczyć w sprawie porozumiewania się z pacjentami od kolegi, któremu to się udaje tak skutecznie, i to w skali całego kraju.

Thorstein przywiózł go z dworca kolejowego Penn Station (gwiazdor nie podróżuje samolotem). Gdy wprowadził go do mojego gabinetu, jego pierwsze słowa brzmiały: „Życie jest jak sztuczna szczeka”. Nie miałem pojęcia, jak to rozumieć, ale przytaknąłem z mądrą miną, nie chcąc

sprawiać wrażenia niepojętego na samym początku naszej znajomości.

Zaproponowałem kawę. Sławny guru, wymachując palcem jak serdelek, wyrzekł kilkakrotnie: „Budujesz dom kamień po kamieniu!” Uznawszy, że nie brzmi to jak odmowa, poprosiłem jedną z sekretarek, by nam przyniosła pełen dzbanek. Chcąc nawiązać rozmowę zapytałem, gdzie odbywał studia. „Ziarnko piasku warte jest więcej niż wszystkie znaki wyryte na murze” oznajmił, mrugając porozumiewawczo. (Dowiedziałem się później, że nie ukończył ósmej klasy.)

Próbowałem zmienić temat rozmowy na mniej osobisty.

— Jak się panu podoba Nowy Jork?

— Im większa gęś, tym mniejszy gąsior! — wykrzyknął, waląc pięścią w biurko. Tak minęło nam pół godziny i odetchnąłem z ulgą, kiedy Thorstein po niego przyszedł.

Zaimprovizowane seminarium wyznaczono na godzinę jedenastą, nie licząc się z planem zajęć personelu i pacjentów. Mimo to frekwencja była wysoka. Nie odtworzę tutaj dosłownie przebiegu całej debaty, wystarczy powiedzieć, że składała się na nią nieprzerwana litania aforyzmów, frazesów, dziecinnych rymowanek, cytatów z Biblii i babskiej gadaniny, którą rozpoczęło: „Czymże innym jest kłamstwo, jak tylko ukrytą prawdą?”, a zakończyło: „Możesz zwabić więcej much miodem niż octem, lecz ocet jest tańszy.” Niestety, zabrakło czasu na dyskusję, ale odprowadzały go rześiste brawa, gdy kierował się pospiesznie w stronę wyjścia z powodu swoich „pilnych zobowiązań”.

W czasie lunchu nikt nie potrafił zakwestionować wypowiedzi wielkiego filozofa, ale też nikt nie umiał wyjaśnić, dlaczego życie przypomina sztuczną szczękę.

Raz na wozie, raz pod wozem, a właściwie na odwrót, gdyż spotkanie z Linusem okazało się przełomowe. Jak zwykle zapytałem go, dlaczego musi sprawdzić swój pokój dokładnie trzydzieści siedem razy, zanim z niego wyjdzie, i uzyskałem standardową odpowiedź:

— Żeby nie popełniać już więcej błędów.

Stłumiłem ziewnięcie.

— Jakich błędów?

— Takich, jak z tą pracą naukową. Wie pan, na temat sekwencji DNA w jednym z genów smaku.

— Chce pan powiedzieć, że błędem było opublikowanie zmyślonych wyników?

— Nie, chcę powiedzieć, że nie powinienem był używać ewidentnie podrabianego żelu do badań.

Czy Linus rozmawiał już z protem? Wyprostowałem się.

— A więc przyznaje się pan do oszustwa? Sfałszował pan dane, pisząc ten artykuł?

— Sfałszowałem wszystkie dane.

— Ale... ale dlaczego? Wszystko, czego się o panu dowiedziałem, świadczy, że posiada pan wyjątkowe uzdolnienia, potrafi zaprojektować sensowne badania i uzyskiwać istotne i liczące się rezultaty.

— To prawda.

— No to dlaczego sfałszował pan wyniki? Czy nie było łatwiej solidnie przeprowadzić badania?

— Nienawidzę badań.

— Nienawidzi pan?... Po cóż więc zajął się pan biologią molekularną?

— Doktorze Brewer, zna pan moich rodziców?

— Tak, znam. Oboje są wysoko cenionymi naukowcami. Już samo to dawało panu przewagę nad każdym innym.

— Nigdy się ze mną nie liczyli. Obydwoje przyjęli za pewnik, że pójdę w ich czcigodne ślady. Nie pytali mnie o zdanie, a gdy próbowałem je wyrazić, zwyczajnie mnie ignorowali. Jedno nieubłagane pociągnęło za sobą drugie. Pana zdaniem miałem inne wyjście?

Rozumiałem go. W samej rzeczy utożsamiałem się z nim. Niemalże odczuwałem to samo. Mój ojciec przyjął za pewnik, że pragnę pójść w jego ślady. Kto to wie — gdyby pozostawił mi wybór, może i tak bym to uczynił. Problem polegał wszakże na tym, iż nie czułem, bym miał prawo głosu w tej sprawie. Nawet przez długi czas po jego śmierci czułem się zobowiązany do spełniania jego życzeń!

Zapytałem Linusa, co uczyniłby ze swoim życiem, gdyby mógł rozpocząć wszystko od nowa.

— Chciałbym być kowbojem — odpowiedział najpoważniej w świecie. Czułem się tak, jakbym spożywał posiłek w obecności pilnie obserwującego mnie psa.

— Może da się jeszcze coś z tym zrobić.

Dosłownie przyczołgał się do mnie, objął mnie za nogi

i rozplakał się. Prawdę mówiąc ja też zacząłem szlochać. Gładziłem jego włosy i płakałem, nad nim, nad sobą, nad nami wszystkimi.

Freddy przybył do nas na obiad w niedzielę. (Zaprosiliśmy też jego balerinę, ale się wykręciła. Może i dobrze — on sam je za dwoje.) Odkąd się ostatnio widzieliśmy, wziął udział w licznych przesłuchaniach, lecz nie dostał żadnej roli i jego jedynym obecnie zajęciem było

prowadzenie kółka teatralnego. Wydawał się trochę przygnębiony i tak się zachowywał, jakby chciał nam coś powiedzieć. Poprzednio wycofał się z lotnictwa — czyżby tym razem przeżywał rozczarowanie karierą aktorską? (Ten zawód nie wydawał się zbyt dochodowy.) A może przeżywał lęk przed porażką w swojej profesji, jak większość z nas? O cokolwiek chodziło, zakorkował to w sobie w typowy dla siebie sposób.

Przekazałem mu wszystkie informacje na temat ojca Roberta i widziałem, jak je przetrawia, tworząc coś w rodzaju jego wyobrażenia w swoim umyśle. W końcu umówiliśmy się na próbę kostiumową w najbliższą sobotę. Miał przyjść w jakiejś starej luźnej odzieży i zamierzaliśmy przećwiczyć wtedy scenariusz oraz przemyśleć, co może się wydarzyć, gdy przybędzie do szpitala; tę wizytę zaplanowaliśmy na następny tydzień. Uświadomiłem sobie nie bez żalu, że nigdy dotąd nie odwiedził mnie w moim gabinecie.

Po południu oglądaliśmy balet w telewizji. Czy Fred okazywał takie nim zainteresowanie, by sprawić mi przyjemność? Czy też po prostu tak wiele dowiedział się o tej dziedzinie sztuki od swej współlokatorki? A może studiował ruchy tancerzy, by zwiększyć swe szanse uzyskania roli na Broadwayu? Kto to może wiedzieć? Kto potrafi przeniknąć umysł innej osoby, nawet bliskiej? Tylko jego matka sprawiała wrażenie bez troskiej, pobrzękując naczyniami w kuchni. Nie lubiła baletu i nie zamierzała zmieniać swych upodobań. Karen zawsze jest sobą — nic dodać, nic ująć. I przynajmniej w jej przypadku nie potrzeba nic więcej.

SESJA CZTERDZIESTA DRUGA

Poniedziałkowe zebranie odbyło się w atmosferze niezmaconej szczęśliwości. Linus był w trakcie przenosin na Oddział Pierwszy, a Milton, który przebywał w różnych szpitalach przez ponad trzydzieści lat, zanim trafił do IPM, miał zostać wkrótce wypisany na dobre. Podniesiony na duchu tym wszechogarniającym dobrym nastrojem oddawałem się kontemplacji Słoneczników van Gogha, perfekcyjnej kopii obrazu wykonanej przez byłą pacjentkę, i podskubywałem pączek z cynamonem, wiedząc z góry, że pożałuję tego, gdy tylko stanę na wadze. Zracjonalizowałem to sobie oświadczając głośno, że bardzo chętnie zjem pączka z cynamonem za każdego wypisywanego pacjenta.

— To lepiej weź kilka na zapas — ryknął śmiechem Beamish — gdyż jest jeszcze ktoś gotowy do przeniesienia na Oddział Pierwszy.

Wlepiłem wzrok w małe okularki, niewiele większe od jego oczu.

— Kto?...Ophelia?

— Tak jest! A skąd wiesz?

— Zauważyłem pewne zmiany.

Menninger przytaknął.

— Zupełnie jakby była inną osobą.

— Może tak właśnie jest — dorzuciłem, sam nie wiedząc, po kiego licha to mówię.

— Kimkolwiek się stała, nie jest już psychotyczką — zapewnił nas Beamish. — Nawet nie potrafię się u niej doszukać przyzwoitej nerwicy.

Goldfarb rozejrzała się po sali.

— Ktoś zgłasza sprzeciw?

Nikogo takiego nie było.

— Trzeba się jej pozbyć! — zawołała, ciskając pióro na wielki stół konferencyjny. Zabrzmiało to brutalnie, ale stanowiło jedno z ulubionych powiedzonek Goldfarb, pewnie coś w rodzaju magicznego zaklęcia. — Czy mamy jeszcze kogoś nadającego się na Oddział Pierwszy?

— Sądzę, że Don i Joan są gotowi — odrzekła Chang.

— To zadziwiające, że gdy są razem, wydają się tworzyć jedną istotę ludzką, której nic nie brakuje.

— Podobnie jak Alice i Albert — wtrąciła Goldfarb — choć ci dwoje chyba nie są jeszcze gotowi do przeniesienia na dół. Niemniej jednak należą się podziękowania protowi, że ich do siebie

zbliżył.

Co do tego miała rację, chociaż to ja pierwszy pomyślałem o związku Dona Supełko z Joanną d'Arc — ktoś jednak by mi uwierzył? Zdołałem zwrócić uwagę zebranych, że na część pacjentów pobyt prota wydaje się nie mieć wpływu — na takich jak Frankie i Cassandra, czy też na autystyków, zбочzonych seksualnie i psychopatów.

— Dajmy mu czas — powiedział Menninger. — Dajmy mu czas. Cassie wyszła już z depresji. Być może prot miał z tym coś wspólnego.

Odparłem z pewnym zakłopotaniem, że porozmawiam z nią o tym.

W związku z tym wszystkim należało się w najbliższym czasie spodziewać wolnych miejsc na Oddziale Drugim, a tym samym powstawała przestrzeń dla paru nowych pacjentów oczekujących przeniesienia z „Dużego Instytutu” Uniwersytetu Columbia do IPM.

— Przyjmijmy ich jak najszybciej - zaproponowała Chang. — Niech prot spróbuje ich rozgryźć, zanim zniknie. — Jedyne ja miałem odmienne zdanie na ten temat. Pod koniec zebrania dyskutowaliśmy o dorocznym wyjściu pacjentów do Metropolitan Museum of Art. Zostało zaplanowane na piętnastego, poniedziałek — dzień, w którym ta szacowna instytucja zwykle jest zamknięta. Będzie więc cała do naszej tylko dyspozycji (podejrzewam, że ten gest ze strony dyrekcji muzeum był raczej ukłonem w stronę jego sponsorów niż naszych pacjentów, niemniej doceniliśmy go).

— Jak się sprawy mają z nowym skrzydłem? — spytał Thorstein. — Byłem rano w ogrodzie i miałem wrażenie, że niewiele tam się dzieje.

Wszyscy spojrzeli na mnie z wyrzutem.

— Rozmawiałem z kierownikiem budowy w ubiegłym tygodniu. To ma związek z dniami świąt, referendum związkowym i czymś tam jeszcze, czego nie rozumiałem. Nie mówi zbyt dobrze po angielsku.

— Żaden problem — powiedziała Goldfarb z wymuszonym uśmiechem. — Przy takim tempie leczenia jak ostatnio może się okazać, że to cholerne skrzydło nie będzie nam potrzebne. — No nie, Goldfarb wygłaszająca dowcipy! Uniosła pióro. — Jakies inne sprawy?

Wspomniałem o tłumie przy głównej bramie, który wydawał się narastać z każdym dniem.

— Co w tym złego? — chciał wiedzieć Thorstein. — Mam wrażenie, że są w porządku. Chcą tylko usłyszeć słowo od prota. Tak czy owak to twoja wina.

Zdałem sobie sprawę, iż życzę mu, by znalazł sobie pracę gdzie indziej.

— Moja?

— Gdybyś nie wydał tych książek, nikt by nawet nie miał pojęcia, że prot tu przebywa.

— Co oni poczną, gdy go zabraknie? — martwił się Beamish.

— Pytanie, co my poczniemy, gdy go zabraknie? — mruknęła Goldfarb, znów ze śmiertelną powagą.

Berty czekała w moim gabinecie. Wydawała się zdenerwowana, nawet roztrzęsiona. Zapytałem, gdzie tkwi przyczyna.

— Właśnie tutaj —jęknęła.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Za godzinę mam wizytę u dentystki, czeka mnie leczenie kanałowe zęba.

— No i?

— Boję się borowania.

Uzębienie Betty zawsze pozostawiało wiele do życzenia. Teraz poznałem przyczynę.

— Dlaczego boisz się borowania?

— Boję się, że wiertło się urwie i przebije mi czaszkę.

— Betty! Prawdopodobieństwo czegoś takiego jest znikome!

Zaciskała nerwowo ręce.

— Wiem. Ale to mi nie pomaga.

Widziałem, że jest naprawdę przerażona.

— Rozumiem. Czy chcesz, bym polecił ci kogoś, kto pomoże ci to przezwyciężyć?

— Hm... może tak. Ale myślałam, że pan mi powie coś takiego, co mi pomoże od razu.

— W tych sprawach nic nie jest łatwe, Betty, wiesz o tym. Jak radziłaś sobie z wcześniejszymi wizytami u dentysty?

— Mąż zawsze szedł ze mną. Ale dzisiaj nie może.

Od razu pomyślałem o procie, żeby z nią poszedł, ale zaraz poniechałem tego zamiaru.

— Nie sądzę, żebyśmy mogli coś z tym zrobić w ciągu jednej godziny. Może chciałabyś odłożyć termin wizyty do czasu, aż zgłębimy trochę twój problem?

— Nie mogę. Jeżeli będę zwlekać, zęba nie da się uratować i trzeba go będzie wyrwać, co jest jeszcze gorsze.

W tym momencie weszła moja żona.

— Cześć! Byłam dziś w mieście i sama nie wiem, dlaczego przyszedłam aż tutaj. Myślałam, że może zjemy razem lunch. Cześć, Betty. Dołączysz się do nas?

— Nie mogę — odparła posępnie.

— A to dlaczego?

Betty raz jeszcze opowiedziała o całej sprawie.

— Bardzo dobrze cię rozumiem — zapewniła ją Karen. — Mam taki sam problem. O której masz wizytę? Pójdę z tobą. Potem wybierzemy się na jakiś miły lunch.

Całe napięcie od razu znikło z twarzy Betty, jakby otworzył się wentyl bezpieczeństwa. Gdy wychodziły, Karen pomachała mi i odwróciwszy głowę przesłała uśmiezek, który zdawał się mówić: „A widzisz? Wszystko jest łatwe, jeżeli potrafisz odczuwać empatię wobec swych pacjentów”. A ja nawet nie wiedziałem, że moja żona boi się dentysty.

Poszedłem zobaczyć, co porabia Cassandra. Podczas gdy szukałem jej w parku (niezależnie od temperatury lubiła przebywać na zewnątrz budynku, gdzie mogła oddawać się kontemplacji nieba), na myśli mi przyszło, że być może jest kimś w rodzaju autystycznego geniusza, kimś, kto koncentruje swe zdolności psychiczne na jednym jedynym rodzaju aktywności do tego stopnia, że naprawdę potrafi dostrzegać związki między wydarzeniami, których inni nie widzą, i stąd wyciąga perfekcyjnie logiczne wnioski co do odległej nawet przyszłości.

Znalazłem ją siedzącą na swej ulubionej ławce, w starym znoszonym płaszczu — objęła się ramionami, tak jakby ktoś nałożył jej kaftan bezpieczeństwa. Odczekałem parę minut, aż dostroi się do mej obecności.

— Witaj, Cassie. Jak się czujesz?

— W porządku — nawet uśmiechnęła się lekko.

— To dobrze. Cieszę się, że czujesz się już lepiej.

— Prot powiedział mi, żeby nie tracić nadziei.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie wyjazdu na K-PAX. Mówi, że ktoś inny może później przybyć, żeby mnie zabrać.

— Moglibyśmy o tym przez chwilę porozmawiać?

— Odlatuje trzydziestego pierwszego.

— Tak, wiem. Chciałem zapytać, czy odkryłaś, kogo zabierze ze sobą tym razem?

— Nie mam pewności. Wiem tylko, ilu z nas będzie mogło polecieć.

— Naprawdę? Ilu?

— Dwoje.

— Tylko dwoje? — zaśmiałem się. — Podobno miał zabrać setkę.

Spojrzała na mnie gniewnie spod włosów opadających jej na oczy.

— Tak, to prawda. Ale tylko dwoje spośród nas.

— To znaczy spośród mieszkańców szpitala?

— Tak.

— Ale nie wiesz kogo?

— Jeszcze nie — westchnęła, powracając do obserwacji nieba.

— Czy przeczuwasz, kiedy będziesz mogła się dowiedzieć, kogo zabiera?

Lecz ona była już nieobecna duchem, zagubiona gdzieś w niebiosach.

W drodze do wielkich drzwi wejściowych rozmyślałem po raz kolejny, jak mało wiemy o ludzkim umyśle. Jakby dla potwierdzenia moich wątpliwości wpadłem na Alberta i Alice, którzy wychodzili z budynku w towarzystwie parki kotów. Od pewnego czasu zdawali się być nierozłączni.

— Jak wam się obojgu wiedzie? — zapytałem.

— Wspaniale! — zawołał Albert, wyciągając z zanadru taśmę mierniczą. — Alice w ostatniej wielkościowej fazie była o całe dwa centymetry niższa niż w poprzedniej, kiedy to także była dwa centymetry niższa aniżeli jeszcze wcześniej!

Alice, dzierżąc w ręku stoper, dodała:

— A Albert o dwie minuty lepiej ocenił czas trwania godziny niż w ubiegłym tygodniu! Czy to nie wspaniale?

— Cudownie! — powiedziałem zgodnie z własnym odczuciem. — Tylko tak dalej!

— Za miesiąc lub dwa będziemy wyleczeni!

Nie byłem tego aż tak pewny, ale wątpiłem też, czy znajdą się wśród szczęśliwych zdobywców bezpłatnej podróży na K-PAX.

Gęsty tłum kłębił się w ciszy przed frontową bramą. Niektórzy zaglądali od czasu do czasu do ogrodu, ale prota tam nie było, a inni pacjenci nie wzbudzali ich najmniejszego zainteresowania. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ tego rodzaju reakcję wobec chorych psychicznie przejawia większość ludzi i pragnie, najogólniej biorąc, aby tacy po prostu zniknęli. Niestety, podobne pragnienia żywią instytucje zdrowia publicznego.

Gdy wychodziłem ze szpitala na swój wykład o podstawach psychiatrii, zatrzymała mnie w korytarzu Giselle i wręczyła kopertę zaadresowaną: „dr. eugene n. brewer, ZIEMIA”. Oczywiście od prota. Wewnątrz znajdowało się to, o co prosiłem — sporządzony dla moich studentów spis spraw zrozumiałych i niezrozumiałych dla niego, jeśli chodzi o pacjentów. Całość była schludnie wydrukowana na karteczkach o rozmiarach trzy na pięć cali. Uważnie go przestudiowałem:

co wiem o homo sapiens od samego początku życia jesteście poddawani praniu mózgu — przez rodziców, krewnych, sąsiadów, szkoły, religie, pracodawców, rządy, nic dziwnego, że żyjecie w takim bagnie.

czego nie rozumiem na temat homo sapiens jak możecie zabijać sarny.

Włożyłem kartkę z powrotem do koperty.

— Proszę powiedzieć protowi, że przekazę to studentom. Przy okazji, czy zdobyła pani kopię świadectwa zgonu ojca Roberta?

— Nie, jeszcze tego szukają. Spodziewam się uzyskać je dla pana na czas, przed jutrzejszą sesją.

Z tym wszystkim pospieszyłem do Uniwersytetu Columbia, by stawić czoło rozgniewanym studentom. Jednakże ku memu zaskoczeniu przyjęli minitraktat prota z wielkim spokojem ducha. W samej rzeczy, gdy starałem się przekazać im tyle wiadomości, ile tylko mogłem w ciągu krótkiej godziny, nie padło ani słowo na jego temat. Była cisza jak na pogrzebie, ale o czym myśleli, pozostało dla mnie zagadką.

Jeszcze tylko trzy tygodnie! Oczekując przybycia prota na naszą czterdziestą drugą sesję, rozmyślałem nad świadectwem zgonu, które otrzymałem dopiero dzisiaj rano. Ojciec Roberta rzeczywiście zmarł z przyczyn naturalnych. Sekcji zwłok nie przeprowadzono. Powód zgonu musiał być oczywisty dla miejscowego lekarza: atak serca lub masywny udar mózgu, wywołany nieustającym stresem egzystencji w straszliwie zmaltretowanym ciele. Nic nieoczekiwanego.

Prot wszedł bez słowa, powolnym krokiem, pochwycił garść kiwi i pałaszował je hałaśliwie.

— Prot, niech pan się odpręży i swobodnie wejdzie w stan...

— Mógłby się pan wreszcie zdecydować. Raz—dwa...

— Dziękuję.

— Za co? — wymamrotał.

— Mniejsza z tym. Jak pan się czuje?

— Jakbym podróżował na promieniu światła.

— To dobrze. Teraz proszę się rozluźnić. — Nie byłem pewien, czy wszedł już w stan hipnozy czy też tylko udaje. Sprawdziłem mu puls: trzydzieści osiem, prawie taki jak zwykle u prota w hipnozie. — OK, prot, chciałbym przez chwilę porozmawiać z Robertem.

Prot/Robert popadł w stan bezwładu, jak zazwyczaj. Oczywiście nie było najmniejszego sygnału, że mnie słyszy i rozumie.

— Rob, to ja, doktor Brewer. Gene. Jak się dzisiaj czujesz?

Brak odpowiedzi.

— Prot powiedział, że powinienem pomóc ci zrzucić ciężar z serca. Czy to prawda?

Żadnej reakcji.

— Jestem przy tobie. Co chciałbyś mi powiedzieć?

Czekałem parę minut, z nadzieją że się przełamie i zareaguje, lecz nic nie wskazywało, by tak się miało stać.

— Rob, proszę, usłysz mnie. Nie musisz nic mówić, ale chcę, żebyś wysłuchał, co mam ci do powiedzenia. Kiwnij głową, jeśli mnie słyszysz.

Najmniejszego śladu poruszenia.

— Wiem, że mnie słyszysz, Robercie. A więc słuchaj. Mam pewien pogląd na temat tego, co ci się przydarzyło w latach chłopięcych, i chcę, żebyś go skorygował, dobrze? Jeżeli jest on słuszny, nie mów nic — (podstępna sztuczka, ale niekiedy przydatna). — Jeżeli nie, proszę, daj mi znać. W przeciwnym wypadku źle wystartujemy i skierujemy się w złą stronę. Rozumiesz? Nic.

— Powróć myślą do lata 1963 roku, miałeś wtedy

sześć lat i ojciec zaczął opowiadać ci o gwiazdach. Pomyśl o wszystkich cudownych nocach, które spędziliście razem w ogrodzie, obserwując niebo. Przypomnij sobie, jak ci opowiadał o słońcu i planetach, kometach i asteroidach, meteorach i wszystkim innym i jakie to było interesujące. A potem mówił ci o miliardach gwiazd na niebie i o tym, ile spośród nich może posiadać układ planetarny podobny do naszego, i że na niektórych planetach żyją, być może, istoty obdarzone inteligencją. Ze mogą one być odmienne od nas, ale nie aż tak bardzo? I że może potrafilibyśmy się z nimi porozumiewać, a nawet kiedyś je odwiedzić albo też pewnego dnia przyjmieni goście z odległych światów? Przypomnij sobie, jak miłe to było, siedzieć w ogrodzie w ciepłą letnią noc i czuć jego rękę, która cię obejmowała? I to, jak pomagałeś ojcu wrócić do domu, gdy była już pora iść spać... Potem matka otulała cię, całowała i życzyła dobrej nocy? Czy nie byłoby cudowne móc tam powrócić

i przeżyć to wszystko jeszcze raz? Choćby przez chwilę?

Robert siedział niewzruszony jak głaz.

— Lecz pewnej nocy zanieczyścił się, gdy byliście przed domem, i trzeba było go umyć. Matka była bardzo zajęta, a może źle się czuła, i poprosiła, byś pomógł ojcu przy kąpeli, ten jeden raz. Zgodziłeś się i pomogłeś mu przebyć tę bolesną drogę do łazienki. Pomogłeś mu się rozebrać i wejść do wanny, pamiętasz? Wrzuciłeś jego brudną odzież do kosza i zacząłeś go myć. Ale też byłeś brudny, więc zdjąłeś spodnie i koszulkę. Gdy nachylałeś się nad nim, wyciągnął ręce w twoim kierunku. Nie podobało ci się to. To ci przypomniało twój pobyt u ciotki i wuja i w jednej chwili powróciło wszystko to, o czym usiłowałeś zapomnieć.

Robert wydawał się trochę zaniepokojony i chyba usłyszałem coś w rodzaju zdławionego szlochu.

— W tym momencie nie tylko odniosłeś wrażenie, że ojciec zachowuje się tak samo jak wuj Dave, ale uświadomiłeś sobie, że nie możesz już więcej polegać na swym „przyjacielu i obrońcy”, że nawet on nie ustrzeże cię od złego. W całym świecie nie było nikogo, komu mógłbyś zaufać! Rzuciłeś ręcznik na podłogę i uciekłeś z łazienki do ogrodu. Ojciec opadł na dno wanny. Byłeś w takim szoku, że pobiegłeś dalej, w stronę lasu. Panowały ciemności, potknąłeś się i upadłeś, uderzając głową o kamień lub o drzewo. Straciłeś na chwilę przytomność, a gdy ją odzyskałeś i postanowiłeś w końcu wrócić do domu, usłyszałeś krzyk swojej matki. Głowa pękała ci z bólu, ale przybiegłeś i odkryłeś, że ojciec umarł, zaraz po tym jak zostawiłeś go w wannie samego. Cały był pod wodą. Czułeś straszny zamęt w głowie. Sądziłeś, że to twoja wina, że upadł, że żyłby nadal, gdybyś nie uciekł. Czy mam rację, Rob? Czy nie tak to było, gdy miałeś sześć lat?

Przyglądałem mu się uważnie, ale ani drgnął. Słyszałem tylko jego ciężki oddech.

— Nigdy sobie tego nie wybaczyłeś, prawda, Rob? Nigdy nie potrafiłeś pozbyć się poczucia winy i żalu. Jeśli się mylę, Rob, proszę cię, powiedz mi o tym.

Czekałem dość długo, ale opanował swój oddech i nie zareagował.

— Zatem mogę przyjąć, że mam rację i że wszystko

przebiegało mniej więcej tak, jak ci to przedstawiłem? Jeśli nie, po prostu mrugnij oczyma, aby dać mi znak.

Nie poruszył powiekami. Ale spływała mu łza po policzku!

— W porządku, Rob. Za chwilę pozwolę ci powrócić tam, gdzie byłeś przedtem. Jednakże pragnę, żebyś sobie coś przemyślał przed naszym następnym spotkaniem. Chcę, żebyś się dowiedział o czymś, czego nie wiedziałeś wcześniej. Śmierć twego ojca była spowodowana stresem fizycznym, wynikłym z obrażeń doznanym parę miesięcy wcześniej w rzeźni, a powodujących ogromne cierpienia. Nastąpiła na

głę, akurat wtedy, ale mogła nastąpić w każdej chwili. Nie sięgał, żeby cię pochwycić, ale po prostu

wyciągał ręce, czując już nadchodzącą śmierć. Czy nie mogło tak właśnie być, Rob? Nic nie mógłbyś na to poradzić, nawet gdybyś z nim pozostał, rozumiesz? To nie była twoja wina, to nie była niczyja wina. Na Ziemi ludzie umierają, pomimo wszystkich naszych starań. Nie spowodowałeś śmierci ojca, Rob. Ostatnie tygodnie życia uczyniłeś najszcześniejszym okresem jego życia. Dałeś mu coś, czego potrzebował i pragnął. Dałeś mu swą miłość.

Żadnego poruszenia, żadnego szeptu.

— W porządku, możesz już odejść. Zobaczymy się za parę dni. Pomyśl o tym, co ci mówiłem.

Odczekałem chwilę, zanim rzekłem:

— Okej, prot, możesz już wrócić.

— Mhm... o co chodzi, doktorze?

— O nic takiego. Wyjdź z hipnozy.

Usłuchał bezzwłocznie. Tłumiąc ziewnięcie, powiedział:

— Hej, gino. Czy znalazł pan Roberta?

— Myślę, że tak, ale nie jestem pewien.

— Nie rozpoznałby go pan od razu?

— Nawet tego nie mogę być pewny.

Potrząsnął głową.

— On jest trochę podobny do mnie. Oprócz...

— Wiem, jak wygląda! Zerwał się z miejsca.

— Dobrze, jeśli na tym koniec, udam się...

— Nie tak szybko.

— To ma być szybko, ziemską istotą?

— Czy słyszał pan cokolwiek z tego, co mówiłem do Roberta?

— Pan sądzi, że mógłbym podsłuchiwać?

— Nie. Ale myślę, że mógł pan usłyszeć coś przypadkiem.

— No to dla pańskiej wiadomości: nigdy nie słyszę ani słowa. Jeśli o mnie chodzi, mógł pan rozmawiać ze świętym mikołajem. Albo z jakąkolwiek waszą mityczną istotą.

— Proszę usiąść.

Klapnął na plastikowy fotel.

— A teraz proszę posłuchać. Opowiedziałem Robertowi, jak sobie wyobrażam to, co się wydarzyło, gdy miał sześć lat. W jaki sposób zmarł jego ojciec i jak on na to zareagował. Mogę mówić dalej?

— Dlaczego nie? Zostało nam jeszcze jedenaście minut i trzydzieści osiem sekund.

Już chciałem zacząć podsumowywać kluczowe wątki mej „rozmowy” z Robem, ale wpadłem na lepszy pomysł. Przewinąłem taśmę i odtworzyłem ją protowi. Wydawał się zafascynowany. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że trzeba włączyć znowu nagrywanie, ale jeśli dobrze pamiętam, powiedział wtedy coś w rodzaju: „Pańskie prymitywne metody nie przestają mnie zadziwiać.”

— Do cholery, prot, nie interesują mnie pańskie oceny moich metod ani też rodzaju ludzkiego. Chciałbym wiedzieć, czy według pana moja hipoteza jest wiarygodna.

— Wszystko jest...

— Tak, wiem, ale czy jest prawdopodobna.

— Powiedziałbym, że nie.

Pamiętam, że mocno pocierałem skronie w tym momencie, ale ból głowy nie ustępował.

— Dlaczego nie?

— On nie umarł na atak serca ani z żadnej innej naturalnej przyczyny.

— Nie? Skąd pan może wiedzieć?

— Byłem tam, jak pan zapewne pamięta.

— Ależ pan się pojawił dopiero na pogrzebie!

— Zaraz gdy tylko zobaczyłem zwłoki, uświadomiłem sobie, że coś takiego mogło się zdarzyć wyłącznie na ZIEMI. Nigdy na K-PAX.

— Co mianowicie mu się stało?

— Utopił się.

Nagle zrozumiałem, co to mogło oznaczać.

— Twierdzi pan, że ojciec Roba popełnił samobójstwo?

— Czy powiedziałem coś takiego?

— Ale jak inaczej...

— Mógł to być wypadek. Albo ktoś go wepchnął do wody. Żeby wymienić tylko najoczywistsze możliwości.

Wstał, nałożył ciemne okulary, w których wyglądał jak podstarzały gwiazdor rocka, i oddalił się powolnym krokiem.

Gdy wyszedł, opadłem na fotel bezwładnie jak worek łajna. Pomyślałem, że Robert musi czuć się podobnie. Oczywiście zaraz uświadomiłem sobie, że on prawdopodobnie czuje się znacznie gorzej, niż kiedykolwiek mógłbym to sobie wyobrazić. Nie przestawało mnie zastanawiać, dlaczego to wydarzenie tak go załamało. Czy podczas kąpieli ojca Roberta pojawił się Harry? Mój Boże! To Harry go zabił, błędnie oceniając jego intencje! Prawdopodobnie wepchnął go pod wodę. Rob uciekł, gdy zobaczył, co się stało.

Ale była to tylko spekulacja, najgorsza z możliwych. Może ojciec Roba po prostu chciał wstać, poślizgnął się i uderzył głową o wannę. Musiałem poznać prawdę. A jedyna droga do niej wiodła poprzez Harry'ego.

Odwołałem spotkanie z Giselle. Nie chciałem, by dowiedziała się czegoś, co mimowolnie mogłaby ujawnić przed protem, który z kolei mógłby szepnąć słówko Harry'emu. Przystudiowałem swój plan zajęć na najbliższe trzy dni. Był szczelnie wypełniony. Brakowało mi czasu nawet na spokojny łyk kawy. Nie pozostało mi nic innego, jak odłożyć wszystko do piątku.

SESJA CZTERDZIESTA TRZECIA

W środę pod wieczór w świetlicy odbył się kwiz „Va banque”. Zawodnikami byli „Albert Einstein”, „Linus Pauling” i prot, wybrani przez pozostałych pacjentów. Nie było elektronicznych sygnalizatorów ani migoczących tablic z punktacją. Zawodnicy po prostu podnosili rękę, a Goldfarb miała w razie czego decydować, kto pierwszy. Betty (której udało się przeżyć pierwszy etap leczenia kanałowego) zliczała punkty, a mnie powierzono dmuchanie w gwizdek w połowie przewidzianego czasu i gdy on się kończył. Publiczność stanowili pozostali pacjenci oraz personel.

Na początku wszystko szło bardzo dobrze, chociaż Alex często pocierał ręką o swe sfalowane włosy (nigdy nie widziałem, by czynił to prawdziwy Alex Trebek). Opracował własną tablicę kategorii tematów i wykazywał rzecz jasna dobrą znajomość haseł i odpowiedzi. Na koniec pierwszej rundy punktacja była prawie wyrównana, ku wielkiemu zadowoleniu zgromadzonych. Każdy z trzech zawodników udzielał prawidłowych odpowiedzi na każde pytanie.

Później sprawy zaczęły się gmatwać. Alex zaplątał się w sprawie jakiegoś ezoterycznego terminu i zapomniał, gdzie leży Patagonia (miał ściągę, ale w pośpiechu i zamieszaniu nie potrafił znaleźć tego, co akurat było potrzebne). Albert i Linus usiłowali mu pomóc, natomiast prot milczał, głupawo szczerząc zęby. W końcu Alex zupełnie się poddał i pomimo licznych zachęt ze wszystkich stron rzucił swoje notatki i oddalił się, mruczając pod nosem:

— Nie chcę być Alekssem Trebekiem. To dużo trudniejsze, niż przypuszczałem.

— Czy sądzisz, że jest gotów do przejścia na Oddział Pierwszy? — szepnęła Goldfarb.

Sprzeciwiłem się.

— Może lepiej z tym poczekajmy do czasu, aż się upewnimy, że nie ma zamiaru zostać Mary Hart.

Nowi pacjenci z „Dużego Instytutu” przybyli w czwartek. Został przygotowany specjalny program wprowadzający, by zaznajomić ich z nowym miejscem pobytu. Wszystkim dobrano po jednym z naszych szpitalnych rezydentów, którzy oprowadzali ich wszędzie i przedstawiali pozostałym mieszkańcom szpitala. Każda jednak z tych tur wycieczkowych zatrzymywała się w wielkim kręgu tworzącym się wokół prota i jak zwykle pojawiały się wielkie oczekiwania, co też mógłby on dla nich uczynić, mimo ograniczonych ram czasowych, skoro już tu się osiedlili.

Było ich siedmioro. Jeden z mężczyzn, z zespołem Clerambault,* był przekonany, że zakochała się w nim Meg Ryan.* Kolejnego cechowała nieprzeparata skłonność do kłamstwa (wiem, co prot mógłby mu doradzić: żeby podjął pracę w administracji państwowej). Trzeci uważał się za najszkaradniejszego człowieka na świecie, mówił o sobie, że jest „ropuchą”.

Kobiety z tej grupy były w niewiele lepszym stanie. Jedna z nich cierpiała na interesujący wariant zespołu Cotana (przekonanie, że nic nie istnieje naprawdę) — w jej przypadku istniało wszystko oprócz niej samej. Innymi słowy, uważała się za niewidzialną i w konsekwencji nie odczuwała potrzeby przyodziania się po wyjściu z kąpieli, zabierała jedzenie z cudzego talerza i tak

dalej. Następna (moja nowa pacjentka) żywiła przekonanie, że rozmawiają z nią osoby z ekranu tele-

Mary Hart — prezenterka amerykańskiej telewizji, od 1982 roku prowadzi program rozrywkowy Entertainment Tonight.

Zespół Clerambault — zespół urojeń o treści erotycznej, dotyczących określonej osoby, połączonych z megalomanią.

Meg Ryan — wybitna (i piękna) amerykańska aktorka i producentka filmowa.

wizora. I była też kobieta, której po prostu wciąż brakowało miłości (miłości, nie seksu). Pierwsze słowa, jakie skierowała do swojego nowego lekarza (został nim Beamish), brzmiały: „Nikt nigdy nie powiedział mi «J'aime»” I wreszcie po krótkiej przerwie znów mieliśmy „Jezusa Chrystusa”, a właściwie pierwszego Mesjasza płci żeńskiej, jaki nawiedził naszą instytucję na przestrzeni całej jej historii. Z zawodu była ona, rzecz jasna, cieślą.

„Siedmiu Wspaniałych”, nazwał ich Menninger. Ale ja upatrywałem w nich wyłącznie perspektywę ciężkiej i frustrującej pracy. Tak jak jeden z mych poprzednich podopiecznych, pewien listonosz, który oszalał, ponieważ jego praca wydawała się nie mieć końca („Bez względu na to, ile przesyłek dostarczę, wciąż nadchodzą nowe!”), widziałem przyszłość z niekończącą się liczbą pacjentów oczekujących przy wejściu, coś na kształt tłumu pod główną bramą.

Poprosiłem Jasmine'a Chakraborty'ego, by wyczekiwał w moim gabinecie, przylegającym do pokoju badań. (W jaki sposób uzyskał takie imię to długa historia, która częściowo tłumaczy, dlaczego opuścił Indie.) Chak również ostatnio przebąkiwał o emeryturze, choć ma dopiero czterdzieści osiem lat. Może więc w jego aluzjach, że już czas „dokonać nowej zmiany”, chodziło o coś innego. Miałem tylko nadzieję, że nie myśli o przeprowadzce na K-PAX.

Prot wparował do pokoju energicznym krokiem, pochwycił wielką garść rodzyneków i wpakował je sobie do ust.

Nie było czasu do stracenia.

— Dobrze. Na początek chciałbym porozmawiać z Harrym. Harry?

Prot wydawał się zaskoczony, ale przestał poruszać szczęką, natomiast rozpoczęło się szuranie nogami.

— Harry, to ja, doktor Brewer. Chciałbym z tobą zamienić parę słów.

J'aime — kocham (franc), wym. żem. Oryginalny kontekst wskazuje, że ta pacjentka pragnęła być nazywana imieniem „J'aime”.

Podobnie jak Robert, Harry także próbował się ukrywać. Ale jego widziałem wyraźnie.

— Harry, wyłaż. Jeśli nie wyjdiesz, to ja pójde po ciebie.

Spojrzał ze złością, zirytowany, że tak szybko go odnalazłem. Z pewnością nie lubił rodziników — wypluł je na dłoń i rzucił na stół obok miski.

— Harry, jestem diabelnie wściekły na ciebie. Przestał poruszać nogami i szeroko rozwarł oczy.

— Ja nic nie zrobiłem.

— Harry, co się stało z ojcem Roberta?

— Zmarł.

— Wiem. Ale w jaki sposób? Co mu się stało?

— Nie wiem. Uciekliśmy z łazienki.

— Dlaczego? Dlaczego uciekliście z łazienki?

— Rob się przestraszył.

— Czego? Czego Robin się przestraszył?

— Przestraszył się tatusia.

— Co jego tatuś chciał mu zrobić?

— Zamachnął się na niego ręką.

— Próbował go uderzyć?

— Tak.

— Dlaczego?

Wydawało się, że skurczył się w sobie.

— Nie wiem!

Miałem wrażenie, że ukrywa coś przede mną, by chronić Roberta — swe alter ego. Albo samego siebie.

— Dokąd pobiegliście?

— Do lasu. Biegliśmy tak szybko, jak tylko się dało. Próbowałem coś zrobić, żeby zwolnił. Biegł wprost na drzewo. Usiłowałem go zatrzymać, ale już było za późno.

— Co było potem?

Harry jakby spowaźniał i zaczął obgryzać paznokcieć.

— Ja nie... nie pamiętam.

— Co pamiętasz później?

— Leżeliśmy w łóżku i obok byli jacyś ludzie.

— Kto to był?

— Nie wiem. Jacyś obcy.

— OK, Harry. Chcę cię jeszcze o coś zapytać. Czy popchnąłeś ojca Robina, zanim uciekliście? Albo uderzyłeś go czymś? Coś w tym rodzaju?

— Nie!

— W porządku, Harry, jeszcze jedno pytanie. Czy widywałeś ostatnio Roberta?

— Już od dawna nie.

— Czy wiesz, gdzie on jest?

Pokręcił głową.

— Dobrze, Harry, dziękuję. Bardzo mi pomogłeś. Na koniec mam do ciebie wielką prośbę.

Był zaskoczony.

— Chcemy ci pobrać próbkę krwi. To nie będzie bolało. Prawie tego nie poczujesz. Pracuje ze mną doktor Chakraborty. On przyjdzie i to zrobi, zgoda?

Poruszył się niespokojnie.

— Po co?

— Potrzebujemy się upewnić, że jesteś zdrowy. Takie małe badanie kontrolne. Chyba byłeś już kiedyś u doktora?

— Nie.

— Nic się nie bój, to potrwa tylko chwilę.

Zawezwałem Chaka.

Harry wykrzywił usta, jakby miał się zaraz rozplakać.

— Nie chcę...

Drzwi się otwały.

— Hej, Harry, jak się masz? Jestem doktor Chakraborty. Jeśli chcesz, możesz do mnie mówić „doktor szybkonogi”. Chciałbym pobrać tylko małą kropelkę krwi z twojej ręki, jeśli się zgodzisz.

Harry zaczął wrzeszczeć. Pomyślałem: oto dzieciak, który być może zabił dorosłego mężczyznę, a boi się igły. Jak dziwna jest ludzka psychika!

Chak próbował go uspokoić, opowiadając o swoim pięcioletnim synku, który nienawidzi pobierania krwi.

— Jag chce zostać kosmonautą. A ty kim chciałbyś być?

Harry nie był zainteresowany tym tematem. Po prostu wypłakiwał oczy.

— OK, Gene. Skończyłem.

— Harry? Już po wszystkim. Dziękuję, że przyszedłeś. Możesz już iść.

Płacz ustał natychmiast. Harry zniknął.

Uprzedzając powrót prota, zawołałem:

— Paul? To ja, doktor Brewer. Czy mógłbym z tobą porozmawiać?

Paul ziewnął.

— Splataliście złośliwego figla staruszkowi Harry’emu. Nie uprzedził pan, że będziecie wysysać krew. — Zgarnął kupkę na poły przeżutych rodzyneków i wpackował sobie (ponownie) do ust. — Nigdy by się nie pokazał, gdyby wiedział, co go czeka.

— Paul, to jest doktor Chakraborty. Od ciebie też chciałby pobrać trochę krwi.

— Jasne, czemu nie? — wyciągnął rękę.

— Drugą, poproszę — powiedział Chak.

Podczas gdy Chak przygotowywał następną igłę i strzykawkę, spytałem Paula, czy coś mu wiadomo na temat śmierci ojca Roberta.

— Y—y — odparł. — Nie było mnie wtedy.

— Wiem. Ale myślałem, że później mogłeś się czegoś dowiedzieć. Od Roba albo od Harry’ego czy kogokolwiek...

— Nie.

— Skończone.

— Dzięki, Chak.

— Nie ma za co — odrzekł, spieszenie wychodząc z bezcennymi próbkami krwi.

— Czy dzisiaj widziałeś Roba gdzieś w pobliżu? — zapytałem Paula.

Zaczął nerwowo stukać nogą o podłogę.

— Nie.

— Czy wiesz, gdzie on jest? Jak można go odnaleźć?

— Nie mam pojęcia.

— No, a wcześniej co się z nim działo, gdy pojawiał się prot?

Wzruszył ramionami.

— Nigdy mnie to nie obchodziło. Gdy przychodził prot, moje szanse popieprzenia sobie spadały poniżej zera.

— Mam w związku z tym bardzo ważne pytanie do ciebie i pragnąłbym usłyszeć szczerą odpowiedź.

Wyglądał na boleśnie dotkniętego, ale darował sobie zapewnienia o swej prawdomówności.

— Paul, wiem, że pojawiaasz się zawsze wtedy, gdy Rob ma odbyć stosunek seksualny. Chcę wiedzieć, czy podszywałeś się pod Roberta także w innych sytuacjach. Zwłaszcza w tym pokoju.

Zaczerwienił się i ze sztubackim uśmiechem odparł:

— Od czasu do czasu.

— Na przykład kiedy?

— Gdy pan mówił o sprawach seksualnych. On nie chce o tym nawet myśleć, wie pan.

— A kiedy indziej?

— Raczej nie.

— I Robert na pewno był samym sobą we wszystkich innych sytuacjach z Giselle?

— Doktorze, reszta jego życia naprawdę mnie nie obchodzi.

— OK, Paul. Możesz odejść.

— Co... już?

— Potrzebowaliśmy tylko próbkę krwi. Dzięki. Bywaj zdrów.

— Ma pan tu diabelnie ponętne pielęgniarki, wie pan? Z wielką chęcią bym je wy...

— Do widzenia, Paul. Dzięki, że wpadłeś. Zawołam cię, jak będziesz potrzebny.

Popatrzył na mnie ponuro, ale w końcu powrócił tam, gdziekolwiek się podziewał, kiedy nie był przydatny.

Pojawił się prot, który od razu sięgnął do miski z rodzynkami.

— Jak się powiodło, doktorze B.?

— Kolejny strikeout.

Termin zaczerpnięty z baseballu, potocznie oznaczający kompletną klapę

— Ach, ta wielce przydatna sportowa terminologia. — Rodzynki wyfruwały mu z ust. — Wy chyba wszyscy myślicie, że życie jest jednym wielkim meczem piłkarskim.

— Czy to źle?

— Nawet wasi tak zwani naukowcy większość czasu tracą na różne rozgrywki, podczas gdy oczywiste odpowiedzi leżą na wyciągnięcie ręki.

Strzepnąłem ze spodni kawałek rodzyńka.

— Jakie odpowiedzi?

— No, na przykład czy WSZECHŚWIAT na powrót się zapadnie czy też będzie się nieustannie rozszerzał.

— Według mojego zięcia niektórzy astronomowie sądzą, że ekspansja będzie trwała bez końca.

— No i co z tego? To jeszcze nie zostało udowodnione. Dlaczego wy, ludzie, tak lubicie wyciągać wnioski, zanim zbierzecie wszystkie dane?

— Myślę, że każdy zdaje sobie sprawę, że są to przypuszczenia — odparłem bez większego przekonania. — Poza tym skoro pan zna już wszystkie odpowiedzi, dlaczego nie udzieli nam pan jakichś wskazówek?

— Niech będzie, dam wam pewną wskazówkę, ponieważ ona nie posłuży wam do zniszczenia kogokolwiek, chociaż tego pewnie byście pragnęli. „Brakująca masa” zawiera się w samych równaniach Einsteina. Po prostu nie dodaliście jeszcze dwa do dwóch.

— Dzięki, przekażę to dalej.

Przechylił miskę i wyjął ostatniego rodzyńka.

— No, skoro to już wszystko...

— Jest jeszcze jedna sprawa. Miał pan okazję porozmawiać z którymś z nowych pacjentów?

— Oczywiście.

— I co pan sądzi?

— O czym?

— Do licha, prot, o tych pacjentach oczywiście!

— Przykro mi, doktorze. Postanowiłem wycofać się z praktyki psychoanalitycznej. Teraz odpowiedzialność za pacjentów spoczywa na panu i pańskich kolegach.

— Wspaniale.

— Głowa do góry. Dacie sobie radę. Trzeba tylko, byście pozbyli się wielu fałszywych założeń, którym wydajecie się hołdować. — Wstał i przeciągnął się. — No, mam jeszcze coś do zrobienia. Au revoir.

— Ale czas jeszcze nie...

Gdy drzwi się zatrzasnęły, pomyślałem: no pięknie, kolejna sesja zmarnowana. Nawet nie docisnąłem go w sprawie śmierci ojca Roberta (czy też jego własnego). Potem jednak doszedłem do wniosku, że nie była to zupełna klapa. Zyskałem pewność, że Rob, w każdym razie pod postacią Harry'ego, nie zabił swego ojca. Wszelako jeżeli utonięcie nastąpiło wskutek wypadku, jak do niego doszło? Istniało też ryzyko, że błędnie interpretuję znane mi fakty. Może prot nie miał racji i śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych? Tak czy owak, dlaczego Rob czuł się tak straszliwie winny? Co to było za diabelstwo, które tak bardzo pragnął zrzucić z serca, lecz nie potrafił tego uczynić?

Przyszedł czas wyciągnąć kartę atutową. Skonfrontować Roberta z „ojcem”, usłyszeć od niego prawdę, zanim będzie za późno.

Wieczorem zadzwoniłem do Steve'a i przekazałem mu wskazówkę prota dla astronomów świata. Ku mojemu zdziwieniu wydawał się nią bardzo podekscytowany.

— Równania Einsteina? To znaczy ogólna teoria

względności? — Nastąpiła długa pauza, przez pewien czas myślałem, że się rozłączył. — Problem w tym — mówił dalej

— jak to może nam pomóc w znalezieniu brakującej masy?

— Następna pauza. — Chyba że on chce powiedzieć, iż ma to coś wspólnego z przyspieszeniem i grawitacją... — Słyszałem, jak dyszy. — O mój Boże! — wrzasnął. — To jest to!

— Steve? Steve?

Po paru sekundach zadzwoniłem jeszcze raz, ale linia była zajęta.

W sobotni wieczór, gdy wspólnie z Karen dekorowaliśmy choinkę (zostały niecałe dwa tygodnie do Bożego Narodzenia, a jeszcze nie kupiłem żadnych

Do widzenia (franc).

prezentów), jakiś mężczyzna w średnim wieku pojawił się przed wejściem. Nieogolony, oczy przekrwione, ale odzież czysta, choć przetarta i połatana. Myślałem, że szuka pracy lub jałmużny, choć nie wydawał się pijakiem ani schizofrenikiem, jak wielu bezdomnych.

— Ma pan ognia? — zapiszczał wysokim, schrypniętym głosem. Bałem się go wpuścić za próg. Jednakże twarz miał ściągniętą i wydawało się, że coś go boli. Oddychał głośno, chrapliwie. Powiedziałem mu, żeby zaczekał, a ja pójdę poszukać.

Gdy skierowałem się w stronę salonu, za plecami usłyszałem:

— Nie zaprosisz mnie do środka? — Teraz głos był

o oktawę niższy i o wiele mocniejszy. — Pamiętasz wiersz Roberta Frosta, który nam czytałeś, gdy byliśmy dziećmi? Dom jest tam, gdzie...

— Fred!

Uśmiechnął się szeroko.

— A więc dałeś się nabrać?

— No pewnie! Dokładnie tak wyobrażałem sobie ojca Roberta!

— Miejmy nadzieję, że takim pamięta go Robert! — Zdjął płaszcz i skierował się do salonu. — Jeśli nic się nie zmieniło, ubieracie dzisiaj choinkę.

SESJA CZTERDZIESTA CZWARTA

Piętnastego grudnia nie było zebrania personelu; to był dzień wycieczki do Metropolitan Museum. W każdej porze roku organizujemy jedną taką „wycieczkę od codzienności” dla wszystkich tych pacjentów, którzy mogą i chcą w niej uczestniczyć. Korzystając z okazji, zdecydowałem się pozostać na miejscu, by rozmówić się z przedsiębiorcą budowlanym i załatwić parę innych pilnych spraw.

Dzień był słoneczny i na trawniku przed budynkiem zebrali się prawie wszyscy pacjenci z Pierwszego i Drugiego Oddziału (a także paru z Trzeciego), niektórzy w towarzystwie kotów. Oczywiście prot skorzystał z okazji, by przemówić do tłumu zgromadzonego przed bramą, po raz kolejny wyrażając żal, że nie może już nikogo więcej zabrać na K-PAX, przypominając, że niewiele czasu pozostało, by zmienić różne rzeczy tutaj (na Ziemi), i tak dalej. Mimo to nikt z przybyłych nie zdradzał chęci do odejścia, dopóki prot pozostawał na miejscu.

Gdy oczekiwanie na autokar przedłużało się, prot, niczym dwunogi pies pasterski, pozganiał wszystkich w ciasną gromadę na środku frontowego trawnika. Nie mówiąc ani słowa wy dobył z kieszeni małą latarkę, umieścił ją na ramieniu, skierował światło na lusterko, które także skądś wyciągnął, i nagle (według relacji personelu, jak też naocznych świadków sprzed bramy szpitala) wszyscy zniknęli.

— To było niewiarygodne — opowiadała później Betty (kiedy już wrócili autokarem). — W pewnej chwili staliśmy jeszcze na trawniku, a w chwilę później byliśmy już na schodach Metropolitan Museum. Ale nie miało się wrażenia ruchu ani upływu czasu. Naprawdę nikt nic nie odczuł.

Muszę tu powiedzieć, że Betty McAllister jest nieskazitelnie prawdomówna. Ponadto Beamish i Chang jednym tchem potwierdzili wszystko to, co mówiła. Mimo to, i nie będąc sam świadkiem całego wydarzenia, pozostawałem sceptyczny, łagodnie mówiąc.

— Jesteś pewna, że nie uległaś hipnotycznemu trikowi? — spytałem.

— Też o tym myślałam. Ale jak wytłumaczyć relacje stojących poza ogrodzeniem, którzy widzieli, jak zniknęliśmy?

— Może oni też ulegli zbiorowej hipnozie.

— A kamery ochrony? Czy widział pan, co zarejestrowały?

— Widziałem.

— No i co? Czy nie może pan w końcu przyznać, że on jest tym, za kogo się podaje?

— Może tak, może nie — powiedziałem, zupełnie zbity z tropu. — To wszystko może się sprowadzać do jakiejś wyrafinowanej sztuczki.

Znałem Betty od dwudziestu pięciu lat i zawsze rozumieliśmy się nadzwyczaj dobrze. Ale to co teraz powiedziała, zabolało mnie do żywego.

— Gene — zawołała — jesteś ślepy jak nietoperz.

— Może i masz rację. Ale nadal jestem odpowiedzialny za mojego pacjenta, Roberta Portera. Co mam z n i m począć, według ciebie?

Niestety nie znalazła na to prostej odpowiedzi, podobnie jak prot i wszyscy inni.

Fred wraz z Giselle czekali w gabinecie, podczas gdy ja wszedłem do pokoju badań. Chociaż do końca roku pozostały jeszcze tylko dwa tygodnie, czułem się tak cholernie zmęczony kontaktami z protem, że nie byłem pewien, czy wytrzymam nawet przez ten krótki czas. I faktycznie, gdy przyszedł tym razem, złapał mnie na drzemce. Przebudziłem się gwałtownie i gapiłem się tępo na niego, zastanawiając się kto zacz.

— Czy wczoraj naprawdę przetransportował pan czterdzieści osób do muzeum? — spytałem, gdy oprzytomniałem na tyle, że wiedziałem, gdzie jestem.

Odgryzł spory kawał ananasa i kiwnął głową potwierdzająco.

— To dlaczego wróciliście autokarem?

— Pomyślałem sobie, że to może ostatnia okazja, by rzucić okiem na miasto.

— Rozumiem. I jakie wrażenia?

— Pomyślałem sobie, że pewnego dnia cała ZIEMIA będzie tak wyglądać, jeśli się nie opamiętacie.

— Czy jest aż tak źle?

— Jest bardzo źle. Gdyby pan był na przykład żyrafą...

Dosyć już zmarnowaliśmy czasu.

— Wystarczy, rozumiem. Bierzmy się do roboty. — Kiwnął głową i zachichotał.

— Giselle dostarczyła nam świadectwo zgonu. Miał pan rację, w sprawie śmierci Geralda Portera jest coś niejasnego. Czy zechciałby pan to wyjaśnić?

— Wolałbym nie.

— Do licha, niechże mi pan powie wszystko, co panu wiadomo, nawet jeśli nie ma pan na to ochoty!

— On upadł i uderzył głową o wannę.

— Przypadkowo czy został popchnięty? Prot wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć?

— Nic mi pan nie pomoże?

— Pomagam panu. Tylko jeszcze pan sobie tego nie uświadamia.

— Dobrze, w porządku. Chciałbym teraz porozmawiać z Robertem.

— Bez żadnych hipnotycznych sztuczek?

— Sądzę, że nie będziemy ich już potrzebować. Przełknął ostatni kawałek ananasa, wyszeptał:

— Oddaję go w pańskie ręce — i głowa mu opadła.

— Rob?

Oczywiście żadnej reakcji.

— Rob, mam dziś dla ciebie niespodziankę. Czy chciałbyś znów zobaczyć swego ojca?

Szarpnął gwałtownie głową, jakby ktoś w nią uderzył młotem. Ale nie odezwał się.

— On czeka na zewnątrz, Rob.

Usłyszałem odgłos przełknięcia, jakby dławiał szloch.

— Czy mam poprosić, żeby wszedł?

Wydał parę gardłowych dźwięków.

— Więc jeśli nie chcesz go widzieć, powiem, żeby sobie poszedł. — Wstałem i skierowałem się ku drzwiom. Wyraźnie dosłyszałem stłumiony jęk. — Może znów nas odwiedzi za tydzień lub dwa — dodałem, sięgając ku kłamce.

— Niiieeeee! — wymamrotał. — Błagam! Chcę zobaczyć tatusia!

Dałem znak Fredowi, żeby wszedł. Podszedł od razu do mego pacjenta i położył mu rękę na ramieniu.

— Hej, Robbie — powiedział ochryłym głosem — tęskniłem za tobą.

Rob opadł na kolana szlochając, tak jak niedawno Linus. Obiema rękami objął nogi Freda i powtarzał bez końca:

— Przepraszam, tatusiu. Tak bardzo cię przepraszam. O Boże, przepraszam...

Zaczął coś mamrotać sam do siebie. Nastąpiło dokładnie to, czego oczekiwałem. Natomiast nie spodziewałem się tego, co stało się wkrótce potem. Robert się zatchnął, upadł i stracił przytomność.

Gdy podbiegłem, żeby go zbadać, zaskoczony obrotem spraw Fred począł się obwiniać za to, co się wydarzyło.

— Przepraszam, tato. Nie chciałem...

— To nie twoje wina, Freddy. Byłeś świetny.

A Rob powrócił do znajomego już stanu katatonii. W końcu zrzucił z serca ciężar, którego tak bardzo pragnął się pozbyć. Teraz pozostało tylko wydobyć go z katatonii. Niestety, to mogło zająć całe lata.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że w dokładnie takim stanie Rob pozostał przed siedmioma laty. Czy prot tym razem także zniknął?

— Prot? Prot?

Usiadł.

— Jak ja się znalazłem na podłodze, szefie? Siemasz, Fred.

— Pozostawił pan nas na chwilę.

— Ale przecież nie odszedłem zbyt daleko?

— Powiedziałbym, że krok, jaki pan uczynił, był olbrzymi.

— Ale oczywiście panu jeszcze tego mało; pan potrzebuje dwóch olbrzymich kroków.

— Wystarczyłoby mi w zupełności, gdyby pan odroczył powrót na K-PAX o kolejne pięć lat.

— Niestety.

— W takim razie to wszystko na dzisiaj. Aha, prot!

— Narr?

— Proszę już więcej nie zabierać z terenu szpitala ani personelu, ani pacjentów, okej?

Podniósł trzy palce w górę, jak do przysięgi skautowskiej, i rzekł uroczyście:

— Niniejszym obiecuję nie zabierać z terenu szpitala nikogo z pacjentów ani z personelu. To znaczy, aż do trzydziestego pierwszego grudnia. — Zasalutował i wyszedł.

Gdy go już nie było, Fred wyznał:

— Zwykle uważałem, że spędzasz cały dzień na gadaniu, tato. Nie miałem pojęcia, co ty właściwie robisz. Teraz widzę, że to jest ciężka praca i wielka odpowiedzialność.

I wydaje mi się, że chyba jesteś w tym bardzo dobry.

Potrafiłem tylko odpowiedzieć:

— Twoja praca też jest znacznie trudniejsza, niż sądziłem, synu.

Uściskał mnie.

— Zawsze pragnąłem coś takiego od ciebie usłyszeć.

Żaden z nas nie chciał odejść. Od drugiego, od takiej

chwili jak ta, od blasku życia.

narr - oznacza „Gene” w języku pax-o.

Weszliśmy w końcu do mego gabinetu, gdzie oczekiwała Giselle. Fred spytał ją, czy mógłby porozmawiać z protem dziś przed południem (wcześniej powiedziałem mu, że ona spełnia rolę menedżera prota). Odparła, że to chyba da się załatwić. Zastanawiałem się, co takiego go niepokoi, o czym pragnęłyby porozmawiać z naszym „kosmicznym” przyjacielem. Nie chciałem jednak w obecności Giselle wyciągać jego osobistych lub rodzinnych spraw. Dla mnie mogła być kimś w rodzaju córki, ale Freda widziała tylko raz, może dwa razy.

Ponieważ jednak pomoc Freda w dotarciu do Roba była tak znacząca, wydawało się w pełni uzasadnione w jego obecności opowiedzieć jej o dokonanym dzisiaj przez nas postępie.

— Widział pan Roba? — zawołała. — Rozmawiał pan z nim?

— Oczywiście, że widziałem! — wykrzyknąłem w odpowiedzi. — Czy pani nie rozumie, że wszędzie tam, gdzie jest prot, jest także Robert?

— Niekoniecznie — wtrącił Fred. Pomyślałem, że jednak lepiej by go było wyprosić.

— Dlaczego tak sądzisz?

— No, przed chwilą był tam jego ojciec, ale też i nie był.

— Zespół wielorakiej osobowości jest czymś innym niż teatr, Fred.

— Być może. Ale skąd wiesz, czy to nie prot odgrywał Roba? A może to Rob przez cały czas odgrywa prota. Albo ktoś zupełnie inny udaje, że jest jednym i drugim. I wobec tego skąd wiadomo, że zespół wielorakiej osobowości nie jest po prostu czymś w rodzaju teatru?

Mój syn — znawca psychiki! Nie miałem czasu, by robić mu wykład o podstawach

psychiatrii, ale nadmieniałem, że rozmaite osobowości, powstające z tej jednej pierwotnej, przejawiają pewne różnice właściwości cielesnych.

— A czy ktoś przeprowadzał takie badania z aktora

mi odgrywającymi rozmaite role? — postawił następne

pytanie.

Niestety nie udało nam się kontynuować tego tematu. Fred spieszył się na przesłuchania i Giselle zabrała go na Oddział Drugi na konsultację z protem. Nie zdążyłem nawet powiedzieć, że jej mąż ponownie wszedł w stan katatonii.

Po ich wyjściu siedziałem bez ruchu, próbując uchwycić sens tego, co się wydarzyło. Jednakże wątpliwości postawione przez Freda nie schodziły mi z myśli. Przecież rzeczywiście się okazało, że Paul wcielał się w osobę Roba w roku 1995 przynajmniej kilkakrotnie. Czy to on pojawił się dzisiaj, udając, że jest Robertem, by za niego przeproszać jego ojca? Czy jest możliwe, by odgrywał także rolę Harry'ego? Lub prota? A może za bardzo wziąłem sobie do serca słowa Freda? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że to co wydarzyło się w pokoju badań, było dokładnie tym, czym wydawało się być — poczucie żalu i winy leżące u podłoża choroby Roberta zrodziło się z czegoś, co uczynił? Pomógł ojcu popełnić samobójstwo lub wręcz dopuścił się zabójstwa z litości, pragnąc skrócić jego cierpienie, w czym ani Harry, ani Paul nie brali udziału?

A może raczej nadszedł czas, by przyznać, że ten przypadek mnie przerasta. Przyznać, że być może nigdy się nie dowiem, co kryje się za problemami Roberta Portera. Przekazać go komuś innemu. Ale jedyną osobą, do której mogłem się zwrócić w tym pogmatwanym przypadku, był sam prot, niezależnie od tego, kim on naprawdę jest.

SESJA CZTERDZIESTA PIĄTA

Rzecz jasna po rzekomym przelocie do Metropolitan Museum liczni pracownicy, jak i praktycznie biorąc wszyscy pacjenci byli przeświadczeni, że prot jest tym, za kogo się podaje. W niedługi czas później zadzwonił do mnie ów okulista i badacz naukowy, który jeszcze w 1995 roku pragnął poddać ocenie zdolności wizualne prota (dowiedziawszy się, że potrafi on dostrzegać promieniowanie ultrafioletowe, tak jak pewne owady i niektóre inne ziemskie stworzenia).

— Musi pan porozmawiać o tym z Giselle Griffin.

— Już rozmawiałem. Powiedziała mi, żebym zadzwonił do pana.

— Wszystko co mogę, to zapytać go o zgodę.

Ponieważ trudno byłoby przewieźć cały niezbędny sprzęt

do IPM, w towarzystwie ochroniarza wysłałem prota, bardzo chętnego do udziału w tym przedsięwzięciu (może już zamknął listę towarzyszy podróży), do gabinetu i pracowni doktora

Sternika w Uniwersytecie Nowojorskim. Wyjechali w środę rano i wrócili dopiero późnym popołudniem.

Sternik zadzwonił do mnie o szóstej wieczorem, właśnie wtedy gdy zbierałem się do wyjścia. Gdy wcześniej z nim rozmawiałem, w jego głosie brzmiało opanowanie i pewność siebie. Teraz przemawiał niezdecydowanie, drżącym głosem, wyraźnie poruszony. Potwierdził, że prot potrafi widzieć światło poniżej dolnej granicy widzialnego spektrum aż do około 400 angstrémów, i dodał:

— Zbadałem jego oczy dokładnie i pod każdym względem są one całkowicie w normie. Prawdę mówiąc, ma niezwykle zdrowe oczy. Z wyjątkiem siatkówek. Oprócz normalnych pręcików i czopków są tam jeszcze jakieś małe sześciokątne kryształki rozrzucone wokół plamki żółtej. Nie mam pojęcia, czy mają jakiś związek z jego widzeniem ultrafioletu. Ale nigdy czegoś takiego nie widziałem...

Pozwoliłem mu się wygadać. I tak niewiele mogłem na ten temat powiedzieć.

— Zastanawiam się — rzekł w końcu — czy prot nie zechciałby nam podarować jednego ze swych oczu.

— Nie rozu...

— Po śmierci, oczywiście. Myślę, że z jego siatkówek moglibyśmy dowiedzieć się pewnych bardzo interesujących rzeczy.

Obiecałem, że porozmawiam o tym z protem.

— Ale on opuszcza nas trzydziestego pierwszego.

— Opuszcza? Dokąd się udaje?

— Mówi, że wraca na planetę, z której przybył. Bez chwili wahania wykrzyknął:

— Dam mu sto tysięcy dolarów za jedno oko! Obiecałem przekazać tę propozycję, ale ostrzegłem, by nie robił sobie wielkich nadziei.

Następny dzień miałem wypełniony po brzegi pacjentami, zebraniami i ostatnim w tym semestrze wykładem, w który musiałem wtłoczyć cały materiał nie przerobiony wcześniej. Do tego wszystkiego miałem za sobą kolejną nieprzespaną noc, pełną myśli o ostatnich wydarzeniach, krążących w mej głowie z szybkością tachionów.* Ale wszystkie one wirowały wciąż wokół centralnego pytania: kim jest prot? Przypuśćmy, że jest kosmitą z drugiego krańca Galaktyki, Świętym Mikołajem, dobrą wróżką albo samym Panem Bogiem. Jak miałoby to pomóc mojemu pacjentowi, Robertowi Porterowi? Rozważałem też drugą możliwość — że jest po prostu alter ego Roberta, czyli ludzką istotą z Guelph w stanie Montana.

Cząsteczki poruszające się szybciej od światła.

Kimkolwiek by jednak był prot, Robert pozostawał w katatonii. Kiedy wreszcie wstałem z łóżka,

zakręciło mi się w obolałej — bardziej niż zwykle — głowie i zaniepokoiłem się, że złapałem jakiegoś wirusa. To nie może być grypa, mówiłem sobie, przecież zaszczepiłem się w październiku wraz z całym personelem.

Przedpołudnie jakoś przetrwałem (choć zdarzyło mi się zasnąć podczas sesji z jednym spośród moich pacjentów, po raz pierwszy w życiu). Kusiło mnie, by odwołać wykład, ale nie wypadało. To był ostatni, a materiału pozostało jeszcze na więcej niż trzy wykłady.

Studenci słyszeli już o podróży z szybkością błyskawicy do muzeum i znali wyniki badań okulistycznych prota. Z załzawionymi oczami rzuciłem swój notatnik na biurko, zadałem im ogromną ilość tekstu do przeczytania, zapewniłem, że również to, czego nie wyłożyłem na zajęciach, będzie wymagane na egzaminie końcowym, i opowiedziałem dokładnie, na jakim jesteśmy etapie w przypadku Roberta Portera. Do diabła, usprawiedliwiałem się sam przed sobą, może właśnie oni potrafią poradzić sobie z tym, co mnie się nie udało.

W dyskusji przewodził oczywiście „Oliver Sacks”, który oznajmił:

— To tak oczywiste, jak nos na twarzy. Ojciec poprosił syna, żeby ten pomógł mu popełnić samobójstwo. Prawdopodobnie często o tym rozmawiali nocą w ogrodzie pod pozorem oglądania gwiazd, a w końcu, gdy stan zdrowia ojca pogarszał się z dnia na dzień, chłopak dał się przekonać. Wyobraźmy sobie teraz jego problem: miał zaledwie sześć lat, a jego ukochany ojciec cierpiał straszne bóle. Czy pan sam nie chciałby pomóc mu przerwać niekończące się cierpienia? Zarazem wiedział, że zabicie ojca jest złym czynem. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Pewnej nocy ojciec powiedział, że dłużej już nie wytrzyma. Błagał Roba, żeby mu pomógł. Może chłopiec wepchnął go pod wodę w wannie albo tylko przytrzymał, żeby nie mógł się wynurzyć, coś w tym rodzaju. Rzecz jasna kiedy już było po wszystkim i Robert uświadomił sobie, co zrobił, wybiegł z łazienki i biegł dalej i dalej, chcąc uciec od tego wszystkiego. Ale nie mógł uciec od samego siebie, nieważne, jak długo i szybko by biegł. Nawet milion lat. Nawet z prędkością światła. Takie przeżycie mogłoby każdego wpędzić w obłąd!

— A co prot ma z tym wszystkim wspólnego?

— Robert wołał o pomoc. Prot go usłyszał.

— Twierdzi pan, że prot przybył z K-PAX, żeby pomóc komuś, kogo nawet nie znał?

— Przecież jest tutaj, czyż nie?

Skończyłem zajęcia wcześniej i pojechałem do domu.

Nazajutrz miałem niewysoką gorączkę i łamało mnie w kościach. Zawsze byłem zdania, że chorzy ludzie powinni siedzieć w domu, a nie szwendać się i zarażać innych. Ale nie miałem wyboru — musiałem odbyć spotkanie z protem. Czując się jak roznosiciel zarazy, zmusiłem się, by wstać z łóżka i pojechać do szpitala.

Dowlokłem się na naszą sesję z parominutowym opóźnieniem. On był już na swoim zwykłym

miejscu, zajadając się mandarynkami.

— Prot, chciałbym z panem porozmawiać.

— Proszę mówić.

— Ale najpierw z Robertem. Rozejrzał się głupawym wzrokiem.

— Gdzie on jest?

— Niech pana o to głowa nie boli. Po prostu proszę się wygodnie oprzeć i odprężyć.

Wzdychał i przewracał oczami wrażliwymi na ultrafiolet, ale w końcu głowa mu obwisła.

— Rob?

Brak reakcji.

— Rob, chcę cię przeprosić za to, co kiedyś powiedziałem. Oskarżałem twego ojca, że zaatakował cię w łazience. Teraz myślę, że było inaczej. To mimo wszystko mógłby być zwykły wypadek—poślizgnięcie się i uderzenie głową o wannę. Wszak że gdyby tak właśnie było, nie czułbyś się tak bardzo winny.

Odczekałem chwilę, żeby to do niego dotarło. Jeżeli nawet zgadzał się ze mną, nie potwierdził tego.

— Rob, czy ojciec prosił, żebyś pomógł mu popełnić samobójstwo? Myślę, że tak i że w końcu się zgodziłeś. Ale przytłoczyło cię poczucie winy. Czy nie dlatego uciekłeś z łazienki, gdy było już po wszystkim?

Nic nawet nie wskazywało na to, że mnie słyszy.

— Dobrze. Dziękuję, Rob. Możesz odejść. Prot?

Podniósł głowę.

— Odsłaniam białą plamkę na ścianie. Proszę postępować jak zwykle i wejść w hipnozę, gdy pan będzie gotów.

Chwilę później był już w transie.

— Świetnie. Teraz znowu chcę rozmawiać z Robertem. Rob? Pokaż się, wiem, że tu jesteś.

Nic się nie działo, powtórzyłem więc całą przemowę sprzed paru minut niemal słowo w słowo, na koniec sugerując, że ojciec namówił go do pomocy w samobójstwie.

— Nie miałeś wyboru, Rob. Ja w takiej sytuacji prawdopodobnie zrobiłbym to samo.

Podobnie jak każdy inny człowiek.

Znów nie było najsłabszego nawet potwierdzenia. W tym momencie pomyślałem, że nic nie stracę, rozgrywając ostatnią kartę z talii.

— Ale on nie tylko prosił cię, żebyś mu pomógł umrzeć, prawda, Rob? Tak naprawdę zmusił cię do tego. Groził, że powie twojej mamie o wuju Davie, tak? A gdyby to zrobił, wujek Dave by cię zabił, dobrze mówię?

Jedyną odpowiedzią było coś w rodzaju głębokiego westchnienia, a może bardziej chrapnięcia.

— To nie było miłe ze strony twego ojca, prawda, Rob? Pomyślałeś nawet, że nie jest wcale lepszy od wuja. Uświadomiłeś sobie, że nie możesz już na niego liczyć, że ojciec nie jest żadnym bogiem, jak myślałeś wcześniej. W rzeczywistości było dokładnie na odwrót. Twój ojciec był draniem, prawda, Rob?

Wydał następny odgłos, ale nie przerywałem.

— Nienawidziłeś go. Nienawidziłeś z całego swego

chłopięcego serca, z tym całym żalem i odrazą, jakie czułeś do wuja Dave'a. Kiedy twój żal i beznadzieja wezbrały, pochwyliłeś kij baseballowy czy coś podobnego i przyłożyłeś mu, jak był w wannie i nie mógł uciec, prawda? Zabiłeś go, czyż nie? Uderzyłeś go kijem w głowę i patrzyłeś, jak pogrąża się w wodzie. Czy nie tak właśnie było, Rob? Nie tak? NIE TAK?

Uniósł głowę, jego oczy pobłyskiwały jak oczy nocnego zwierzęcia.

— Ty pierdolony gnojku! — warknął. — Ty plugawy, paskudny draniu! Ty podły sukinsynu! Jesteś najgłupszym wszarzem, najbardziej zasranym łajnem we wszechświecie! Kochałem mojego ojca. Czy ty tego nie rozumiesz? Był najcudowniejszym człowiekiem na świecie. I właśnie dlatego...

— Co, Rob? Co zrobiłeś ojcu?

Wybuchnął płaczem. Wreszcie, wreszcie, nareszcie, myślałem. Na to cały czas czekałem.

— Dobrze już, Rob, rozumiem. Spokojnie ...

— Właśnie dlatego chciałem zrobić tatusiowi to, co wujek Dave kazał mi robić ze sobą. — Rozpłakał się jeszcze bardziej. — O Boże, nie wytrzymam tego!

Z całą siłą pochwyliłem go za ramiona i potrząsałem nim.

— Rob, zostań jeszcze chwilę. Mówisz, że próbowałeś...

Ciągle szlochając, wyjąkał:

— I wtedy się na mnie zamachnął. A potem próbował wstać. Ale poślizgnął się i upadł, i uderzył głową o dno wanny. Był nieżywy, wiedziałem o tym. Uciekłem. Och, tatusiu, przepraszam. Proszę cię, proszę, wybacz mi. Ja tylko chciałem, żebyś poczuł się lepiej... — to były ostatnie słowa, jakie wypowiedział, zanim jego głos przeszedł w długie, cichnące zawodzenie.

Czekałem kilka minut, daremnie spodziewając się, że się pozbiera, ale nie było już żadnego poruszenia ani odgłosu. Zapadłem w fotel.

— Dziękuję, Rob — wyszeptałem — dziękuję, że mi zaufałeś, przyjacielu. Najgorsze minęło. Teraz możesz odpocząć. Wreszcie możesz odpocząć... Prot?

— Hej, doktorze. Co teraz?

— Proszę wyjść z hipnozy... Dziękuję.

— Za co?

— Za wielką pomoc.

— Ależ proszę bardzo, doktorze. — Wydawał się zakłopotany. — To właśnie chciał mi pan powiedzieć po rozmowie z Robertem?

— Niezupełnie. Chciałem zapytać, co pan wie o leczeniu katatonii. Ale teraz myślę, że to niepotrzebne. Myślę, że poradzi sobie sam.

— Tak panu powiedział?

— Nie dosłownie.

— W takim razie przedłużę mu rezerwację na jakiś czas, może się namyśli. Wie pan, jak to bywa z istotami ludzkimi.

Odwrócił się na pięcie i dziarskim krokiem wymaszerował.

Gdy wyszedł, siedziałem zapatrzony w stronę drzwi. Jakie to szczęście, że wybrałem medycynę, a potem psychiatrię. Jakże pragnąłem podziękować ojcu za to, że mnie do tego zmusił.

Stan euforii minął po paru sekundach.. Uświadomiłem sobie, że czeka mnie jeszcze bardzo długa droga, jeśli mam wyprowadzić Roberta z tego labiryntu. I może się to nie udać pomimo wszystkiego, co już osiągnęliśmy. Zasnąłem w fotelu kompletnie wyczerpany. Dopiero po jakiejś godzinie odnalazła mnie Betty. Przegapiłem zebranie komisji kwalifikacyjnej, na której oceniano gotowość dwóch następnych pacjentów do przejścia na Oddział Pierwszy.

Przespałem prawie cały weekend, a w poniedziałek nadal czułem się słabo. Jednakże udało mi się zdążyć do szpitala na zebranie personelu.

Tym razem rozgorzała dyskusja na temat Frankie. Stało się jasne, że w ostatnich dniach nagle

wyzdrowiała, pozbyła się całej swej urazy do ludzi i stała się niemal radosna. Wszyscy spoglądali na mnie; była przecież moją pacjentką, i to już od ponad dwóch lat. Ledwie zdołałem wzruszyć ramionami, mamrocząc coś na temat wirusa.

— To wygląda na sprawkę prota — zauważył Thorstein.

— Zastanawiam się tylko, jak on to zrobił.

Wszyscy znowu popatrzyli na mnie.

— Zapytam go — tyle tylko zdołałem wykrztusić. Ta odpowiedź stała się już zbyt oklepana, pomyślałem przy tym.

Najpierw wszakże natknąłem się na Frankie. Ćwiczyła callanetics w sali gimnastycznej. Nigdy dotąd nie widziałem, by uprawiała jakikolwiek rodzaj sportu.

— Jak się czujesz? — zapytałem bezmyślnie.

— Cudownie. Ładny ten pieprzony dzień, prawda?

Nie przerywała rytmicznych, niemal hipnotyzujących „pajacyków”, zwały tłuszczu poruszały się w trochę innym tempie niż reszta jej ciała. Jeden z kotów, które zwykle się z nią nie spoufalały, przyglądał się jej, jakby była podskakującą piłeczką.

— Tak, ładny. A więc... rozmawiałaś z protem?

— Raz, może dwa razy.

— Czy powiedział coś, co pozwoliło ci nabrać otuchy? Pocąc się i ciężko dysząc, przeszła do serii przysiadów.

— W pewnym sensie tak. Głośno puściła bąka.

Akurat przechodzili obok Alice i Albert.

— Rozpoznałbym twój smród wszędzie — prychnął Albert. (To stwierdzenie nie było takie głupie, ostatnie badania wykazały, że kał chorych psychicznie zawiera pewne substancje chemiczne związane z rodzajem ich choroby. Kupa jest nie tylko nieunikniona, ale także dostarcza informacji.)

— Mogłabyś mi zdradzić, co takiego ci powiedział, Frankie? Dał ci jakieś zadanie czy coś w tym stylu?

— Zgadza się — wysapała.

— Jakie? Zabrać się do gimnastyki?

— Dok-ła-ładnie. Kazał mi schudnąć przed tą cholerną długą podróżą.

Pomyślałem sobie: O, psiakrew!

— Czy powiedział, do jakiej podróży masz się przygotować?

Podniosła tylko wzrok ku niebu, z szerokim uśmiechem, bardzo w stylu prota.

— Czy chcesz, żebyśmy się zastanowili nad twoim przeniesieniem na Oddział Pierwszy?

— Nie, dziękuję — mruknęła. — To niewarte zachodu.

SESJA CZTERDZIESTA SZÓSTA

— Jak tam wirus? — zapytał mnie prot zaraz po wejściu. Już miałem mu odpowiedzieć, że czuję się lepiej, kiedy uświadomiłem sobie, że przecież jemu może leżeć na sercu dobre samopoczucie samych drobnoustrojów. W ciągu trzech minut spałaszował pół tuzina granatów, po czym usadowił się wygodnie w fotelu. Zapytałem, czy rzeczywiście zamierza zabrać Frankie na K-PAX.

— Nie jest tu zbyt szczęśliwa, chyba zgodzi się pan ze mną, gino?

— Kiedy wczoraj ją widziałem, wydawała się czuć nieźle.

— To dlatego, że wie, iż niedługo opuści to miejsce.

— Aby udać się na K-PAX?

— Tak jest. Gdzie nie spotka jej żadna z tych okropnych rzeczy, które przydarzyły się jej na ZIEMI.

— Ponieważ nas tam nie ma, niskich ludzkich istot.

— Pan to powiedział, nie ja.

— Ale Frankie jest istotą ludzką! Tak samo Bess!

— Nie, nie są! Właśnie dlatego zamknęliście je w tym waszym więzieniu!

— One nie należą do homo sapiens?

— Oczywiście, że należą. Ale bycie „ludzkim”, drogi panie, jest stanem umysłu. I do tego paskudnym.

— W porządku. Kto jeszcze znajduje się na pańskiej liście?

— Tylko dziewięćdziesiąt dziewięć innych istot, niestety.

— Dobrze, panie Spock. Teraz chcę porozmawiać z Robertem.

— Według rozkazu, kapitanie. Głowa mu trochę opadła, jak zwykle.

— Rob? Możemy porozmawiać? Nie przyjął propozycji.

Stąpałem znowu po niepewnym gruncie, ale pamiętałem jedną z maksym naszego nieżyjącego dyrektora, Klause Villersa: Nadzwyczajne przypadki wymagają nadzwyczajnych metod.

— Rob, co myślisz o wyjeździe na K-PAX z protem? Wszystko tam będzie inne. Będziesz mógł zapomnieć o przeszłości, zacząć życie od nowa. Czy taki pomysł przemawia do ciebie?

Nic na to nie wskazywało.

— Coś ci powiem. Kiwnij tylko głową, jeśli chcesz uciec od tego wszystkiego. Czy chcesz polecieć na K-PAX, Rob?

Baczenie mu się przyglądałem, oczekując na najdrobniejsze poruszenie. Trudno było nawet stwierdzić, czy oddycha.

— Rob, jest jeszcze coś, o czym może nie wiesz. Na K-PAX będziesz mógł widywać się z ojcem zawsze, kiedy tylko zechcesz. Wiesz o tym?

Wydawało mi się, że poruszył głową, choć mogło to być tylko moje pobożne życzenie.

— To prawda, Rob, mają tam cudowne urządzenie, komputer dostarczający wszelkich doznań zmysłowych. Będziesz mógł wędrować po polach twojego dzieciństwa, siłować się z Hulkiem,* spotkać się z ojcem wcześniej, niż miał miejsce ten wypadek w rzeźni, grać z nim w szachy albo oglądać gwiazdy, cokolwiek zechcesz. Co ty na to?

Czy dostrzegłem cień uśmiechu, czy tylko tak mi się wydawało?

— Będziesz mógł rozmawiać z ojcem, powiedzieć mu, jak bardzo jest ci przykro, i życie będzie toczyć się dalej tak, jakby nic złego się nie stało.

Spock — postać z serialu SF Star Trek, pełniąca funkcję oficera naukowego na pokładzie statku kosmicznego.

Hulk — postać z komiksu, charakteryzująca się potężnymi rozmiarami i wielką siłą.

Podobałoby ci się to? Zastanów się.

Czułem, że o mało mi serce nie wyskoczy, gdy zaczął powoli podnosić głowę. Powoli, powoli, powoli. W końcu szepnął:

— Czy Giselle i nasz synek polecą także? Chciałbym, żeby tatuś mógł ich zobaczyć.

Powstrzymałem szloch.

— To zależy od prota. Czy chcesz z nim o tym porozmawiać?

Kiwnął głową, zanim znów opadła mu na piersi.

— Czy Robert był tutaj? — zapytał prot, spoglądając na mnie.

— Rozmiał się pan z nim.

— Tak mi się właśnie wydawało.

— Naprawdę był tutaj. Ale tylko minutę, góra dwie. Niech go pan poszuka, dobrze? Nie mógł odejść daleko.

Oczy miałem bardzo zmęczone i przymknąłem je na moment. W następnej chwili spostrzegłem, że jestem już sam; obaj, prot i Robert, odeszli.

Oczywiście Giselle była bardzo podniecona tym, że Rob chce wybrać się na K-PAX. Zanim cokolwiek jej wytłumaczyłem, zawołała:

— Tyle mam jeszcze do zrobienia!

— Proszę poczekać! Odwróciła się.

— Tak?

— Co pani zrobi, jeśli Rob znowu się rozmyśli?

— Nie mam teraz czasu na spekulacje, doktorze B. Muszę odszukać prota. Do zobaczenia później!

Zastanawiałem się ze smutkiem, co się stanie, gdy prot „odleci”, pozostawiając tutaj całą trójkę. Czy będę musiał leczyć ich wszystkich? Pojechałem do domu, żeby się wykurować z resztek infekcji i porozmawiać z żoną o planach dotyczących emerytury.

Wreszcie w dzień Wigilii temperatura spadła i zrobiło się prawdziwie zimowo. Nie przeszkadzało to jednak tłumowi przed bramą, wśród którego nadal panował niczym nie zrażony optymizm. Pito gorące napoje, które można było nabyć u ulicznego sprzedawcy, i śpiewano kolędy. Ktoś postawił nawet drzewko, które udekorowano gwiazdkami wszystkich możliwych kształtów i rozmiarów. Wypatrzyłem też dwa ceremonialne żydowskie świeczniki z zapalonymi świecami. Może nie równało się to Rockefeller Center, ale i tak było piękne.

Wewnątrz szpitala niewiele się działo. Uczestniczyliśmy w świątecznych przyjęciach na wszystkich oddziałach, poczynając od Czwórki i schodząc kolejno na coraz niższe piętra. Nie czułem się jeszcze na tyle dobrze, żeby zostać Świętym Mikołajem, więc oddałem tę rolę protowi, który z wielką uciechą wołał potężnym głosem „Ho, ho, ho” przy lada okazji. Każdy pacjent otrzymywał swój prezent, a także odrobinę ponczu i kawałek tortu. Psychopaci mogli opuścić swoje cele pojedynczo lub najwyżej parami. Wszyscy zachowywali spokój i nikomu do głowy nie przychodziły

żadne złe myśli (może sprawił to duch święty). Nawet Charlotte w swoich pomarańczowych kajdankach wyglądała na pogodną i opanowaną. Oczywiście ona zawsze była miła, do czasu kiedy pozbawiała mężczyzn części ich anatomii.

Na Oddziale Trzecim atmosfera była swobodniejsza, gdyż personel w zasadzie nie czuł się narażony na niebezpieczne sytuacje. Tylko czasem można było oberwać ciastem prosto w twarz albo któryś ze zboczonych seksualnie skorzystał z okazji uszczypnięcia pielęgniarki.

Zastąpiłem Jerry'ego przy pracy nad repliką Statuy Wolności, wierną we wszystkich szczegółach łącznie z patyną zielonych tlenków metalu i srebrnym zwierciadłem w jej pochodni.

— Tort czy ciasteczka, Jerry? Twoje ulubione, czekoladowe!

— Czekoladowe, czekoladowe, czekoladowe — mamrotał, najwyraźniej bezmyślnie. Ale pochwycił ciasteczko, którym go częstowałem, i wepchnął błyskawicznie do ust, nie wypadając z rytmu pracy ani przez chwilę. Obserwowałem go przez pewien czas, zastanawiając się, w jaki sposób prot zdołał do niego dotrzeć przed dwoma laty i dlaczego nikt z nas tego nie potrafi. Może prot miał rację — gdybyśmy tylko nauczyli się czuć to, co oni czują... Ale byłem już za stary, by zaczynać od początku. Miałem tylko nadzieję, że mojemu synowi Willowi i „Oliverowi”, ich całemu pokoleniu, uda się lepiej niż mnie, że psychiatria będzie pokonywała kamienie milowe w równie cudowny sposób, jak się to dzieje nieomal każdego dnia w innych dziedzinach medycyny. I pomyślałem sobie: Co za wspaniały czas, żeby się narodzić!

Dla Oddziałów Pierwszego i Drugiego przyjęcie było wspólne. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział pacjentów tak szczęśliwych. Zwłaszcza „Siedmiu Wspaniałych”, którzy tchnęli optymizmem pomimo swoich rozmaitych problemów. Być może oczekiwali wizyt u doktora prota i przejścia na Oddział Pierwszy w niedalekiej przyszłości, śladem Alberta i Alice, którzy świetnie funkcjonowali, pod warunkiem że trzymali się razem. W związku z tym, nie mając właściwie wyboru, planowali się pobrać, jak tylko opuszczą szpital.

Alex przyszedł na przyjęcie z lekturą naukową. Został przeniesiony na Oddział Pierwszy wkrótce po tym, jak oznajmił, że pragnie zostać bibliotekarzem. Czy mógłby być zdrowszy wybór? Czytał książkę O komputerach dla ciężko myślących. Gdy go o nią zapytałem, wyjaśnił, że przecież wszystko jest teraz w komputerach.

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby książki i czasopisma zupełnie wyszły z użycia!

Wolałbym, żeby się co do tego mylił. Karen i ja planowaliśmy, że po przejściu na emeryturę będziemy pochłaniać wszystkie książki, na które wcześniej nigdy nie starczyło nam czasu.

Linus i Ophelia przeszli prawdziwą metamorfozę. Linus najbardziej ze wszystkich na przyjęciu promieniował radością. Gdzieś udało mu się zdobyć kowbojski kapelusz i ćwiczył nawet kręcenie lassem. Ophelia natomiast zachowywała się najgłośniej. Co więcej, próbowała wszystkim rozkazywać, zapewne usiłując nadrobić stracony czas. No cóż, pomyślałem sobie, nie wszyscy zdrowi ludzie są aniołami.

Prot stał w otoczeniu grupki pacjentów i jak zwykle około tuzina kotów. Byłem zaskoczony, gdy poprosił o chwilę rozmowy. Wszyscy inni udawali naburmuszonych, ale wiedzieli, że nie odejdzie daleko. W każdym razie nie przed trzydziestym pierwszym.

Kiedy już zadekowaliśmy się w jakimś kącie, powiedział:

— Robert przesyła panu swe przeprosiny.

— Za co?

— Nie będzie się już mógł z panem zobaczyć.

— Odnalazł go pan?

— Tak.

— Ale przecież zostały nam jeszcze dwie sesje!

— Nie ma panu nic więcej do powiedzenia przed odlotem.

Nic innego nie przyszło mi do głowy, jak tylko: Boże Wszechmogący, co ja narobiłem?

— A co z Giselle i małym Gene'em?

— Coś wymyślimy.

— Termin trzydziestego pierwszego grudnia pozostaje bez zmian?

— Zaraz po śniadaniu.

— Czy nie może pan...

— Nie ma mowy, Jose.

— W takim razie — westchnąłem — może zechce pan spędzić Boże Narodzenie ze mną i z Karen. Będą też Abby i Steve z chłopcami, i może Fred.

— Czemu nie, jeśli nie będzie żadnych nieżywych ptaków na stole. — (Opowiadałem mu o wegetariańskim indyku, którego na Święto Dziękczynienia sprokurowała Abby.)

— Chcą się z panem pożegnać.

— Czyżby gdzieś wyjeżdżali?

W dzień Bożego Narodzenia padało. Betty i jej mąż przywieźli prota, ale później nie mieli już do niego dostępu. Steve, który teraz zastępował Flynna na stanowisku szefa katedry astronomii (ponieważ ten poszukiwał odchodów pajęczych po całym świecie), zaanektował prota prawie na wyłączność. Nie miałem nic przeciwko temu. Przez moment zastanawiałem się, czyby nie przywołać

Roberta, ale zrezygnowałem z tego. Świąteczna kolacja, dekoracje i prezenty mogłyby przywrócić mi wspomnienia z dzieciństwa i nawet pogorszyć całą sprawę. To byłoby antyterapeutyczne. Brakowało Willa, który spędzał święta u rodziny Dawn w Cleveland. Jenny oczywiście pozostała w Kalifornii. Ale oboje zadzwonili do nas ze świątecznymi życzeniami i było prawie tak, jakby rodzina znajdowała się w komplecie.

Steve chciał wiedzieć wszystko, co tylko prot mógł rzec: na temat chwili tuż przed Wielkim Wybuchem, czy rzeczywiście istnieje uniwersalna teoria wszystkiego, kiedy wszechświat przestanie się rozszerzać a zacznie kurczyć, co wydarzy się w momencie Wielkiego Zapadnięcia i tak dalej. Ale najbardziej mu zależało, żeby prot dowiedział się pierwszy, że nowo zaprogramowany komputer potwierdził jego własną hipotezę, według której przybierająca na sile ekspansja wszechświata ulegnie spowolnieniu na skutek nie znanej jeszcze stałej kosmologicznej.

Prot ziewnął.

— Tak, wiem o tym.

— Jeszcze jedno: Hawking twierdzi, że chociaż nic nie może się wydostać z czarnych dziur, mogą one uwalniać promieniowanie. Prawda czy fałsz?

— Fałsz!

— Zatem nie uwalniają nawet promieniowania?

— Mogą uwalniać wszystko! Jak inaczej wytłumaczyć WIELKI WYBUCH, który zapoczątkowała NAJCZARNIEJSZA DZIURA wszech czasów?

— Jak mogę panu podziękować za te wszystkie informacje?

— Niech pan powie swoim ludzkim bliźnim, żeby trzymali się z dala od GWIAZD, dopóki nie zrozumieją, że wszystkie inne istoty we WSZECHŚWIECIE nie są przeznaczone dla ich korzyści.

Kiedy później zebraliśmy się przy stole, powiedział:

— Wy, ludzkie istoty, przedstawiacie się najkorzystniej w tej właśnie chwili roku, kiedy to zaczynacie zauważać, że obok was istnieją inni ludzie. Spróbujcie podzielić się tą szczodrością serca także z innymi istotami na waszej PLANECIE, choćby tylko w tym jednym dniu. — Skończył swoją porcję gliig (Karen ma skandynawskie korzenie) i poprosił o repetę.

W każdym razie Abby od dawna podzielała jego przekonania. Tym razem sporządziła „kaczkę” ze słodkich ziemniaków. A Karen przygotowała dla niego jak zwykle olbrzymią porcję sałatki owocowej. Prot spałaszował wszystko, po czym wygodnie oparty poklepał się po wystającym brzuszku i westchnął:

— Po powrocie do domu będę musiał przejść na dietę.

Pomyślałem sobie: Jakie to ludzkie!

Rozmowa zesłała na nasze plany na nadchodzący rok, poczynając od przyjęcia sylwestrowego, które Karen zamierzała zorganizować dla wszystkich naszych przyjaciół. Ktoś poruszył temat wielkiej uroczystości, jaka czeka nas na przełomie tysiącleci.

— Jakie to smutne — zauważył prot — że wszyscy oczekujecie nowego tysiąclecia, w którym sprawy ułożą się lepiej niż dotychczas. Ale przebudzicie się w następnym wieku i wszystko będzie dokładnie takie jak dotąd. Poza tym, oczywiście — dodał po krótkim namyśle — że to będzie wasz ostatni wiek.

Rain nie był przekonany.

— Prot, co powinniśmy zrobić, żeby przetrwać?

— Wszystko.

— Wszystko?

Pokiwał głową

— Wszystko jest ze sobą powiązane. Na przykład nie uda się wam ograniczyć liczby urodzeń, jeśli najpierw nie pozbędziecie się waszych przekonań religijnych. A tego nie możecie zrobić, ponieważ panuje powszechna ignorancja i brak wykształcenia. Tego z kolei nie zmienicie tak długo, jak długo najbogatsi wykorzystują swoje pieniądze do utrzymywania status quo. Jeśli istniejący stan rzeczy nie ulegnie zmianie, wasze środowisko wkrótce ulegnie zagładzie. A nie uchronicie środowiska przed zagładą, jeśli nie zmniejszycie liczby urodzeń. Mam mówić dalej?

— Rozpakujmy najpierw prezenty! — zawołał Star, co wszyscy przyjęli z ulgą.

Były zwyczajne — krawaty, pianka do golenia, gry komputerowe dla dzieci, piszcząca zabawka dla Oxie, suszone owoce dla prota. Ale były też pod choinką prezenty od niego. Wręczył mi jeden z nich.

— Najpierw pan.

Mając nadzieję, że nie będzie to nic niepożądanego, ostrożnie otwarłem małe pudełeczko. W środku było mniejsze. A w nim jeszcze mniejsze. A wewnątrz tak małe, że byłem pewny, iż nigdy nie zdołam go otworzyć. Nie wiedziałem, śmiać się czy płakać. Inni też otwierali swoje prezenty i każdy, nie mówiąc ani słowa, delikatnie wydobywał swoje pudełeczko, mniejsze od ziarnka grochu, z tych większych.

— Posypmy nimi choinkę — zaproponował Star i tak też uczyniliśmy.

Prot podniósł swój kieliszek i życzył nam wszystkim wesołych świąt.

— I radosnego okresu emerytury wszystkim obecnym tu starym piernikom. Oby żyli tysiąc lat!

Kieliszki zadźwięczały jak niezliczone dzwoneczki.

Później, gdy Steve podjął ostatnią próbę wysondowania prota, dopadłem Freda, by mu opowiedzieć o postępach Roberta.

— Najgorsze ma za sobą — zapewniłem. — Myślę, że teraz potrafi zaakceptować to, co mu się przydarzyło, i przejść do następnego etapu: żałoby. Na szczęście w tym jestem w stanie mu pomóc, jeśli tylko nie zabraknie czasu.

Kiwnął głową, ale jego myśli zajmowało chyba coś innego. Wydawało się, że właśnie teraz chce powiedzieć mi o tym, co niepokoiło go ostatnio. A może już od dłuższego czasu. Jeżeli nie chciał być aktorem (co zrozumiałbym wiedząc, jaki to trudny zawód), to co zamierzał? Czy możliwe, że chciałby zostać lekarzem, takim jak ja? Czy pojawi się jeszcze jeden psychiatra w rodzinie Brewerów? Próbowałem go ośmielić.

— I co, rozmawiałeś z protem?

— Tak. Pomógł mi zdecydować się.

— Na co?

— Żeby powiedzieć wam to, co chciałem powiedzieć już dawno.

Zacząłem się niepokoić.

— Słucham cię, synu.

— Tato — wyjął — nie chcę waszego domu i nie zamierzam się ożenić.

— Chcesz powiedzieć...

— Nie, nie jestem gejem. Prawdę mówiąc, mam więcej kobiet, niż mi potrzeba do szczęścia.

— Myślałem, że tylko tę tancerkę.

— Dwie tancerki, stewardesę i asystentkę producenta. Na chwilę obecną.

— Wygląda na to, że potrzebujesz terapii, Fred.

— Nie, tato, dzięki. Zbyt dobrze się bawię. Głównie chciałem porozmawiać z tobą o domu. Wiem, że rozmyślacie, komu go przekazać, i jak wiele dla ciebie znaczy, by pozostał w rodzinie. Ale to nie dla mnie. Nie w smak mi podmiejskie życie.

— Dlaczego, Freddy? Dlaczego teraz mi o tym mówisz?

— Myślę, że to z powodu tego, co się stało w twoim pokoju badań. Nie chciałbym kiedyś, kiedy już być może będzie za późno, czuć się wobec ciebie winny, że nie dzieliłem się z tobą tym, co dla mnie ważne.

To potrafiłem zrozumieć.

— To znaczy, że nie chcesz zostać psychiatrą?

— Dlaczego, na litość boską, miałbym zostać psychiatrą? Kocham teatr. W samej rzeczy chciałem ci powiedzieć, że właśnie zostałem przyjęty do realizacji *Nędzników* na Broadwayu.

Uściskałem go serdecznie.

— To wspaniała wiadomość, Freddy. Gratulacje!

— Dzięki, tato.

Ale tego wieczoru niespodziankom nie było końca. Z protem nigdy nie ma im końca. Gdy wszyscy żegnali się w holu, wziął mnie na bok i szepnął:

— Karen ma raka piersi. To na razie niewielki guz, ale ktoś powinien na niego rzucić okiem.

Później, w łóżku, spytałem ją od niechcienia, na kiedy ma wyznaczoną mammografię.

— Zabawne, że o to pytasz. Dopiero co robiłam badania, przed niecałym miesiącem. Wynik był ujemny. Ale prot poradził mi dzisiaj, żebym powtórzyła badanie.

— I zrobisz to?

— Zaraz po Nowym Roku.

— Ładny mi Nowy Rok... — powiedziałem smętnie.

— Nie opowiadaj głupot. Tak to już jest, jak się człowiek starzeje. Zaczynamy się sypać. Dlatego trzeba cieszyć się życiem teraz, póki jeszcze nie jest za późno.

W tym momencie obiecałem sobie, że zdecydowanie pozbędę się mego żółtego notatnika, tak szybko jak to możliwe po rychłym „odlocie” prota.

Parę dni potem dowiedziałem się, że zanim przybył do nas na świąteczny obiad, przedostał się w jakiś sposób na Oddział Czwarty i zaofiarował swoje genitalia Charlotte.

— Nie używam ich — powiedział.

Po prostu się roześmiała i wyjaśniła mu, że obcina je tylko tym mężczyznom, którzy chcą ją przelecieć. Dzięki temu wyszła na jaw cała plugawa historia seksualnego wykorzystywania jej przez dziadka. (Prot zapewne wzruszyłby ramionami i westchnął: „Ludzie!”) W późniejszym czasie została objęta intensywną psychoterapią przez Carla Thorsteina, który mówi mi teraz, że są dla niej pewne nadzieje na wyzdrowienie.

To tego rodzaju wydarzenia sprawiają, że zarówno psychiatria, jak i całe nasze życie na

Ziemi są czymś tak bardzo nieprzewidywalnym.

SESJA CZTERDZIESTA SIÓDMA

Kiedy prot przybył na naszą ostatnią sesję, czekał już na niego koszyk błyszczących jabłek.

— Czerwone delicje! — wykrzyknął. — Moje ulubione!

— Tak — rzekłem cicho. — Wiem o tym.

Kiedy już zjadł prawie wszystkie, w całości razem z ogryzkami i z całą resztą, powiedziałem mu, że chcę się pożegnać z Robertem i pozostałymi.

Kiwnął głową i zamknął oczy z zadowoleniem.

Odczekałem chwilę.

— Rob, jak się czujesz? Nie było odpowiedzi.

— Czy myślałeś o tym, o czym mówiliśmy ostatnio? Prawdopodobnie tak, ale nie chciał przeżywać dalszych

stresów w przeddzień odlotu do rajy i któż mógł go za to winić? Wszystko co mogłem zrobić, to życzyć mu szczęśliwej drogi. Może był cień reakcji na te z serca płynące życzenia, a może nie.

Obserwowałem go jeszcze przez parę minut i zastanawiałem się, o czym myśli, siedząc tak nieruchomo, poza czasem. Może biegał ze swoim wielkim psem Apple'em po polu za domem? Obserwował gwiazdy wraz z ukochanym ojcem? Oglądał telewizję z Sarą, swoją dziewczyną? Podrzucał do góry roześmianego Gene'a? Zegnaj, Rob. Zegnaj na razie, mój przyjacielu.

— Paul?

Ten również nie był skory się ukazać.

— Czy chcesz zdjąć jakieś brzemie z serca, zanim odlecisz?

Najwyraźniej nie miał żadnego.

Mimo woli pomyślałem sobie, że będzie bardzo rozczarowany płcią przeciwną na K-PAX.

— Do widzenia, Paul. Kimkolwiek jesteś, życzę ci szczęścia.

Na chwilę uniósł głowę, mrugnął i odparł:

— Sam jestem kowalem swojego szczęścia.

— I ty, Harry, mały czorcie. Uważaj na siebie i Roberta.

Harry się nie poruszył. Nie zamierzał ryzykować, że ktoś wkłuje mu za chwilę igłę.

— I nie wpakuj się w kłopoty! — dodałem jak troskliwy ojciec.

Chociaż nie nagrało się to wyraźnie na taśmie, zdecydowanie usłyszałem stłumione:

— Obiecuję!

— Okej, prot, może pan wrócić.

— Hej, hej, hej, hej — wyrecytował. Za wszystkich czterech, jak przypuszczam.

— Chcę panu podziękować za wszystko, co pan zrobił dla naszych pacjentów.

— Nie ma za co. Zostałem za to dobrze nagrodzony. — (Miał pewnie na myśli owoce.)

— Prot, mam jeszcze kilka nierozwikłanych spraw do rozwiązania, jeśli pan pozwoli.

— Oczywiście. Ale pojawią się następne, choćby nie wiem ile pan ich rozwikłał przy mojej pomocy.

— Bez wątpienia. Chcę jednak wyjaśnić parę drobnych kwestii, zanim pan nas opuści. Na przykład, gdzie Rob się podziewał przez cały ten czas? Był tutaj czy udał się do Guelph? Albo jeszcze gdzie indziej?

— Nie mam pojęcia, szefie. Musiałby pan jego o to zapytać.

Było za późno, żeby go przekonywać, że on i Robert to jedno.

— Wobec tego proszę mi powiedzieć, gdzie pan przebywał wtedy, gdy opuścił pan na krótko szpital, ostatnio i przed dwoma laty?

— Oddaliłem się, żeby przygotować tych, którzy mają ze mną wyruszyć. I złożyć wyrazy ubolewania tym, którzy nie będą mogli.

— Skąd pan wiedział, kto chce jechać?

Splótł dłonie z tyłu głowy i uśmiechnął się zupełnie jak ktoś, komu udało się ukończyć ważne zadanie przed terminem.

— Ludzie przysyłali listy, pamięta pan? Inni przekazywali swoje pragnienia... hm... można by to nazwać „pocztą pantoflową”.

— Chce pan powiedzieć, że jedna istota przekazywała wiadomość drugiej, coś w tym rodzaju?

— Tak, tyle że jest to o wiele bardziej skomplikowane. Kiedy jeden słoń coś wie, to samo

wiedzą wszystkie słonie na ŚWIECIE.

— Jak możemy to sprawdzić?

— Spytajcie ich!

— Dobrze. Oto następne pytanie... Utrzymuje pan, że w czasie każdej podróży na Ziemię staje się pan o siedem miesięcy starszy?

— Zgadza się!

— Więc w jaki sposób mógł pan przemierzyć pół Galaktyki, gdy Robin potrzebował pańskiej pomocy, i zdążyć na czas? — spytałem, bardzo z siebie zadowolony. — No i skoro już o tym mowa: dlaczego jego wołanie od razu dotarło do K-PAX, a nie dopiero po siedmiu miesiącach?

— Gene, gene, gene. Czy nie słuchał pan tego, co mówiłem przez ostatnich 7,65 lat? Przemieszczanie się z jednego miejsca w drugie na najwyższych częstotliwościach energii świetlnej w ogóle nie zajmuje czasu. Ale dla podróżującego czas jest względny, toteż o n się starzeje. Rozumie pan?

— Nie bardzo. — Dalsze drażnienie tego tematu nie miało właściwie sensu. Przyszła pora na ostateczne pożegnanie. — Czy chce mi pan przed rozstaniem powiedzieć coś jeszcze, mój przyjacielu z zaświatów?

— Proszę pamiętać, co panu powiedziałem dotychczas. Możecie rozwiązać problemy każdej innej istoty, a nawet całej PLANETY, jeśli tylko nauczycie się wchodzić w jej położenie. W istocie jest to jedyny sposób.

— Dzięki, postaram się o tym pamiętać.

Wstał, być może czując, że nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

— Jedno, ostatnie pytanie.

— I tyle wystarczy na dzisiaj.

— Dlaczego tylko stu pasażerów? Czemu nie dwustu? Lub tysiąc? Albo milion?

— Kiedy tu przybyłem, nie miałem pojęcia, że, cholera, prawie każdy chce wynieść się z tego ŚWIATA. Ale następnym razem...

— Czy to oznacza, że zmienił pan zdanie i że jednak pan wróci?

— Nie ma mowy. Ale może przybędą inni. Ci już będą wiedzieli, jaka jest skala problemu.

— Kiedy to nastąpi?

Wzruszył ramionami.

— Może jutro. Może nigdy. Ale jeśli pojawią się jacyś przybysze, mam nadzieję, że dobrze ich ugościcie.

— Czerwone delicje i dojrzałe banany, czarne jak smoła.

— Może rzeczywiście moja wyprawa miała jakiś sens! — Porwał pozostałe jabłka, wepchnął je do kieszeni i machnąwszy ręką na pożegnanie, zniknął za drzwiami.

— Do jutra — szepnąłem sam do siebie, przechodząc do gabinetu, gdzie czekała na mnie Giselle z synkiem. Chciała, żeby się ze mną pożegnał. Zamiast tego złapał mnie za nos.

— Dzięki za wszystko, co pan zrobił, doktorze B. Gene... I jeśli jutro już się nie zobaczymy, proszę się o nas nie martwić. Damy sobie radę. — Uściskała mnie z całej siły.

Pozostawało jedynie powiedzieć:

— Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece.

Tego samego dnia po południu prot w towarzystwie większości personelu i pacjentów wyszedł przed główną bramę, żeby pożegnać się z ogromnym tłumem, który tam się zgromadził. Pomimo zimna i śniegu wskoczył na mały podest wzniesiony przez kogoś tuż obok budki strażnika, i podszedł do mikrofonu. Powitały go entuzjastyczne okrzyki, ponad świętującym tłumem powiewały proporce z napisem „K-PAX”, zamieszanie trwało kilka dobrych minut. Ludzie rzucali na podium dary w postaci kwiatów i owoców. Prot uśmiechał się do nich szeroko. (Ktoś mi później powiedział, że miało się wrażenie, iż mówi do każdego z osobna, nie wyłączając kilkunastu kotów i psów, paru ptaków, a nawet dwóch rybek uniesionych wysoko w małych akwariach, żeby mógł je widzieć.) W różnych miejscach rozmieszczone były kamery i wozy telewizyjne. Pełno było policji na całej Amsterdam Avenue, zamkniętej dla ruchu kołowego. Rozpoznałem też nieomylnie agentów wywiadu, krótko ostrzyżonych i w nienaganych granatowych garniturach, kręcących się w pobliżu naprędce skleconego podium.

W końcu zapanował spokój i zaległa cisza.

— Niedługo was opuszczę — zaczął prot — i będzie mi brakowało was wszystkich.

Okrzyki protestu szybko ucichły, gdy podniósł rękę.

— Wielu z was rozumie, że trzeba dokonać wielorakich zmian, aby wasza piękna ZIEMIA stała się rajem, jakim może być. Konsekwentnie powtarzałem, że sami musicie wypracować sposób, jak to zrobić. Ciągłe jednak dostaję kartki i listy, w których piszecie, że nie wiadomo, od czego zacząć. Nic prostszego. Po pierwsze, nie róbcie krzywdy swojej PLANECIE ani też żadnej z istot, które ją z wami zamieszkują.

Nagle rozległ się strzał. Dokładnie w tym samym momencie prot przekrzywił głowę i kula świsnęła obok niego, zahaczając o płatek jego lewego ucha. Powstała szamotanina w tłumie, kilku

ludzi mocowało się z osobą, która strzelała. Była to kobieta. Ktoś odebrał jej broń, ktoś drugi chwycił za rękę i wykręcił do tyłu. Krzyczała, podniósł się nieopisany harmider.

Prot, z policzkiem ociekającym krwią, uniósł ponownie rękę i nie podnosząc wcale głosu, powiedział:

— Zostawcie ją w spokoju. Ona postępuje w myśl nauk, które otrzymała lata temu od swojej rodziny, od przyjaciół, od prawie wszystkich, których znała. Nie róbcie jej krzywdy, nie wsadzajcie do więzienia. Uczcie ją.

Chak wspiął się na podium i przyłożył kawałek gazy do zranionego ucha prota. Ten mówił dalej, jakby nic się nie stało.

— A teraz, moi przyjaciele, muszę was opuścić. Pewnego dnia, jeśli uda wam się przeżyć dwudziesty pierwszy wiek, może się zdarzyć, że inni K-PAXianie was odwiedzą. I kto wie, może wasze wnuki udadzą się w podróż na drugą stronę GALAKTYKI. To naprawdę nie tak daleko.

Pomachał ręką, zeskoczył z platformy i z nie odstępującym go Chakrabortym potruchtał do budynku.

W długi czas po ucichnięciu zgiełku tłum zaczął się rozchodzić, tylko paru łowców pamiątek jeszcze się ociągało. Po upływie dwóch godzin chodnik opustoszał i znów słychać było klaksony samochodów i taksówek przejeżdżających obok bramy. Wszystko wyglądało tak, jakby prota nigdy tu nie było.

Wieczorem odbyło się wielkie przyjęcie w świetlicy na Oddziale Drugim zorganizowane przez moją żonę i Betty McAllister. Byli tam wszyscy, włączając w to większość dawnych pacjentów, którzy opuścili szpital w ciągu ostatnich siedmiu i pół lat: Howie, Ernie, Kurczak i Pani Archer, Maria w habicie zakonnicy, Ed i kotka La Belle, Masturbo ze swoją zmysłową dziewczyną, Lou z córką Protistą, Rudolph, Michael i jego nowa żona, Jackie ze swym ojczymem Bertem i wszyscy inni, którzy poznali prota. Było też paru członków mojej rodziny — Abby i Steve z chłopcami, Freddy w towarzystwie swoich dwóch dam oraz Will razem z Dawn, której obecne kształty upodabniały ją do Mony Lizy. Cassandra przepowiedziała, że chłopiec — dziecko, którego Dawn się spodziewa — będzie psychiatrą. Na co odparłem, że to się dopiero okaże.

Frankie, szczęściara, która wygrała bezpłatną podróż do Krainy Utopii, była cała w uśmiechach (choć każdą spotkaną osobę nazywała pieszczotliwie „dupką”), podobnie Giselle i mały Gene. Prawdę mówiąc byli tak szczęśliwi, że nieomal pragnąłem polecieć z nimi. Wiedziałem oczywiście, że następnego dnia rano ich nadzieje legną w gruzach, a ja będę musiał się borykać z niszczycielskim działaniem zawiedzionych nadziei, które dotknie nie tylko ich, ale również Roberta Portera.

Pomimo to nie chciałem zepsuć przyjęcia, które zakończyło się dobrze po północy, kiedy to pacjenci pożegnali się wśród łez i udali na spoczynek. Na koniec odprowadziłem prota i Giselle z synkiem do ich pokoju, gdzie mieli spędzić noc, a raczej to, co z niej zostało.

— No cóż, jeszcze raz dziękuję — szepnąłem, biorąc go za rękę.

— Korzystaj z emerytury, gino — odparł. — Zasłużył pan na nią.

Giselle powierzyła małego Gene'a jego ramionom i raz jeszcze uściskała mnie i ucałowała prosto w usta. Prot, nie mający żadnego doświadczenia w niańczeniu dzieci, trzymał chłopczyka tak, jakby był on najkruchszą istotą we wszechświecie.

Wziąłem od niego mojego syna chrzestnego i pocałowałem w czoło.

— Zegnaj, chłopcze — powiedziałem, chwytając go za mały nosek. — Nie daj się nabrać na drewniane yorty.

— Nie wychowano mnie na głupka — usłyszałem wyraźną odpowiedź małego, chyba że prot był doskonałym brzuchomówcą, poza wszystkim innym.

Nazajutrz wcześnie rano byłem już na nogach i wspólnie z Chakiem i resztą personelu próbowaliśmy się przygotować na to, co może nastąpić. Najbardziej się obawiałem fali masowej hysterii, bo to byłby prawdziwy koszmar.

— Nie ma obawy — powtarzał Chak. — Wszystko będzie dobrze.

Przyszliśmy do jadalni przed siódmą, ale zastaliśmy tam już prota z jego „rodziną”. Zajadali się płatkami zbożowymi (z mlekiem ryżowym) i owocami. Panował spokój, ponieważ większość pacjentów uznała, że należy im zapewnić prywatność w czasie ich ostatniego posiłku na Ziemi.

Prot ubrał jak zwykle niebieskie sztruksy i drelichową bluzę. Wydawał się być w pełni sobą — beztroskim i pewnym siebie. Wypił co najmniej litr soku pomarańczowego, zmiótł kilka porcji suszonych śliwek oraz ostatnią kiść przejrzałych bananów. Zauważyłem, że ma jeszcze zabandażowane ucho. Wynikało z tego, że K-PAXianie wylizują się z ran nie szybciej od nas.

— Cóż, nadeszła pora — powiedział, kiedy już zniknęły wszystkie owoce oprócz suszonych, które zabierał ze sobą.

Jeszcze ostatni uścisk (pachnący sosną) od Giselle, a nawet (króciutki) od Frankie, która napomniała mnie:

— Każ sobie naprostować ten nos.

Prot dziękował mi za moją „pacjencję” (a może za pacjentów?) i życzył, żeby moje „wszystkie problemy psychiczne były niewielkie”.

Kilku mieszkańców szpitala i pracowników jeszcze raz się z nimi pożegnało i dołączyło do większej grupy już zebranej w świetlicy. Byli tam też ludzie z CIA ze swoimi czujnikami, magnetofonami i kamerami. Fotoreporterzy czekali niecierpliwie po drugiej stronie sali. Czasu pozostawało niewiele. Prot szybko zebrał całą trójkę razem, wydobyl lusterko i latarkę i po raz ostatni pomachał nam ręką (każdy był oczywiście przekonany, że macha tylko do niego). Frankie,

przesyłając całusy, krzyknęła:

— Zegnam was, skurwysyny! Pierdolę was wszystkich! Pierdolę...! Pierdolę...!

Zawołałem do prota:

— Pozdrów ode mnie Bess!

Mrugnął do mnie, ale czy to oznaczało „zrobi się” czy też wyrażał w ten sposób uznanie dla mojego poczucia humoru, tego nigdy się nie dowiem. W każdym razie wyrzekł jeszcze wyraźnie:

— Nie zjedz nikogo z moich znajomych! — wyciągnął rękę z lusterkiem, latarkę oparł na ramieniu, włączył ją i zniknął w okamgnieniu.

Nie wiedziałem, jaka będzie reakcja Giselle i wszystkich innych, byłem przygotowany na to, że w miejscu gdzie stał prot, pozostanie bezwładnie leżący Robert, tak jak było przy ostatnim odejściu prota. Ale Robert też zniknął, tak jak Frankie, Giselle i jej syn. Wszyscy po prostu gdzieś przepadli. Parę minut później odebrałem telefon od żony.

— Nie ma Oxi — zakomunikowała radośnie, bez śladu żalu.

Jakoś wcale mnie to nie zaskoczyło.

EPILOG

Niedługo po tym, jak prot i inni zniknęli, odebrałem telefon z ogrodu zoologicznego w Bronksie. Kilka naczelnych wydostało się z klatek i wszelki ślad po nich zagał. Do dnia dzisiejszego żadnej z nich nigdzie nie widziano, ale czy dołączyły do prota w jego ostatniej podróży na K-PAX, czy też wybrały wolność na Ziemi, pozostaje zagadką.

Wiemy natomiast na pewno, że zginęło również około tuzina osób z różnych zakątków świata, wkrótce po wyruszeniu w podróż naszej grupy, złożonej z pięciu uczestników (w tym Oxeye). Trzydziestego pierwszego grudnia rano większość z nich twierdziła, że czekają na kogoś, kto ma ich zabrać ze sobą. Niektórzy zostawili nawet adres do korespondencji: K-PAX. Jedynymi spośród naszych dawnych pacjentów, którzy zniknęli w tym samym czasie, byli: Ed (i jego kotka La Belle) — najwyraźniej prot dotrzymał dawno im złożonej obietnicy — oraz pan Magoo, który nie potrafił rozróżniać twarzy, co na K-PAX nie miało większego znaczenia.

Z tego co udało się ustalić, wynika, że żadne z dzieci, które chciały lecieć z protem, nie zostało zabrane. Co więcej, dotarły informacje, że w ciągu minionych dwóch lat prot odwiedził niektórych spośród tych młodocianych kandydatów, aby im wyjaśnić, dlaczego ich nie zabierze. Każdemu powtarzał to samo, podobnie jak tym wszystkim młodym ludziom, którzy wystawali pod bramą naszego szpitala w ubiegłym miesiącu: „Możecie mieć K-PAX tutaj na Ziemi, jeśli tylko naprawdę tego chcecie, wszystko zależy od was”, stara piosnka.

Jeśli chodzi o blisko siedemdziesiąt pozostałych miejsc, możemy się tylko domyślać, że zostały zajęte przez różne istoty, począwszy od żyraf, a skończywszy na owadach. Co do jednego możemy mieć względną pewność: na liście pasażerów raczej nie było istot żyjących w wodzie.

Gdzie więc jest prot i cała reszta? Może skrywają się w jakiejś jaskini na Antarktydzie albo też pod gęstym baldachimem południowoamerykańskiego lasu równikowego. A może wszyscy są już na K-PAX? Gdziekolwiek się udali, zniknęli bez śladu i słuch po nich zagał. Ukazywały się jedynie doniesienia, że uprowadził jeszcze jakieś pary z wiejskich okolic Środkowego Zachodu w celach, jakżeby inaczej, seksualnych lub przefruwał nad wielkimi miastami niczym Superman najnowszych czasów. Prot oczywiście zlekceważyłby to wszystko jako szum medialny.

Wszystko sprowadza się do dwóch możliwych wyjaśnień tego, co mogło się z nimi stać, w moim mniemaniu równie prawdopodobnych. Pierwsze nakazuje przyjąć, że prot był wyłącznie wtórną osobowością głęboko zaburzonego młodego człowieka, zniszczonego okropnymi wydarzeniami, które przeżył jako chłopiec. Podobnie jak niektórzy autystycy potrafił sięgać do tych zakamarków mózgu, które dla większości z nas są niedostępne. To wyjaśniałoby jego umiejętność przekonania nas, że potrafi podróżować szybciej od światła, wyjaśniać skomplikowane problemy kosmologiczne i tak dalej.

Co więcej, udało mu się zmienić nie tylko zakres widzialności wzroku, ale również strukturę DNA komórek własnego ciała. (DNA prota było odmienne od DNA Roberta; należące do Paula i Harry'ego niczym się od niego nie różniło.) Niewykluczone, że potrafił czytać w myślach, aczkolwiek nie posiadamy oczywistych na to dowodów. Ale z pewnością miał wgląd w ludzkie

ciało, za co Bogu dzięki. Potrafił nie tylko poprawnie zdiagnozować w 1990 roku nowotwór jelita u naszego pacjenta Russela, już nieżyjącego, ale również — siedem lat później — raka piersi u mojej żony. (Karen poddała się operacji usunięcia niewielkiego złośliwego nowotworu na początku roku 1998 i prognozy są doskonałe.) Trzeba też wspomnieć o tych wszystkich pacjentach psychiatrycznych, których wyprowadził na drogę zdrowienia dzięki swej niesamowitej intuicji. Nawiasem mówiąc, małe pudełka, które otrzymaliśmy od niego w prezencie na Boże Narodzenie, okazały się niekończącymi się pomniejszeniami. Choćbyś użył nie wiem jak potężnego mikroskopu, zawsze w środku znajdowało się jeszcze mniejsze pudełeczko.

Jedynym innym możliwym wyjaśnieniem jest to, że prot rzeczywiście potrafi dostrzegać światło ultrafioletowe i podróżować z prędkością tachionu oraz że w tej chwili znajduje się na K-PAX i zaznajamia setkę naszych współbraci z tym Rajskim Ogrodem Galaktyki. To rzecz jasna wydaje się nieprawdopodobne, ale czy o wiele bardziej niż poprzednia hipoteza? Ja dopuszczam je obie.

Przyjrzyjmy się jeszcze przez chwilę tej ostatniej wersji. Czy zgadza się z danymi, którymi dysponujemy? W jaki sposób można wytłumaczyć fakt, że prot i Robert zdawali się przebywać w tym samym ciele, przynajmniej od czasu do czasu? Czy jest możliwe, by na Ziemię docierał jedynie duch prota lub jego esencja, czemu on sam zaprzeczył? Co więcej, jeśli naszą planetę opuściła tylko „esencja” stu kosmicznych podróżników, gdzie znajdują się ich ciała? A może prot przybył na Ziemię w całej swej istocie i z przyczyn dla nas niepojętych potrafił jakoś zajmować miejsce Roberta z chwili na chwilę? Ale jeśli naprawdę był przybyszem z kosmosu, to jak wyjaśnić niezaprzeczalne podobieństwo życiorysu prota na jego idealnej planecie i Roberta tutaj na Ziemi?

Rozmyślałem o tych różnych możliwościach długo i intensywnie, wierzcie mi, i jedynym wnioskiem, do którego udało mi się dojść, było to, że prawdą jest wszystko. Lub mówiąc inaczej, jest nią kombinacja obydwu interpretacji. Czy nie można by przyjąć na przykład, że planeta K-PAX jest alternatywnym wobec naszego światem, czymś w rodzaju paralelnego wszechświata, jedną z dróg, których nie wybraliśmy tutaj na Ziemi? Może każdy z nas ma swoje alter ego wędrujące gdzieś wśród gwiazd?

Jakakolwiek byłaby na to odpowiedź, pozostaje wiele innych pytań dotyczących sprawy Roberta Portera. Na przykład, w jaki sposób udało mu się sprawić, że uwierzyliśmy w jego pozorny powrót do zdrowia w 1995, i kto jeszcze uczestniczył w tym spisku? Czy to Harry zabił osobnika, który zamordował żonę i córkę Roberta, i co by było, gdyby zabójca nie pojawił się tego fatalnego dnia w sierpniu 1985 — czy Robert ze swą rodziną wiedliby w miarę normalne życie? A gdyby sześciolatek Rob nigdy nie kąpał swojego ojca? Ani Robert małego Gene’a? A przede wszystkim, gdyby tak jego ojciec w ogóle nie uległ wypadkowi? Albo gdyby Giselle miała kółka? Czy prot i inni powrócą kiedyś? Gdziekolwiek są, czy udało im się znaleźć trochę spokoju, którego tak rozpaczliwie pragnęli?

Mówiąc krótko, nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jedno jest pewne: pożegnałem się z moim żółtym notatnikiem i przeniósłem do starej farmy w Adirondacks (dzięki dochodom z filmowej wersji K-PAX), gdzie wspólnie z Karen i z Flower, naszym kundlem, chcemy oglądać zachody słońca do końca naszych dni. Pozostawiam losy świata w rękach następnego pokolenia, które jak mam nadzieję i w co mocno wierzę, sprosta temu zadaniu.

W każdym razie co do jednej sprawy pokładam niewzruszoną wiarę w przyszłość. Mój syn Will, który obecnie jest na rezydenturze w Bellevue, będzie z pewnością świetnym psychiatrą. Posiada zdolność empatii wobec pacjentów, która mnie nie była dana, i wydobywania z nich tego, czego nikt inny by nie potrafił. Twierdzi, że nauczył się tego od prota, ja natomiast uważam, że z tym się urodził. Wraz z Dawn są rodzicami ślicznego chłopczyka, który ma wiele cech swojego dziadka (wystarczy porównać nasze zdjęcia z okresu niemowlęctwa!). Odwiedzają nas tak często, jak tylko mogą, choć Will marudzi, że zajmowanie się naszym starym domem, gdzie obecnie mieszkają, w połączeniu z zawodowymi obowiązkami zajmuje mu mnóstwo czasu.

Freddy odwiedza nas rzadziej — zazwyczaj w skrócony weekend (w niedzielę po przedpołudniowym przedstawieniu). Obecnie mieszka w West Village z nową wybranką serca (tym razem, jak nas zapewnia, to prawdziwa miłość) i nadal jest w obsadzie Nędzników, cieszącego się nieustającym powodzeniem musicalu Broadwayu.

Dzięki wydatnej pomocy prota nasz zięć Steve jest obecnie kierownikiem katedry na wydziale astronomii w Princeton. W związku z tym ma bardzo niewiele czasu na badania naukowe czy na cokolwiek innego — włączając w to teściów (nawiasem mówiąc, jego poprzednik, Charlie Flynn, jest teraz studentem szkoły teologicznej na Środkowym Zachodzie). Za to dzieci Steve'a i Abby, zbliżające się do pełnoletniości (zbyt szybko!), są naszymi najczęstszymi gośćmi, zwłaszcza w lecie. Pozostają u nas zazwyczaj przez kilka tygodni, zapewniając, że brak komputerów zupełnie im nie doskwiera. Jeśli chodzi o Abby, udało się jej pomyślnie przekroczyć czterdziestkę i jest bardziej niż kiedykolwiek zaangażowana w rozmaite „walki o prawa”.

Jennifer, jedyny prawdziwy lekarz w naszej rodzinie, nie odwiedza nas tak często, jak byśmy pragnęli (choć my byliśmy u niej raz czy dwa), natomiast informuje na bieżąco o swoich dokonaniach w zakresie badań i praktyki w walce z AIDS. Mówiła nam, że uczestniczy w programie badań nad nową szczepionką przeciw HIV, która może się okazać istnym wybawieniem.

Czy brak mi codziennego kieratu? Raczej nie. Czas emerytury jest tak dobry, jak mogłem się spodziewać. Staram się pozostać na bieżąco z fachową literaturą psychiatryczną. Raz na jakiś czas odwiedzam szpital, gdzie zazwyczaj spędzam chwilę na serdecznym spotkaniu z Jerryem, wspieram się na jego ramieniu lub on na moim. Spotkałem kobietę, która strzelała do prota, jest teraz pacjentką IPM. Twierdzi, że wykonywała rozkaz Pana Boga. Ilekroć ją spotykam, przypomina mi się, co mówił prot — że tam gdzie są religie, zawsze będą fanatycy.

Thorstein jest tam nadal, podobnie Goldfarb i cała reszta. Byli na tyle uprzejmi, że nazwali salę wykładową między pierwszym i drugim piętrem „Audytorium E. N. Brewera”, zapewne w nadziei na pokaźną darowiznę z mojej strony (nowe skrzydło wciąż się buduje). Chociaż nie spełniłem jeszcze tych oczekiwań, jestem wszakże wdzięczny za zaszczyt.

Zaczynam jednak czuć się tam obco, zwłaszcza że większość dawnych pacjentów z okresu bytności prota odeszła. I dobrze. Niech Will będzie następnym Brewerem łamiącym sobie głowę nad różnymi protami i „Chrystusami” oraz innymi nieszczęśnikami, którzy trafiają w obręb tych murów.

Czas mamy wypełniony po brzegi (ciągle nie znalazłem wolnej chwili, by przeczytać Moby Dicka, ani poprobować jazdy na jednokołowym rowerze, który dostałem w prezencie od Miliona,

gdy opuszczał szpital). Karen sprawuje kontrolę nad rozkładem naszych podróży oraz nad rozrywkami kulturalnymi (w tym również Metropolitan Opera od czasu do czasu) i spotkaniami towarzyskimi. Ale od czasu wizyt prota postrzegam operę (jak też szereg innych spraw) w innym świetle. Ostatecznie ogranicza się ona do ludzkich tylko radości i dramatów. Jeśli czegoś się nauczyłem od niego, to tego, że my, ludzie, stanowimy tylko maleńką część jakiejś większej całości. Według prota każda istota ma takie samo prawo do życia jak my — to pogląd, który obecnie podzielam. Zdarza mi się jeszcze czasem zjeść kawałek pizzy lub porcję lodów z owocami i śmietanką oblanych sosem karmelowym. Ale nigdy więcej białego sera!

Spędzam teraz więcej czasu, spoglądając w niebo. Z okazji przejścia na emeryturę dostałem w prezencie od Karen czterocalowy zwierciadlany teleskop i większość pogodnych wieczorów, latem czy zimą, spędzam na dworze, kontemplując gwiazdy. Czasami spoglądam w stronę konstelacji Liry i zastanawiam się, czy sto naszych istot rzeczywiście tam przebywa i co też one porabiają (częstka mojej osoby zawsze będzie żałować, że nie skorzystałem z zaproszenia prota do bezpłatnej podróży na K-PAX, gdy była ku temu okazja). Mam szczerą nadzieję, że znaleźli ukojenie i są zadowoleni ze swojego losu i że istnieje gdzieś tam w górze inny świat, gdzie mój ojciec nadal żyje, a ja zostałem śpiewakiem zamiast psychiatrą. Nie wiem, czy to prawda czy tylko marzenie, ale jestem pewien, że istnieją miliony planet, o których nie wiemy nic, światy, które miejmy nadzieję, będziemy mogli kiedyś poznać i odwiedzić, a Ziemia i istoty, które ją zamieszkują, nie stanowią centrum wszechświata. Nas, naszą galaktykę, a nawet sam wszechświat postrzegam raczej jako maleńką cząstkę mądrości, piękna i tajemnicy Boga.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Loisowi Weinsteinowi za towarzyszenie mi w tej trudnej wspinaczce. Jak również moim wydawcom, Mike'owi Jonesowi i Elizabeth O'Malley, za ich zainteresowanie i szlachetność serca, oraz Sarah-Jane Forder za znakomitą redakcję.

Raport prota

Przedmową opatrzył

Gene Brewer

PRZEDMOWA

Pamiętam pierwsze spotkanie z protem, jakby to było wczoraj (on prawdopodobnie by powiedział, że to było wczoraj). Miał sposób bycia, który szalenie mnie irytował, aż wreszcie skojarzyłem, że jego skrzywiony uśmiech przypomina mi mojego ojca, do którego żywiłem głęboką urazę. Może też byłem trochę sfrustrowany samym przypadkiem. Prot ewidentnie cierpiał na urojenia, a jego tożsamość była zagadką. Jej rozwikłanie było równie trudne jak rozłupanie v kuli bilardowej za pomocą piórka i przypadło na czas, kiedy jako tymczasowy dyrektor Instytutu Psychiatrycznego na Manhattanie miałem mnóstwo obowiązków.

Niebawem stało się oczywiste, że prot, niezależnie od niejasności co do jego pochodzenia i historii życia, jest głęboko empatyczny i błyskawicznie wyczuwa, co gnębi osoby z jego otoczenia — zarówno pacjentów, jak i członków personelu. Może to właśnie przyciągało nas wszystkich do niego — poczucie, że potrafi zrozumieć, a nawet pomóc. Dziesiątki pacjentów, którzy w innym wypadku musieliby zapewne pozostać w IPM na długie lata, zostało wypisanych wkrótce po tym, jak prot dotarł do sedna ich problemów i pomógł je rozwiązać. Doprawdy było czymś niezwykłym obserwować, jak nieuleczalni psychotycy, przebywający u nas od dawna, dochodzą do zdrowia, a jeszcze bardziej zadziwiające było to, że nie miewają nawrotów (z osobliwym wyjątkiem Roberta Portera, pierwotną osobowością samego prota.). Pragnąłbym bardzo, by każdy szpital psychiatryczny miał u siebie przybysza (albo i dwóch) z K-PAX lub innego cudownego miejsca zupełnie odmiennego od Ziemi, której mieszkańcy, nawet ci najzdrowsi psychicznie, wydają się zaślepieni w wielu ważnych sprawach z racji swego psychicznego bagażu.

Ale prot pozostawił po sobie szerszą jeszcze i głębszą spuściznę. W czasie swej pięcioletniej, wraz z Robertem, podróży po Ziemi poczynił ciekawe spostrzeżenia na temat sposobu postępowania jej mieszkańców, ze szczególnym uwzględnieniem gatunku homo sapiens, który nazwał wybrykiem natury. Nasze ludzkie poczynania zdawały się fascynować go najbardziej, choć nie zawsze pozytywnie. Nazwał nas „rakiem toczącym ZIEMIĘ” i zaproponował proste (według niego) rozwiązanie problemów społecznych oraz dotyczących środowiska naturalnego: zacząć wszystko od nowa, przyjmując inne założenia. Według niego wszystko, praktycznie biorąc, czego dokonaliśmy, wszystkie nasze wybory na przestrzeni długiej historii gatunku, było nierozważne, niewłaściwe lub po prostu głupie. Do naszych „fatalnych” pomysłów zaliczał instytucje rządowe, kapitalizm, religie, szkoły, nawet macierzyństwo — dosłownie całość naszych ludzkich wierzeń i wartości. Rejestrował to wszystko w czerwonym notesiku, który zawsze nosił przy sobie.

To nie miejsce, żeby przypominać całą trylogię K-PAX, ale przydatne może się okazać krótkie podsumowanie dla tych, którzy jej nie czytali. Prot został przywieziony do Instytutu w maju 1990 roku. Trzeba było cierpliwości, a także trochę szczęścia i niełatwej pracy, by dowiedzieć się w końcu, że pod „maską” prota ukrywa się Robert Porter, ciężko chory człowiek, który miał za sobą kilka niezwykle traumatycznych przeżyć, poczynając od piątego roku życia. Po siedmiu latach od rozpoczęcia terapii, przerwanej powrotem prota na K-PAX, a potem jego dwuletnią wędrówką po Ziemi w poszukiwaniu setki towarzyszy jego ostatniej podróży do gwiazd, zmuszony byłem dojść do wniosku, że był on równocześnie przybyszem z kosmosu oraz alter ego Roberta. Niezależnie od tego, czy ta interpretacja jest słuszna czy nie, obaj opuścili nas z końcem 1997 roku i od tej pory nikt ich nie widział.

Choć nie wszyscy pewnie się zgodzą z tą niewątpliwie empiryczną konkluzją, nikt nie zaprzeczy, że miał niezwykle logiczny i obiektywny umysł i wiele do powiedzenia o życiu na Ziemi z punktu widzenia prawdziwego obserwatora z zewnątrz. Wiele jego spostrzeżeń może nam się nie podobać albo nas złościć, ale jest w nich ziarno prawdy, które nie pozwala ich lekceważyć.

Miał zwyczaj pisać „Raport dla K-PAX” z każdej planety, którą zwiedzał w czasie swoich rozlicznych podróży. W sierpniu 1990, gdy właśnie wybierał się w podróż powrotną na swoją planetę, „w celu odpoczynku i rozrywki”, pozwolił nam skopiować swe obfite notatki na temat Ziemi, pisane w języku nazywanym przez niego „pax-o”. Na szczęście pani Rosetta Stone pomogła nam rozszyfrować jego własne tłumaczenie Hamleta na rodzimy język. Dzięki profesjonalnej asyście lingwisty (pani doktor Carol Boettcher z Instytutu Lingwistyki w Uniwersytecie Columbia, której jestem głęboko wdzięczny) udało mi się przełożyć większą część jego notatek na współczesny język angielski. Jeśli jakieś równoznaczne słowo lub zdanie nie występowało w sławnym dramacie szekspirowskim, ale jego znaczenie wydawało się jasne, tłumaczyliśmy je tak, jak wydawało się to zgodne z intencją prota; natomiast jeśli znaczenie nie było jasne, zdawaliśmy się na intuicję, kierując się dobrze mi znanym jego sposobem myślenia, i taką interpretację, jak również ewentualne wyjaśnienia, oznaczaliśmy nawiasem kwadratowym. Natomiast wyjaśnienia samego prota przeznaczone dla jego K-PAXiańskich czytelników zostały ujęte w nawias zwykły. Poza tym cały tekst został tutaj przytoczony bez zmian, z wyjątkiem drobnych gramatycznych poprawek, jak na przykład używanie dużych liter na początku zdania.

Prot robił zapiski niesystematycznie — gdy tylko miał wolną chwilę, by sporządzić jakąś notatkę lub dwie (przez większość czasu nie odstępowali go pacjenci), przeplatając opis historii Ziemi i jej obecnego stanu obserwacjami, które poczynił w szpitalu i gdzie indziej. W związku z tym jego raport jest trochę chaotyczny, ale może właśnie w ten sposób piszą K-PAXianie. Tam gdzie to było możliwe, połączyłem różne ustępy w logiczną całość. Dla przejrzystości (i ułatwienia pracy redaktorskiej) okazjonalne jego uwagi nagryzmołone na marginesie zostały pominięte. Natomiast zachowałem konwencję prota pisania nazw gwiazd, planet i innych ciał niebieskich dużymi literami, a używania małych liter wszędzie indziej, z imionami i nazwiskami włącznie.

Przez te wszystkie lata napływały liczne prośby o kopie raportu prota, między innymi od zastępcy sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz dyrektorów FBI, CIA i innych rządowych agencji, jak również od naukowców, socjologów, przywódców religijnych — tym uczyniliśmy zadość. Ale nadeszły także tysiące innych z szerokich kręgów społeczeństwa i tym nie sposób było sprostać bez wydania raportu drukiem. Mam szczerą nadzieję, że ta publikacja zaspokoi zapotrzebowanie i że dzieło niezwykłego umysłu prota zaciekawi wszystkich czytelników, a może i doda im otuchy.

Wstępne obserwacje dotyczące B-T1K

(RX 4987165.233)

Oto raport o kondycji PLANETY znajdującej się w stanie wielkiego [zamętu]. Piszę go z myślą o moich pobratymcach z K-PAX, dla ich informacji i ku ich uciechu. Przypuszczam jednak, że zanim opuszczę to miejsce, pewien „psychiatra” zechce otrzymać jego kopię.

Odwiedzając ten niewielki ŚWIAT kilkakrotnie, zapoznałem się tutaj z niezliczonymi istotami, włącznie z dominującym gatunkiem, homo sapiens, co oznacza — o ironio — „myślący (lub «mądry» albo też «logiczny») człowiek”. Obserwując przedstawicieli tego gatunku, zobaczyłem na własne oczy, w jaki sposób PLANETA B może stać się PLANETĄ A. [Uwaga: W skali prota planeta klasy K jest rozwiniętą najwyżej. Najniższy poziom, A, jest tym, co pozostaje po samozagładzie planety klasy B.] Przez to, że nie potrafią czy nie chcą zastanowić się nad tym, co wyprawiają ze swoim ŚWIATEM, znaleźli się na skraju unicestwienia. Pomimo tej oczywistej skazy genetycznej istoty ludzkie są interesującym gatunkiem, choć pełnym wewnętrznymi sprzecznościami.

Wszystko o czym tutaj piszę, powinno być zrozumiałe samo przez się, z wyjątkiem jednostek czasu, których na B-TIK używa się arbitralnie i bez żadnego związku z logiką, tak więc pewne definicje są niezbędne:

- „dzień” = jeden obrót PLANETY,
- „godzina” = 1/24 dnia,
- „tydzień” = siedem dni,
- „miesiąc” = 30 (lub 28, lub 29, lub 31) dni,
- „rok” = 12 miesięcy = jedno okrążenie B-TIK wokół rodzimej GWIAZDY.

Są inne określenia, które o wiele trudniej zdefiniować. „Popełnienie przestępstwa” oznacza pogwałcenie pewnych ludzkich norm, które są zmienne w zależności od miejsca pobytu. Istoty, które się tego dopuszczają, zamyka się w pudłach, zwanych „więzzeniami” lub w instytucjach medycznych, takich jak instytut psychiatrii na manhattanie, gdzie oczekuję powrotu na K-PAX. Chociaż nie pogwałciłem żadnych norm, zabrano mnie tutaj pod koniec podróży, aby mnie wyleczyć z „urojenia” (czy wiedzieliście o tym, że wszyscy K-PAXianie cierpią na urojenia?).

Postanowiłem pozostać. Dostawałem mnóstwo owoców, a miejsce to nadawało się równie dobrze jak każde inne do napisania tego raportu.

Właśnie odwiedziłem „zbozczeńców seksualnych”, którzy zamieszkują piętro tuż nad moim. Na większości PLANET K, a nawet na niektórych PLANETACH I oraz J, jest wiele istot, które uważają akt seksualny za coś tak odrażającego, że aktywnie unikają płci przeciwnej. Na ZIEMI nikt nigdy nie ma dosyć seksu.

Zbozczeńcy seksualni różnią się od pozostałych tylko tym, że uprawiają wyłącznie seks i nic poza tym. To tak jakby ktoś spędzał cały swój czas, prowokując wymioty.

Większość z gatunku sapiens żyje w luźnych stadach, w miejscach, które nazywają „miastami”. Miasta należą do „regionów”, które z kolei tworzą „kraje”. Te ostatnie wypełniają każdy jart [0,214 mili] kwadratowy powierzchni PLANETY, z wyjątkiem wielkich zbiorników wodnych, zwanych „oceanami” lub „morzami”, i zamarzniętych biegunów. Inaczej mówiąc, istoty ludzkie uważają się za „właścicieli” swojego ŚWIATA. Dziwaczne podejście, prawda?

Podział całej powierzchni na kraje powoduje dużo problemów, z którymi zmagają się gatunek sapiens (a nie są to jedyne problemy!). O dziwo, dla tych istot kraj jest czymś o wiele ważniejszym od ich PLANETY i są one gotowe zniszczyć jakiś obszar, żeby przejąć nad nim kontrolę. Skłonne są nawet ponieść śmierć, żeby tylko nie wpuścić na swoje terytorium ludzi z innych obszarów, chyba że decydują się ich zaprosić. Co więcej, z ochotą udają się do innych krajów, żeby tam umrzeć, jeżeli tylko dostrzegają stamtąd zagrożenie dla zachowania całości ich „ojczyzny”. To nie zawsze się sprawdza, granice oraz kraje ulegają przemianom zadziwiająco często.

Niektórzy pomyślą, że was [nabieram?]. Zapewniam, że wszystko do ostatniego słowa jest prawdą.

B-TIK widziana z kosmosu jest jednym z najpiękniejszych ŚWIATÓW w GALAKTYCE. Widok wodnych oceanów, w których odbija się kolor nieba przetkanego delikatnymi białymi chmurami, sprawia, że ten ŚWIAT wydaje się bardzo pociągający z bezpiecznej odległości.

Kiedy przybyłem tutaj dwadzieścia siedem (ZIEMSKICH) lat temu, miałem początkowo wrażenie, że ta PLANETA jest rzeczywiście tak urocza, jaką wydawała się z przestrzeni kosmicznej. Powietrze było ciepłe i świeże, roślinność bujna i słychać było głosy ptaków, ssaków i owadów niezliczonych rodzajów. Wszędzie wokół zwisały wspaniałe owoce. Dominujący gatunek nazwałby to „rajem”, co oznacza, o ironio, piękno i doskonałość B-TIK, zanim pojawił się na niej homo sapiens.

Spacerowałem po małej części tej powierzchni przez chwilę, od czasu do czasu zrywając owoc lub jarzynę i siadając w cieniu drzewa, żeby odpocząć po podróży i nasycić się widokiem tego rozkosznego otoczenia. Jedynym co umniejszało moje zadowolenie, była ogromna intensywność światła, wynikająca z dużej bliskości ich żółtej GWIAZDY. Było to bolesne dla oczu, ale w końcu [uplotłem] z traw i patyków coś, co pozwoliło je osłonić.

Oczywiście wiedziałem o oceanach. Ale wszędzie wokół była nieprawdopodobna ilość wody — rzeki, strumienie, jeziora, bagna, rozlewiska — czasem nawet woda spada z nieba! Jest to bardzo dziwne uczucie, być „na deszczu”, jak to nazywają, ale całkiem przyjemne. Wiele zwierzęcych istot na B-TIK wydaje się potrzebować bardzo dużo wody, piją ją regularnie i pozostają na otwartej przestrzeni, gdy pada z tych nabrzmiętych chmur, które stają się ciemne, kiedy mają dać upust swojej obfitej wilgotności. Niektóre gatunki nawet żyją w wodzie: bezwłose upletwione istoty, które nigdy nie opuszczają jezior ani rzek. Co za obfitość wody!

Kiedy kraj chiny odwrócił się od SŁOŃCA, intensywność światła zmalała i mogłem zdjąć skleconą naprędce osłonę oczu. Z chwilą tej przemiany pojawił się cały nowy zbiór istot, a tamte wcześniejsze udały się gdzieś na spoczynek. Nowo przybyli mieli większe oczy, lepiej przystosowane do widzenia w ciemności. Krążyli, jak tamci, w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. W samej rzeczy wiele istot przez większą część czasu — gdy tylko nie śpią — zajmuje się poszukiwaniem pokarmu.

Całkiem inaczej funkcjonują osobniki sapiens: większą część życia przeznaczają na pracę dla innych ze swego gatunku, aby otrzymać pieniądze, za które mogą nabyć żywność. Kiedy już „dorobią się” prawa do życia, są za starzy, aby się tym cieszyć! [Tu następuje nieprzetłumaczalne niestety

wyrażenie.]

Oprócz zboczeńców trzecią kondygnację zamieszkują ludzie, którzy wolą zjadać [własne odchody] niż dostarczane im posiłki. Pomyślcie tylko, jak to świadczy o tutejszym pożywieniu!

Jak tylko zaaklimatyzowałem się wystarczająco, udałem się do guelph w kraju stany zjednoczone, by odszukać roberta portera, chłopca, który mnie tu wezwał.

Znalazłem go w trakcie pochówku jego ojca, czuł się bardzo strapiony. Pomimo to zaprosił mnie do swojego domu. Tam podarował mi „okulary przeciwsłoneczne” i odzież, żebym włożył ją na siebie (nagie ciało jest uważane za coś szczególnie uwłaczającego przez większość przedstawicieli jego gatunku).

Robert lub robin — tak chciał, żeby go nazywać — był pierwszym napotkanym przeze mnie homo sapiens. Był [kupką nieszczęścia] — załamany zgonem swojego ojca. Potrafiłem zrozumieć, co odczuwał: skrócenie życia to rzeczywiście tragedia, nawet biorąc pod uwagę nieustanne odtwarzanie się WSZECHŚWIATA. Nigdy nie wiadomo, co mogłoby się przydarzyć tej istocie, gdyby jej życie skończyło się we właściwym czasie.

Po tej pierwszej podróży niejednokrotnie odwiedzałem ZIEMIĘ, ale zazwyczaj udawałem się prosto do guelph, nie zwiedzając nic po drodze. Wielkie były jego potrzeby i rozliczne, jak w przypadku większości B-TIKian.

Ostatni cios spotkał roba przed pięcioma laty i musiał on być równie traumatyczny, jak przedwczesny koniec życia jego ojca, bo nawet nie chciał mi nic o tym powiedzieć. Uszanowałem jego decyzję, oczywiście, ale było jasne, że B-TIK to nie miejsce dla niego. Nawet poświęciłem swój czas na próby przekonywania go, by wraz ze mną udał się na K-PAX. Przeliczyłem się jednak. Nawet po solidnej porcji nagabywania nie wy dobył ze siebie niemal ani słowa. Czasami myślę, że wolałby umrzeć, niż stawić czoło temu, co go dręczy. Prawdziwy homo sapiens! Oczywiście, jeśli taki jest jego wybór, mógłbym zabrać ze sobą inną istotę w jego miejsce. Gdziekolwiek przebywaliśmy w czasie tych pięciu ZIEMSKICH okrążeń, nie brakowało chętnych.

Dosłownie prawie wszystkie istoty innych gatunków chciały zabrać się z nami (w większości wyczerpane potrzebą ciągłej czujności). Ale niektórzy z gatunku homo sapiens byli bardziej jeszcze nieszczęśliwi. Niekiedy wręcz przyklejali się do nas, gdy próbowaliśmy się z nimi rozstać. Jeden z nich zagroził, że nas podziurawi małymi pociskami, jeśli go nie zabierzemy. Próbowałem mu wytłumaczyć, że popełnia błąd logiczny, ale on roześmiał się bardzo głośno i zapewnił, że był to tylko żart. Nie przestając parskać śmiechem, chciał mi podarować urządzenie do miotania pocisków. Co według niego miałbym z tym uczynić, nie wiem. Nie czekaliśmy, żeby się tego dowiedzieć.

Inni prosili, błagali i płakali. Pewna kobieta zarzekała się, że się zabije, jeśli ją pozostawimy. Zadziwiająco gwałtowny jest ten gatunek homo sapiens— bardzo podobni do zortów z B-POM (obecnie A-POM).

B-TIK jest młodą PLANETĄ, ma tylko 4,6 miliarda lat. Powstała w zwyczajny sposób, z odłamu rodzącej się GWIAZDY, której towarzyszy. Kiedy wreszcie ostygła, bez przerwy padał z

nieba deszcz, który wypełnił wodą zagłębienia. Tak jak w wielu innych ŚWIATACH, uformowały się szybko jednokomórkowe rośliny i zwierzęta i przez miliony lat panowały niepodzielnie. Stopniowo rozwijały się w organizmy wielokomórkowe, większe i bardziej skomplikowane. Na początku te stworzenia żyły w rozległych morzach. Po jakimś czasie niektóre gatunki przeprowadziły się na ląd i przystosowały do życia poza wodą. Z tych z kolei powstały nowe formy życia w zadziwiającej różnorodności. Na B-TIK istnieje więcej gatunków, wszelkich rozmiarów, kształtów i kolorów, niż na tuzinie innych PLANET razem wziętych! Ewolucja niektórych doprowadziła do powstania naczelnych, a z tych, niestety, jedna gałąź dała początek istotom ludzkim.

Odwiedziłem sześćdziesiąt cztery planety, ale na żadnej z nich nie spotkałem gatunku sapiens. Fled mówiła mi kiedyś, że spotkała kilka takich istot na B-LOD, gdzie zamieszkiwali jaskinie. Ponieważ było tam mało przedstawicieli fauny, żywili się ziarnem i jarzynami. Ona uważa, że ich ŚWIAT może przejść na etap C w ciągu najbliższych paru tysięcy cykli [cykl okrężeniowy K-PAX trwa około dwudziestu naszych lat], ale w wypadku tego gatunku nie można być nigdy niczego pewnym.

Pomimo obfitej roślinności na B-TIK pierwsi przedstawiciele homo sapiens zaczęli zjadać martwe istoty, które znajdowali. Wkrótce potem zabijali inne żywe stworzenia, aby zaspokoić świeżo nabyty smak na mięso. Jednakże w przeciwieństwie do innych istot czynili to nie tylko po to, żeby zdobyć pożywienie, ale również dla przyjemności. To osobliwe odchylenie jest częścią ich natury od samego początku. I w odróżnieniu od pozostałych istot mięsożernych, z którymi zamieszkują ZIEMIĘ, ludzie zabijali o wiele więcej, niż było to potrzebne do ich przeżycia. Po stu tysiącach lat takiego postępowania dziw, że istnieją jeszcze jakieś zwierzęta oprócz homo sapiens na tej PLANECIE. Dokonali nawet eksterminacji własnych przodków!

W amerykańskich lasach 0,62 roku temu spotkaliśmy przypadkiem młodego homo sapiens, myśliwego. „Odpoczywał” po zabijaniu, toteż przeprowadziliśmy z nim interesującą rozmowę. Uważał się za „naturalistę”. Uwielbiał przebywać na łonie przyrody, jak mi powiedział. Zapytałem, dlaczego pragnie zabijać części przyrody, którą „kocha”. Przybrał [zraniony wyraz twarzy] i dał do zrozumienia, że to ojciec i dziadek nauczyli go polowania. Była to tradycja rodzinna. Opisywał wspaniałe chwile spędzane wspólnie we trójkę do czasu, aż los zrządził, że jego antenaci nie mogli już brać udziału w polowaniach. Jedną z jego pasji były podróże do innych krajów, by tam próbować zdobyć myśliwskie „trofea”.

Powiedziałem mu, że jestem naukowcem badającym moc światła. Dałem mu lusterko. Pokazałem, jak należy je trzymać, i ustawiłem go w odpowiednim kierunku. Cofnąłem się, a kiedy promienie słońca padły na zwierciadło, poleciał na C-DAK, gdzie dominującym gatunkiem są wielkie, złośliwe mięsożerne istoty, występujące w nieprzebranych ilościach. Nie wątpię, że przeżył tam wiele wspaniałych chwil.

Moje podróże na ZIEMIĘ pozwoliły mi zgłębić istotę genetycznego defektu homo sapiens: przejawia się on mianowicie powstrzymaniem ich rozwoju i dojrzewania. Oto czego dowiedziałem się z ich własnego słowa pisanego oraz od żyjących osobników innych gatunków, którym udało się przetrwać.

Podobnie jak dominujące istoty niektórych innych PLANET klasy B, osobnicy homo sapiens

od samego początku postrzegali siebie jako istoty ważne same w sobie, zamiast jako maleńką cząstkę czegoś większego i ważniejszego.

W razie konieczności wyboru pomiędzy własnym życiem a przetrwaniem innych tego samego gatunku, niezmiennie ratowali własną skórę. Ta koncentracja na sobie rozszerzała się na kształt piramidy na członków rodziny, a dalej plemienia, wszystko w imię przetrwania. Własna rodzina stała się ważniejsza od wszystkich innych rodzin, własne plemię od wszystkich innych plemion. W dalszej kolejności, gdy ludzka populacja rosła i organizowała się w coraz większe jednostki, broniono własnego regionu przed innymi regionami, a własny kraj ceniono ponad wszystkie inne. Na spodzie piramidy znajdowała się populacja homo sapiens całego ŚWIATA. A dopiero poniżej ich PLANETA i cała reszta WSZECHŚWIATA.

Ich religie (wiara w potężnych, niewidzialnych bogów) potwierdzały, że to oni są w centrum wszystkiego, co istnieje. Uważali się za najważniejszy gatunek nie tylko na ZIEMI, ale w całym KOSMOSIE. Jeśli prawdą okazałaby się teoria WIELU WSZECHŚWIATÓW, przedstawiciele sapiens niewątpliwie uznaliby, że stanowią centralny ośrodek ich wszystkich.

Oprócz zбочeńców i pożeraczy [gówien] w ipm jest wielu innych pacjentów. Niektórzy z nich są całkiem zadowoleni ze swojego [losu] i nic im nie brakuje do szczęścia. Inni wołają o ratunek w każdej chwili swego okropnego życia. Wyciągnąłem z tego wniosek, że mieszkaniec B-TIK uznawany jest za wariata, jeśli znajduje się na którymkolwiek z biegunów skali szczęścia. Inaczej mówiąc, i tak źle, i tak niedobrze.

Wysłuchiwałem nieszczęśników z tego gatunku po kilka godzin dziennie. W wielu przypadkach byłem pierwszą istotą, która zastanawiała się nad ich ciężkim położeniem i nad tym, z jakiego powodu zostali uwięzieni w szpitalu. Zamiast tego ich „lekarze” woleli wypróbować różne leki, jeden po drugim, żeby ich „unormalnić” i przywrócić na łono kierującego się przemocą i egoizmem społeczeństwa, które najczęściej było podstawową przyczyną ich problemów.

Na przykład pacjent howie został zaklasyfikowany jako „obsesyjno-kompulsywny”, ponieważ pragnąc zadowolić swego bardzo wymagającego ojca, chciał pojąć wszystko, co tylko można, na temat bytu. Godne podziwu dążenie, ale chyba trochę za wielkie jak na jedną ludzką istotę.

Głód wiedzy nie nęka większości ludzi, którzy wolą spędzać czas, oglądając „sport” lub „seriale komediowe” z elektronicznych wideoprzekazników, wyjaławiających ich umysły. Prawdę mówiąc, właśnie te programy uświadomiły mi zaślepienie homo sapiens pożądaniem seksualnym. Prawie wszystko, co pokazywane jest w „telewizji”, tego tylko dotyczy, a już na pewno nie problemów polityki i środowiska — powiedziano mi, że takich programów nikt by nie oglądał.

Pacjent ernie trafił tutaj, bo chorobliwie boi się umierania. Lęk przed tym nieuniknionym procesem wydaje się zaprogramowany u wszystkich homo sapiens, ale może nie aż w tak niszczącym stopniu jak u erniego. Większości ludzi udaje się tłumić przerażenie aż do chwili, gdy stają twarzą w twarz z tym problemem — wtedy następuje eksplozja stłumionych emocji i „dostają fioła”, używając barwnego określenia homo sapiens. To właśnie ten niepokój spowodował następny etap w ewolucji człowieka — odwoływanie się do krzepiących wierzeń, aby uciszyć tego rodzaju lęki.

Początkowo istoty te sądziły, że potężne bóstwa muszą być wszędzie (choć nikt ich nie widział), miały bóstwo na każdy strach, a potem i na każdą potrzebę. Kiedy homo sapiens zaczął uprawiać handel wymienny ziarnem lub mięsem, przyszło mu do głowy w kolejnej chwili „natchnienia”, że jego bogowie również mogą pójść na wymianę tego rodzaju. Zaczęto im więc ofiarowywać pokarm i odzież w zamian za sprzyjającą pogodę, za uleczenie choroby lub zagojenie ran. Mało kto zauważył, że bogowie nigdy nie przyjmują tych darów, ani też że pogoda pozostaje jak wcześniej przypadkowa, że SŁOŃCE codziennie „wschodzi” i „zachodzi”, deszcz pada lub ustaje niezależnie od czegokolwiek, a rzeki wylewają z brzegów w regularnych odstępach czasu. Ale dla tych istot wierzenia są tym samym co prawda — przekonanie przekazywane z pokolenia na pokolenie przez tysiące lat. (Warto zwrócić uwagę, że ludzie dzisiejszych czasów nadal mówią o „wschodzie” i „zachodzie” swojej GWIAZDY. Jest to dobrym przykładem, jak głęboko i trwale zakorzeniają się tego rodzaju błędne spostrzeżenia, jeśli już staną się częścią przekonań ludzkich istot.)

Jeszcze jednym szczególnie błędnym ich mniemaniem jest, że serce stanowi siedlisko wszelkich uczuć. Jeśli człowiek jest okrutny, mówią, że jest „bez serca”. Często powiadają, że kochają kogoś „całym sercem”. „Czują sercem”, „tracą serce” i dążą do tego, czego „serce zapragnie”. Zastanawiające, co dzieje się z tymi uczuciami „z głębi serca”, gdy dokonuje się przeszczepu tego narządu.

Koniec części pierwszej

Pewna kobieta z kraju francja opowiedziała nam o tym, jak została zabrana na pokład [statku kosmicznego], gdzie była molestowana seksualnie przez przebywające na nim istoty. Zwróciłem jej uwagę, że żaden statek kosmiczny nigdy nie odwiedził ZIEMI ani żadnej z pobliskich PLANET. Zdjęła część garderoby i pokazała robowi i mnie, w których miejscach była gwałcona: pod pachami, z tyłu kolan i na czubku głowy. Mocno wierzyła, iż jest w ciąży z maleńkimi istotami z zaświatów. Prosząc, byśmy ją odwiedzili raz jeszcze, pozostawiła nam swoje odzienie i niby odjechała na niby-rowerze.

Zdziwilibyście się, jak wielu jest na B-TIK podobnych do niej przedstawicieli homo sapiens.

Podobnie jak u innych zwierzęcych istot, przywódcą zostawał najsilniejszy członek plemienia sapiens, to on podejmował decyzje i prowadził wymianę handlową z innymi grupami. Osobniki płci żeńskiej, które rodziły i wychowywały dzieci, rzadko dochodziły do rangi lidera. Ta tradycja — jak i wiele innych — przetrwała wiele tysięcy lat.

Ale najsilniejszy wcale nie musiał być najbardziej rozgarnięty. Osobnicy bardziej uzdolnieni od pozostałych przejmowali kontrolę nad tajemniczymi i budzącymi lęk aspektami niełatwego życia — wytworzył się trudny układ partnerski pomiędzy przywódcami plemienia i tymi, którzy twierdzili, że potrafią porozumiewać się z bogami. Ci „kapłani” wyspecjalizowali się w obłaskawianiu bóstw i posiadli umiejętność tłumaczenia powodów ich niezadowolenia. W zamian za tak ważną posługę przywódcy duchowi zdobyli szacunek, wygodę i bezpieczeństwo, zwolnieni od przykrew konieczności wykonywania jakiegokolwiek pracy. To również trwa bez zmian do chwili obecnej.

Dzisiejszego dnia howie wypatrzył modrą srokę — „ptaka szczęścia”. Wiedziałem, że to

zadanie pozwoli mu przestać myśleć o konieczności zdobycia całej wiedzy o jego ŚWIECIE. Był tak podniecony, iż myślałem, że się posusia. Zdziwiło mnie, że inni pacjenci byli tym równie przejęci jak on sam. Na ich twarzach malowała się prawdziwa radość, kiedy howie przebiegał korytarze, głosząc tę nowinę. Pewien jestem, że byli zachwyceni, widząc szczęście drugiego sapiens. I w miarę jak rosła radość, czuli się coraz bardziej szczęśliwi! Bardzo interesujące zjawisko, nieprawdaż?

Ta wszechobejmująca radość, doświadczana przez pacjentów, przypomina przeżywaną przez inne zwierzęce istoty, które nie należą do homo sapiens. Nastrój chwili pochłania je w zupełności, żadne troski przeszłe i przyszłe nie istnieją. Wszystkie istoty ZIEMI (z wyjątkiem ludzkich) żyją w ten właśnie sposób — chwilą obecną. Ptaki na wiosnę (okres czasu pomiędzy zimnymi i ciepłymi miesiącami na ZIEMI, kiedy to oś ZIEMSKA zaczyna przechylać się w kierunku SŁOŃCA) dowodzą tej zasady w sposób oczywisty. Na całej PLANECIE śpiewają w głos i każda cząsteczka ich istoty włącza się w ten śpiew. Nie frasują się tym, czy życie ma sens albo czy bogom podoba się ich muzyka. Ich radość się udziela i odczuwa ją każde zwierzę, nawet niektórzy spośród homo sapiens.

To samo dotyczy innych istot. Widziałem wieloryby [prujące] fale, jedynie w celu przeżycia ekstazy, która temu towarzyszy, małpki skaczące radośnie z drzewa na drzewo i wilki tarzające się z rozkoszą w promieniach SŁOŃCA. Ich radość jest tak intensywna, że wręcz trudno jest mi ją opisać.

Ludzkie dzieci także przeżywają takie niczym nie pohamowane szczęście, aż do czasu kiedy zostaną nauczone „realiów” ich ŚWIATA.

Sapiens wprowadzają stosunek seksualny nawet do codziennej mowy. Ludzie na całej B-TIK, a w szczególności osobniki płci męskiej tego gatunku, określają wszystko jako „pierdolone”. Pierdolone to, pierdolone tamto. Wykonują swoją pierdoloną pracę i idą do domu do swych pierdolonych żon i wynoszą pierdolone śmieci. Ich dzieci bardzo szybko to podchwytyją. Czy to dziwne, że doskwiera im ciągle taka pierdolona nuda?

Pisałem wcześniej o stworzeniu bóstw na każdą potrzebę i każdy lęk. W miarę upływu czasu następował podział ról. Ci kapłani, którzy zdobyli doświadczenie w leczeniu chorób i ran (z pomocą bogów), zostali lekarzami. Jednostki plemienne — zwłaszcza jeśli były duże lub posiadały szczególnie silnego przywódcę — nauczyły się, że mogą wykorzystywać mniejsze plemiona przy użyciu siły, a bardziej wojowniczy członkowie takich grup stali się ekspertami od „sztuki” wojennej. W ten sposób mniejsze ugrupowania zostały włączone do większych jednostek, aż pokaźne terytoria znalazły się pod kontrolą tego czy innego plemienia. Wytworzyły się oddzielne krainy otoczone rzekami lub górami i w związku z tym łatwe do obrony przed innymi homo sapiens, a z tych w końcu powstały wielkie i potężne narody.

Mało kto kwestionował autorytet przywódców czy też kapłanów, biegłych w medycynie lub dowódców wojskowych. Dzieci uczono stosowania technik walki, zwykle w formie „gier i zawodów”. Ci, którzy wygrywali w tych konkursach, tworzyli przyszłą kadre generałów. Szczególnie biegli w rozpoznawaniu oznak choroby lub przyrządzaniu skutecznych lekarstw zostawali naukowcami. Ci, którzy mocno wierzyli lub udawali, że wierzą, iż bogowie dadzą się obłaskawić za pomocą takich czy innych recytacji lub składanych im ofiar, zostawali duchownymi. Zadaniem pozostałych była praca na rzecz plemienia lub regionu. I tak dzieje się od tamtych czasów do teraz i

wszystko wskazuje na to, że będzie tak dalej, dopóki ludzkie istoty dominują na ZIEMI.

Jest jednym z ulubionych mitów na B-TIK, że przedstawiciele sapiens szybko zapomnieliby o swoich poszczególnych krajach i zjednoczyli się w obliczu inwazji istot z innego ŚWIATA.

Samo to powinno wam wiele powiedzieć o tym gatunku.

Ponieważ K-PAXianie nie dyskutują na tematy pozbawione logicznego uzasadnienia, takie jak religia, sprawy rodzinne, sport i tym podobne, które zajmują sapiens przez prawie cały czas, doktor gene spytał mnie dzisiaj, jakie mamy tematy do rozmów. Żadne ze wspomnianych przeze mnie zagadnień, jak na przykład inne WSZECHŚWIATY, zbytnio go nie interesowało. Jeśli to nie mogło go zainteresować, to co mogłoby? Uświadomiłem sobie, że rzeczywiście najwyższy czas opuścić ZIEMIĘ. Jeśli zostaną trochę dłużej, to mogę skończyć tu, gdzie jestem.

To jest jedna z wielkich zagadek dotyczących ludzkich istot — ich ogromna obojętność wobec powstania KOSMOSU, SŁOŃCA, ZIEMI, tego, skąd wzięło się życie — krótko mówiąc, wobec prawie wszystkiego, co dotyczy ich bytu. Hołdują ignorancji i wolą żyć w czymś w stylu Mrocznych Czasów. To zadziwiające w wypadku „myślącego człowieka” (zwłaszcza takiego, który ponoć czci to, co stworzyli bogowie), prawda? Jak zrozumieć gatunek pozbawiony ciekawości i podziwu?

Reszta GALAKTYKI wie o wszystkim, co się tutaj dzieje, jednakże ci z gatunku sapiens, o dziwo, wcale się tym nie przejmują. Najwyraźniej nie mają poczucia wstydu. Ani humoru. Kiedy opowiedziałem mojemu [terapeucie?] ZIEMSKI kawał, który słyszałem na I-RUD (Pytanie: Dlaczego kura przebiegła drogę? Odpowiedź: Gonił ją sapiens z siekierą), nie wywołało to nawet cienia uśmiechu.

Mimo wszystko znaleźliśmy kilka krajów bardziej podobnych do K-PAX niż pozostałe. Jednym z nich była szwecja, gdzie sapiens traktują siebie nawzajem z większym szacunkiem niż w innych miejscach na ZIEMI. Są mniej wojowniczy i bardziej skłonni patrzeć na innych ludzi jak równych sobie, a istot, które nie należą do ich gatunku, nie traktują jak przedmioty martwe, w każdym razie w mniejszym stopniu niż pozostali.

Ale odwiedziny nawet najlepszych krajów B-TIK zawsze wzbudzają we mnie tęsknotę za K-PAX, gdzie życie dobre jest dla każdego, niezależnie od jego koloru czy liczby nóg. Gdzie nie ma strachu, przemocy ani chciwości — nie ma rządów ani propagandy religijnej, a każda istota jest szczęśliwa w prawie każdej chwili swojego istnienia. Gdybym miał scharakteryzować PLANETĘ ZIEMIĘ jednym słowem, nazwałbym ją „ponurą”.

Zagadka: Czy kogoś to martwi?

Oprócz boga zwanego „jesus chrystus”, z niewiadomych powodów podopiecznego wielu psychiatrycznych instytucji na B-TIK, w instytucie znajduje się szereg osobliwych typów umysłowości. Jedną z pacjentek wydawała się inną osobą prawie za każdym razem, kiedy ją spotykałem — ofiara czegoś, co się nazywa „zespołem wielorakiej osobowości”. Było to najwyraźniej skutkiem wykorzystywania seksualnego. Dziwny to fenomen w ŚWIECIE, gdzie każdy

taki akt polega na wykorzystywaniu, a jednak prawie wszyscy (lub wszystkie) poświęcają sporo czasu, aby zaspokoić tę ewidentną ich potrzebę.

Przez jakiś czas było dla mnie zagadką, dlaczego defekty genetyczne homo sapiens przejawiają się permanentnym brakiem rozwoju od 100 000 lat, a może i dłużej. Ale po rozmowach z szeregiem ludzi w różnych miejscach PLANETY zacząłem dostrzegać pewien powtarzający się syndrom złego samopoczucia, wręcz apatii. Znowu wygląda na to, że ma to związek z lękiem.

Młodzi ludzie uczą się bać nie tylko tych rzeczy, które mogłyby zakłócić ich uporządkowane życie, ale również tego, co zagraża samemu temu porządkowi. Krótko mówiąc, uczą się dostosowywać, a rodzice, którzy nie potrafią im tej cechy wpoić, są uważani przez innych dorosłych za nieudaczników. Dzieci są chwalone, kiedy wygłaszają dogmaty, które im wprano do mózgu, a ostracyzowane, gdy tego nie robią. Są programowane od samego początku, aby zachowywać się tak jak wszyscy inni — niczym roboty z ciała i krwi. (Zajmującą rzeczą byłoby zbadać, czy ta łatwość zaprogramowania nie jest jeszcze jednym odchyleniem genetycznym tego gatunku. Czy ktoś byłby tym zainteresowany?)

Rozpaczliwie usiłując udowodnić mi, że jestem tylko człowiekiem, gene próbował mnie nakłonić, żebym mu powiedział, w jaki sposób podróżuje się na promieniu światła i dokonuje zimnej syntezy nuklearnej. Gdy odmówiłem, orzekł, że nie potrafimy robić żadnej z tych rzeczy. Jak więc, według niego, mógłbym się tutaj znaleźć?

Opowiedziałem mu, jak toczą się losy WSZECHŚWIATA, ale chyba w to też nie uwierzył — może dlatego, że perspektywa przeżywania swojego życia raz jeszcze nie była mu miła. W tym momencie zacząłem trochę rozumieć jego własną tragiczną historię. Krótko mówiąc, został wychowany przez swoich rodziców. Gdybym był człowiekiem, prawdopodobnie również nie chciałbym przeżywać swojego życia jeszcze raz od początku.

Roboty kształcące roboty. Nazywają to na B-TIK „szkołami” — są to miejsca, gdzie dzieci muszą chodzić od piątego do osiemnastego roku życia, choć żadne z nich tego nie chce.

Oto niektóre rzeczy, jakich „uczają” je w tych pudełkach:

- że jest rzeczą ze wszech miar przyjętą, aby zabijać i zjadać inne istoty lub by ich używać do jakichkolwiek innych celów, które przyjdą komuś do głowy;
- że ich historia składa się z niekończących się wojen pomiędzy nimi i że istotne jest nie unikanie tych konfliktów, ale wygrywanie ich;
- że nauka polega na wyuczeniu się niezliczonych faktów;
- nie tylko że pieniądze są nieodzowne, ale też że „kapitalizm” jest jedynym skutecznym systemem gospodarczym;
- że praca jest moralną koniecznością;
- że własny kraj jest najlepszy na ZIEMI;

- że rodzenie dzieci jest nie tylko rzeczą dobrą, ale i oczekiwaną;
- że najważniejszym celem każdej szkoły jest pokonywanie uczniów innych tego rodzaju instytucji w bezmyślnych zawodach.

To nie żart! A oto parę spraw, których w szkołach nie uczą:

- jak zapobiec degradacji i całkowitemu zniszczeniu jedynej PLANETY, którą zamieszkują;
- że życie innych istot poza ludzkimi jest samo w sobie wartością;
- że najbogatsi spośród nich, i dlatego potężni, wykorzystują inne istoty ludzkie do własnych celów;
- jakie są rzeczywiste potrzeby żywieniowe człowieka;
- jak akceptować różnice i rozwiązywać konflikty między krajami;
- że przemoc wobec jakiegokolwiek istoty — czy rzeczywista, czy „udawana” — prowadzi do przemocy w stosunku do współbratymców.

Zadziwiające, ale w większości szkół nie dyskutuje się na temat religii. Mity sapiens są głęboko wtłoczone w ich świadomość, zanim dotrą do swoich szkolnych pudełek, i nie znoszą oni (boją się) kwestionowania ich własnych krzepiących dogmatów przez zwolenników którejkolwiek z innych 10 000 odmian wierzeń.

Na K-PAX byłoby to tak, jakby ktoś jadł tylko jeden rodzaj ziarna, uważając, że inne nie istnieją, aż skończyłoby się to śmiercią.

Pielęgniarka betty przyniosła futerkową istotę podobną do forgala, która jak wszystkie zwierzęta nie należące do gatunku sapiens nie miała do ludzi zaufania. Kociak przebiegł przez świetlicę i wskoczył mi na kolana. Jakaż to fascynująca istota! Drży ze szczęścia przy najbliższym dotyku. Bardzo uczuciowa, choć udaje, że taka nie jest — podobnie jak wiele ludzkich istot tutaj.

Kiedyś napotkałem pewnego sapiens, który zgubił syna w centrum handlowym (miejsce, gdzie kupuje się wszystkie niepotrzebne towary produkowane na B-TIK, przy akompaniamencie bardzo głośnej muzyki). Szalał ze zmartwienia. Chłopca nietrudno było znaleźć — był jedynym dzieckiem, które się wałęsało z mokrymi oczami. Gdy go przyprowadziłem, ojciec ukrył gdzieś swój strach i sprawiał wrażenie bardzo rozgniewanego na chłopca.

Dlaczego te istoty boją się okazywać swoje prawdziwe uczucia? Czy myślą, że inni z gatunku sapiens to wykorzystają? Albo może każdy z nich cierpi na swoisty zespół wielorakiej osobowości?

Centrum handlowe, nawiasem mówiąc, aż kipiało od młodych ludzi. Co to za ŚWIAT, gdzie uczący się dorosłości nie mają innych zainteresowań niż kupowanie przyodziewku i [kosmetycznych świecidełek]?

W ciągu kilku ostatnich lat odwiedziliśmy z robem szereg miejsc, w których są trzymane lub zabijane istoty nie należące do gatunku ludzi — ogrody zoologiczne, rzeźnie, cyrki, [zagrody dla bydła], laboratoria „naukowe”. We wszystkich wypadkach przeżycia zwierząt były uderzająco zgodne: dlaczego nas trzymają w zamknięciu; tęsknię za swoją rodziną; czego bym nie dał za kęs świeżej trawy itd. Sytuacja godna pożałowania dla wszystkich z wyjątkiem ich „posiadaczy”.

Mimo to żadna z więzionych i źle traktowanych istot nie czuła gniewu do tych, którzy je zniewolili. Chciały tylko wrócić do siebie. Wiele psów i kotów mówiło mi, że postarałyby się lepiej zachowywać, gdyby im dano jeszcze jedną szansę. Słonie czasem kierowały swe trąby ku niebu i trąbiły żałośnie. Wielkie małpy człekokształtne często same się okaleczały. Łzy wielorybów splukiwała woda i nikt ich nawet nie zauważał. Świnki i krowy nie mogły uwierzyć, że czeka je śmierć, nawet gdy słyszały krzyki swych poprzedniczek. Gdyby przedstawiciele homo sapiens wyłączyli swe telewizory i inne hałasujące urządzenia, choćby na jedną minutę, może poczuliby cierpienie i usłyszeli gromadne błaganie wszystkich [uwięzionych] zwierząt na całym świecie, wołających jednym głosem „Po ódźmy się [co było, to było?] — prosimy, wypuście nas!”

Może część problemu tkwi w tym, że sapiens nie zaliczają siebie do kategorii zwierząt. Czyżby uważali się za rośliny?

Jeszcze jeden cudowny owoc — granat. Jakby tysiąc małych GWIAZDEK naraz eksplodowało w ustach! Ze wszystkich dobrych rzeczy na ZIEMI wspaniała różnorodność owocowych smaków należy do najlepszych.

Dzisiaj gene próbował na mnie czegoś, co nazywa „hipnozą”. Kiedy sztuczka nie zadziałała, poprosiłem go, żeby mi wytłumaczył, co chce przez to osiągnąć. Usiłował to zrobić, ale miałem wyraźne wrażenie, że sam nie bardzo rozumie tę procedurę. Mimo to chce spróbować jeszcze raz, kiedy znowu się spotkamy!

Jedna z alternatywnych „osobowości” marii zaproponowała mi, bym spędził z nią „cudowne chwile” dzisiejszej nocy. Przyszło mi do głowy, że nacechowane przemocą traktowanie istot nie należących do gatunku sapiens może mieć związek z jej stanem. Niewykluczone, że ludzie czerpią swego rodzaju satysfakcję krzywdząc inne istoty.

Metody, którymi posługują się możni i potężni, aby utrzymać [status quo], są całkiem przemyślnie (jak na sapiens). Kamieniem węgielnym jest sam system gospodarczy. Zachęca się ludzi, by kupowali niepotrzebne produkty, aby podniósł się poziom ich wygód, żeby mogli zaimponować swoim współpracownikom z gatunku sapiens, a tym samym wkładali pieniądze do systemu, ażeby ich własne interesy mogły rozkwiatać. Kładzie się wielki nacisk na „promowanie budownictwa” i „krajowy produkt brutto”, które stają się celami samymi w sobie. Jedno i drugie w sposób naturalny wynika ze wzrostu ludzkiej populacji, który napędza koła maszyny ekonomicznej. Czy można się dziwić, że ich przywódcy nie próbują przeciwdziałać produkowaniu coraz to większej liczby dzieci, bez względu na skutki dla PLANETY?

Następna grupa pacjentów na trzeciej kondygnacji to tak zwani „autystycy”. Są to istoty, które nie potrafią znieść rozmowy z innymi sapiens, nie mogą nawet ścierpieć patrzenia na nich. Może są to najzdrowsi ze wszystkich ludzi.

Czytałem kiedyś B-TIKiańską książkę nazwaną Podróże Guliwera. Jej autor trafił w sedno.

Zadanie urzędników państwowych polega na tym, żeby utwierdzać swoich wyborców w lęku przed utratą pracy, niezbędnej do zarabiania pieniędzy. Widać to w czasie każdej kampanii wyborczej, kiedy to politycy wszelkiej maści obiecują więcej stanowisk pracy (wszystko jedno jakiej), niż potrafiliby zaproponować ich przeciwnicy. Jednocześnie każdy z nich obiecuje, że obniży podatki od dóbr i zarobków, aby było jeszcze więcej pieniędzy na kupowanie jeszcze bardziej niepotrzebnych urządzeń.

Pytanie, które z pewnością wam się wszystkim nasuwa, brzmi: dlaczego ci, którzy wykonują najwięcej pracy (za minimalny ułamek zysków), nie odmówią wykonywania jej? Albo przynajmniej nie zagłosują, żeby podnieść podatki bogatym, które pokryłyby wydatki na zaspokojenie potrzeb reszty społeczeństwa. Odpowiedź: Ich przywódcy nęcą ich nadzieją, że oni też mogą być bogaci, jeśli będą wystarczająco ciężko pracować albo jeśli uda im się wygrać w którejś z gier hazardowych, popieranych przez państwo.

Jest pora na lunch. Mam nadzieję, że nie podadzą znowu perfumowanej chrząstki.

Jedną z najbardziej niezwykłych rzeczy na B-TIK są kwiaty. Występują one również w innych miejscach w GALAKTYCE, ale nigdzie nie ma takiej ich obfitości i różnorodności jak tutaj. Ich zadaniem jest przyciągnąć owady, aby te przeniosły [komórki rozrodcze] na receptory innych roślin z ich gatunku. Na ZIEMI nawet rośliny owładnięte są przez seks!

Drzewa również są okazałe. Oczywiście mamy ich trochę na K-PAX, takich, które nie potrzebują dużo wody, ale w o wiele mniejszej liczbie aniżeli te pokrywające wciąż jeszcze wielkie obszary tej PLANETY, mimo iż ciągle ich ubywa z powodu ludzkiej działalności. Jestem pod szczególnym wrażeniem takich z czerwonego drewna, które są bardzo twarde i żyją tysiące lat. Nawet ludzkie istoty mają przed nimi respekt. Inne ich rodzaje, choć nie tak wysokie, są równie piękne, zwłaszcza Jesienią” (przeciwieństwo wiosny). O tej porze roku kolory ich liści konkurują z kolorami kwiatów. [Hologramy?] w bibliotekach nie oddają całej intensywności widoków, odgłosów i zapachów pól i lasów. Myślę, że po powrocie spróbuję je przeprogramować.

Może przywiozę próbkę ich aromatycznej gleby. Będziecie mogli ją wąchać, tylko cierpliwości!

Pewną cechą charakterystyczną sapiens [która umniejsza ich wady] jest to, że niekiedy nawet wydają się świadomi swej absolutnej głupoty. Uwielbiają śmiać się z innych, a nawet z siebie samych. Widywałem we wszystkich krajach takich sapiens, którzy śmiali się z siebie aż do łez.

Bogata różnorodność fauny także jest zdumiewająca — istoty wszelkich kształtów i rozmiarów, jakie tylko można sobie wyobrazić. Liczba samych tylko gatunków [chrząszczy?] jest oszałamiająca, a mają milion różnych wzorów i kolorów. Nigdzie indziej nie widziałem czegoś podobnego w całej GALAKTYCE.

Ogólnie biorąc, owady dla gatunku sapiens to coś pogardzanego, co należy uderzyć, otruć, nadepnąć przy każdej nadarzającej się okazji. Poza tym większość ludzi niewielką zwraca uwagę na

niezwykłą tęcza opalescencją chrząszczy, na zdumiewającą różnorodność innych gatunków zwierząt czy też na bogactwo i intensywność kolorów wiosennych kwiatów i jesiennych liści lub na samą ZIEMIĘ.

Czasem myślę sobie, że nie wiedzą, co posiadają.

Ernie, pokonawszy lęk przed śmiercią dzięki temu, że howie pokazał mu, jak ona wygląda, jest gotowy do wejścia w szerszy ŚWIAT. Ale powstał nowy problem (zawsze musi być jakiś w przypadku sapiens): pomimo wielu lat, które spędził pod kluczem w szpitalu, nie chce go opuścić. Nie dlatego żeby się bał, co go spotka poza tymi murami. On chce zostać i pomagać innym pacjentom.

Nigdy się nie wie, co te ludzkie istoty zamierzają następnie uczynić!

Sapiens po większej części miłują wojnę, choć twierdzą co innego. Słyszycie się to w ich „hymnach narodowych”, dostrzega w otaczaniu opieką starych pól bitewnych i narzędzi zniszczenia oraz w ich upodobaniu do filmów pokazujących „krew i flaki”, jak to mówią, z czasów kampanii wojennych. Wznoszone są pomniki, a parady wojskowe odbywają się nawet podczas pełnych spokoju dni świątecznych. Ale ich propaganda jest jeszcze subtelniejsza. Wojna i walka wrosły głęboko w ludzkie myślenie, na podobieństwo długich korzeni w żyznej glebie. Oni „zwalczają” dosłownie wszystko, od próchnicy zębów aż po raka, „wypowiadają wojnę” nędzy i narkotykom, „pokonują” przeciwników w grach i konkursach każdego rodzaju, kiedy to grane są ich hymny, a ich flagi (malowane kawałki płótna oznaczające ten czy tamten kraj) pilnowane przez uzbrojonych żołnierzy. Ludzie walczą nawet o prawo do noszenia broni!

Religie stanowią kluczowy składnik tego programu, jak również cała literatura sapiens, opisująca wypędzanie tego lub owego wroga z rozmaitych terytoriów. Ale najzabawniejsze lub raczej najżałośniejsze w tym wszystkim jest to, że każdy rządowy czy religijny przywódca przyrzeka swym [wyborcom], że określone bóstwo będzie po ich stronie zarówno w wielkich bataliach, jak i w małych starciach. Wyobraźcie sobie — każdy z dwustu krajów ZIEMI posiada takiego lub innego boga (niekiedy tego samego!), broniącego jego żołnierzy od zła i zapewniającego ostateczne „zwycięstwo”. I tak było zawsze od zarania.

Ale właśnie nadchodzi pacjent kurczak...

Kurczak potrzebował znów [wyładować się] na mnie. Wydaje się to przynosić mu ulgę, tak jak i wszystkim innym pacjentom. To musi być czymś w rodzaju przecinania wrzodu.

Na całej B-TIK narosło coś w rodzaju segregacji ekonomicznej. Tym, którzy są odmienni od większości, zezwolono na wykonywanie tylko najmarniej płatnych zajęć, uważanych przez większą część ludzi za męczące i wstrętne. Narosły gniew i frustracja, a ci, którzy znajdują się na samym dole skali, usiłują przywrócić równowagę zabierając siłą to, co im jest potrzebne, od bogatszych sapiens. W wyniku tego wielu spośród nich umieszczono w zamkniętych pudłach, poza zasięgiem wzroku cieszącej się dobrobytem większości.

To błędne koło powraca podczas wyborów urzędników, którzy przyrzekają swym [wyborcom] „nieustępliwość wobec przestępstw” (przestępców). Rzadko któryś z nich wykazuje

chęć zbadania przyczyn frustracji, a jeżeli to czyni, przegrywa zazwyczaj w następnych wyborach. Jego wyborcy i tak już znają te przyczyny i mało są zainteresowani rozwiązaniem problemów za cenę utraty miejsca pracy lub wzrostu podatków. Jest to i tak wystarczająco kosztowne, wieść wygodne życie i pokrywać koszt pudeł, w których zamyka się przestępców, bez wydatkowania większych jeszcze ilości pieniędzy w celu wyeliminowania frustracji. Te pudła są tańsze i z jakichś powodów dostarczają więcej powodów do zadowolenia.

Koniec części drugiej

Mogłem wywołać wrażenie, że cały ludzki gatunek jest „kawałkiem gówna” (kolejne barwne określenie używane na B-TIK). Nie jest to prawdą. Niektórzy spośród sapiens są bardziej K-PAXiańscy ode mnie, ze swym pokojowym usposobieniem i swoją empatią. W naszych podróżach z robem spotykaliśmy ludzi, którzy dzielili się z nami wszystkim, co posiadali. Inni poświęcali większość życia na dochodzenie sprawiedliwości dla swych pobratymców pokrzywdzonych przez innych, bardziej bezwzględnych. Rośnie liczba sapiens zatroskanych losem innych, spoza ich gatunku, i losem samej ZIEMI. Te istoty byłyby mile widziane na K-PAX czy jakiegokolwiek innej PLANECIE. Tutaj, niestety, pozostają ułamkową częścią.

W samej rzeczy ludzkie istoty w większości są bardzo przyjazne i dają się lubić, każda z osobna. Problem pojawia się dopiero wtedy, kiedy się zrzeszają. Najgorsze ich cechy nasilają się w większych społecznościach, w których zawsze wydają się przeważać ich egoistyczne pragnienia. Myślę znowu, że to chyba wiąże się z lękiem. Ten, który dominuje, wydaje się onieśmielać słabych i troszczących się o innych, a oni boją się utracić to niewiele, które posiadają. To paradoks swoisty wyłącznie dla homo sapiens.

Kolejna zagadka do rozwiązania dla następnego przybysza z K-PAX.

Na kondygnacji czwartej znajdują się sapiens, którzy czują potrzebę wyrządzenia krzywdy innym z ich gatunku. Jednakże poza tymi murami przebywa znacznie więcej takich istot, które zajmują się produkcją tytoniu albo mięsa, albo broni wszelkiego rodzaju, od której tysiące ludzi giną codziennie. [Tutaj znów nieprzetłumaczalne wyrażenie.]

Sapiens lubią usprawiedliwiać swoje postępowanie wobec innego rodzaju istot, powołując się na swój „wyżej rozwinięty” mózg. Myślałem, że umrę ze śmiechu, gdy to usłyszałem po raz pierwszy. Któż może być głupszy od istot, które niszczą swój własny dom dla niskich i krótkotrwałych korzyści, zwłaszcza gdy nie mają już dokąd pójść?

W istocie większość ludzi wydaje się przejawiać głęboką i nieodpartą potrzebę poczucia wyższości nad kimś innym — kimkolwiek. Przez sto tysięcy lat samce tego gatunku stawiały się wyżej od samic, a obdarzeni jaśniejszą skórą ogłaszali, że są lepsi (w czym?) od ciemnoskórych. Te fałszywe opinie straciły na wadze w ostatnim czasie, choć nadal dają o sobie znać w całym ich niewielkim ŚWIECIE. Ale odczuwane przez gatunek sapiens poczucie wyższości nad współmieszkańcami ich ZIEMI jest nieubłagane podtrzymywane do chwili obecnej.

Ludzkie dzieci są karmione mlekiem innych zwierząt, niekiedy od pierwszych chwil życia.

Gdy już potrafią jeść stałe pokarmy, otrzymują je w postaci mięsa w małych słoiczkach. Później są żywione mięsiami i narządami istot wszelkiego rodzaju, co często eufemistycznie ukrywa się pod inną nazwą (na przykład „hamburger”, albo „hot dog”, na określenie przemielonego mięsa). Dopiero po wielu latach dzieci uświadamiają sobie, co dostawały do jedzenia, ale wtedy jest za późno, by zmienić nawyki, zwłaszcza że wciąż kusi się je mięsnym pożywieniem i nie wydaje im się, by istniała alternatywa. Aby uspokoić sumienie i [złagodzić] poczucie winy, znajdują racjonalne wytłumaczenie tego obyczaju i przekazują je następnemu pokoleniu. I tak to się toczy poprzez tysiąclecia.

Dzisiaj oglądałem jakiś program w telewizji. A potem drugi na innej długości fali. I trzeci. Wszystkie były o żonie „zdradzającej” (odbywającej stosunki seksualne z inną osobą) swego zalegalizowanego towarzysza życia albo też na odwrót. Ta sama historia, tylko inni „aktorzy”. Myślałem, że być może niezliczeni widzowie rodzaju żeńskiego wybierają ten czy ów program ze względu na odmienne reklamy handlowe. Ale one również były wszędzie takie same.

Z kolei programy sportowe pozwalają osobnikom płci męskiej przeżywać swoje skądinąd nudne życie [w sposób zastępczy].

Zwierzęta B-TIK nie należące do gatunku homo sapiens są zaliczane do niższej klasy na różne — bardzo przemyślnie — sposoby:

- jeśli jakaś osoba jest podła, gruboskórna, okrutna lub grubiańska, zasługuje na miano „zwierzęcia”, przy czym nie ma znaczenia, że ludzie są jedynym gatunkiem przejawiającym takie cechy;
- zwierzęta ludzkie jedzą, inne zwierzęta żywią się;
- inne zwierzęta nie rodzą dzieci — one tylko wydają na świat szczenięta, źrebaki, kozłęta, jagnięta, kangurzątkę i tym podobne;
- ludzie nie zabijają zwierząt — oni tylko polują, chwytają, łapią w sidła, tuczą na ubój, zarzynają i składają je w ofierze;
- sapiens kochają się, wszystkie inne zwierzęta się parzą;
- i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Jeszcze jedna subtelna metoda indoktrynacji, ale bardzo skuteczna. Zastosowano ją, aby zniewolić i eksterminować różne „niezdolne do czucia, podobne do zwierząt” rasy samych homo sapiens! Jedną z tych świeżej daty [czystek] nazywa się „holokaust”.

Dla kury (ptaka, który nie fruwa) na B-TIK każdy dzień to holokaust.

W kraju Botswana napotkaliśmy farmę otoczoną ogrodzeniem, by inne zwierzęta nie mogły wejść na jej teren. Wiele dzikich zwierząt umarło nieopodal z pragnienia. Te, które przeżyły, powiedziały mi, że czują wodę, ale nie mogą się do niej dostać. Zrobiłem dziurę w ogrodzeniu i pozwoliłem im się napić. Farmer zbliżył się do nas z nożem. Kiedy zniknąłem i nagle pojawiłem się za nim z tyłu, upuścił nóż i padł na kolana. Wyjaśniłem mu, o co chodzi, a on pokłonił się

wielokrotnie i obiecał nie naprawiać dziury.

Innym razem, w Szwajcarii, zauważyłem kobietę, która przyłgnęła twarzą do szyby restauracji (miejsce, gdzie się je za pieniądze). Opowiedziałem właścicielowi o K-PAX, a on zaraz wpuścił ją do środka.

Tak to już bywa z gatunkiem sapiens. Wydaje się, że można ich reedukować, ale tylko pojedynczo. A tyłu ich jest!

Niektórzy ludzie składają winę za wszystkie problemy na technologię. Inni spodziewają się, że rozwiąże ona wszystkie problemy. Przypominają mi ślepych olbrzymów na E-FAP, które wylupują sobie oczy, by nie widzieć istot, które ogryzają im stopy.

Ostatnimi czasy co bystrzejsi sapiens zaczęli dostrzegać, że niszczenie na wielką skalę istot nie należących do istot ludzkich, spowodowało wymarcie wielu gatunków. Brak poszanowania dla wartości istot spoza gatunku sapiens to tylko jedna z przyczyn tego gatunkobójstwa. Drugą przyczyną jest ogromne przepełnienie ZIEMI samymi istotami ludzkimi.

Łączy się to znowu ściśle z wieloma religiami, z których żadna nie wydaje się zatroskana tym, że ich PLANETA dławi się od niewiarygodnej liczby homo sapiens. Co więcej, wiele ich ksiąg zachęca ludzi, by „rozmnażali się i czynili sobie ZIEMIĘ poddaną”. To wyraźny przykład przekręcenia otrzymanej informacji. Jedyne co ich bogowie mogli powiedzieć, jeśli w ogóle coś mówili, to: „NIE ROZMNAŻAJCIE SIĘ I NIE CZYŃCIE SOBIE ZIEMI PODDANĄ, TO MOŻE OZNACZAĆ WYŁĄCZNIE KŁOPOTY!” I wyobraźcie sobie jeszcze coś: aby rzekomo uratować od wyginięcia kilka gatunków nie należących do sapiens, wsadzają je do więzień. Ciekawe, komu to ma służyć.

A oto jeszcze jeden przykład ludzkiej schizofrenii: wielu ludzi uważa swoje psy i koty za członków własnej rodziny, ale z ochotą zjadają każde inne zwierzę, zdolne się poruszać. Czy może być coś bardziej szalonego?

Niekończące się produkowanie przez homo sapiens własnych kopii w coraz większej liczbie zagroziło przetrwaniu ich własnego gatunku. Jedyne dogodne źródło surowców i energii, Ziemia, jest niemal na wyczerpaniu. A oto na jakie rozwiązanie problemu narastającego przeludnienia i malejących zasobów wpadli „myślący ludzie”: postarać się o więcej zasobów! By podać przykład: energicznie badają, za pomocą swoich ograniczonych metod i równie ograniczonego intelektu, tak zwane „alternatywne” formy energii, które mają tak samo fatalny wpływ na ich PLANETĘ, jak spalanie martwych skamielin. Odwiedzam to miejsce od 1963 (liczba lat, które upłynęły od zgonu boga zwanego jesus chrystus, zamordowanego, jakżeby inaczej, przez tych sapiens, którzy wówczas byli u władzy) i prawie nie zdarzało mi się usłyszeć, aby ktoś z decydentów zaproponował zredukowanie tej rozdętej liczby ludzkich istot jako sposób zmniejszenia ich problemów energetycznych i wszelkich innych. Zamiast tego na skutek propagandy rządowej sadzą drzewa i przetwarzają śmieci. Najwyraźniej daje im to poczucie, że cokolwiek robią, i pozwala zapomnieć o prawdziwych przyczynach ich kłopotów ze środowiskiem naturalnym. Ludzie!

Inna dziwna sprawa: większość sapiens wsadza swoich zmarłych krewnych do ziemi, żeby

tam zgnili. Kto potrafi zrozumieć te istoty?

A oto przykład na to, że strach leży u podłoża wszystkich myśli i poczynań sapiens: rob i ja zatrzymaliśmy się na spoczynek pewnej gorącej nocy w chłodnym, świeżo wykopanym grobie. Pijany sapiens, idąc na skróty do domu, wpadł do tego grobu tuż obok nas. Zaczął drapać pazurami ściany tej jamy, daremnie próbując się wydostać. Powiedziałem: „Nigdy ci się to nie uda, kolego”. Ale zaraz po tym mu się udało.

Jedne z najbardziej zadziwiających istot na ZIEMI to wieloryby. O wiele inteligentniejsze od sapiens — a mimo to prześladowane, od chwili gdy ludzie zapanowali nad morzami na swoich okrętach, i już prawie na wymarciu. Odwet ich zupełnie nie interesuje — wolą zagładę niż kontratak.

Mają niesamowicie subtelny i złożony umysł! Potrafią myśleć równocześnie na paru poziomach: śpiewać, karmić swoje dzieci, dokonywać obliczeń matematycznych, tworzyć poezję, kontemplować otoczenie i wykonywać dziesiątki innych czynności w tym samym czasie.

Pomogłem jednemu z nich uciec z miejsca pod nazwą „oceanarium”, gdzie był więziony w pojemniku wodnym niewiele większym od niego samego. W zamian opisał mi wszystkie gatunki morskich roślin i zwierząt, przebywające na przestrzeni wielu jartów wokół miejsca, gdzie znajdowaliśmy się na oceanie spokojnym. Nawet zabrał mnie na krótką przejażdżkę w głąbiny oceanu! Przeżycie jedyne w swoim rodzaju, zapewniam was.

Powiedział mi, że ciągle rosnący poziom hałasu utrudnia bardzo porozumiewanie się i żeglowanie po wodach, a nawet myślenie. Odparłem, że na lądzie nie jest wiele lepiej.

Nie mamy takich istot na K-PAX. Gdybym mógł, zabrałbym go do domu w odwiedziny. Ale nie posiadamy wystarczającej ilości wody we wszystkich podziemnych zbiornikach, aby zapewnić mu dość miejsca do przetrwania. Może należałoby zaproponować, aby istoty zamieszkujące inne wodne PLANETY udzieliły im schronienia do czasu, aż ludzie przejdą na wyższy etap rozwoju albo dokonają samozagłady — jedno z dwojga.

Poza śmiercią i zniszczeniem dokonywanym przez sapiens skala marnotrawstwa jest niesłychana. Już sam tylko czas, który poświęcają na sport, wystarczyłby na to, by całkowicie przebudowali swój ŚWIAT. Pomyśleć tylko, czego by mogli dokonać, gdyby tylko wyeliminowali wszystkie te [bzdury] ze swoich myśli!

Istnieje wiele rzeczy, za którymi będę tęsknił, kiedy opuszczę B-TIK — cudowne owoce, ciepło uczuć zwierząt spoza gatunku sapiens i ich wielka różnorodność, bujna roślinność, góry pokryte śniegiem, wielkie pola złotych zbóż i oczywiście paru przedstawicieli grupy sapiens. Ale na pewno nie będzie mi brakowało ciągłego bombardowania „miłością” i „sekssem”, dobywanego się z odbiorników radiowych, ekranów telewizyjnych, czasopism (cienkich książeczek) i z prawie wszystkiego dookoła. Choćbym został tutaj milion lat, nigdy nie byłbym w stanie pojąć zaabsorbowania tych istot obsesyjnymi uciechami, które mogą prowadzić tylko do utraty lub katastrofy.

Nawet ich religijne księgi nakazują im kochać się nawzajem (rzadko — kochać jakiś inny

gatunek), jakby te sprawy można było wykonywać z boskiego polecenia. Miłość (tak jak ja rozumiem to określenie) bierze się z tajemniczego zachwyty, który nas ogarnia pod wpływem pewnych przymiotów przejawianych przez inną istotę. Jeśli tak jest, to jak można komuś kazać kochać osobę posiadającą cechy dla niego odpychające? Albo też jakie ma znaczenie podobne uczucie względem istoty, którą się lubi? Z pewnością zamiast tego bogowie chcieli powiedzieć, że sapiens powinni szanować się nawzajem.

Sapiens często (choć nie zawsze) utożsamiają miłość z seksem. Jak to możliwe, pytam się, aby coś w domniemaniu pięknego łączyło się z czymś tak bolesnym i obrzydliwym? To naprawdę [urąga] zdrowemu rozsądkowi! A jest powszechne — wydaje się, że to jedyny powód, dla którego kobiety i mężczyźni się spotykają, choćby nie wiem jak udawali, że jest inaczej. Naprawdę zabawnie jest przyglądać się, jak tańczą wokół tego tematu niczym podwójna GWIAZDA, aż w końcu oboje tego zapragną (jeśli można tak powiedzieć).

Aby nie traktować wszystkiego poważnie, przedstawiam ten zabawny [kasek?]. Na B-TIK jest sześć miliardów homo sapiens i liczba ich rośnie z minuty na minutę. A więc na co idzie część pieniędzy z podatków, które płacą poszczególni ludzie? Na badania nad płodnością! Chyba nie słyszałem niczego bardziej zabawnego w całej GALAKTYCE.

Raz, przypadkowo, uczestniczyliśmy z robem w jakimś spotkaniu religijnym. Było to w kraju stany zjednoczone, stan alabama. Dzień był cudownie ciepły, trochę jak na K-PAX, i usłyszeliśmy głośną muzykę płynącą z małej świątyni. Weszliśmy do środka. Dziwne powiązanie, muzyka i religia. Zdawało się, że ostre rytmy wprawiają ludzi w odpowiedni nastrój do wysłuchania propagandy. Ciekawe, jakie jeszcze informacje przekazuje się sapiens za pomocą muzycznych wibracji.

Było dużo zawodzenia i okrzyków w czasie mówionej części spotkania, niektórzy błagali o uzdrowienie z różnych schorzeń. Zauważyłem ogromny lęk u tych istot, jednakże te niepokoje zostały prawie całkowicie [ukojone] poprzez uczestnictwo w tym „nabożeństwie”. Musiało to być coś w rodzaju hipnotycznej sztuczki gene'a.

Rob postanowił pozostać. Po wszystkim, co przeszedł, woli dalej żyć tutaj, niż udać się do miejsca, gdzie nic z tego, co na niego spadło, nie mogłoby się zdarzyć. Niezrozumiałe, prawda? Ale tak bardzo ludzkie.

PODSUMOWANIE

B-TIK jest jednym z najpiękniejszych ŚWIATÓW w GALAKTYCE. Prawdę mówiąc, mogłaby stać się rajem, gdyby jej ludzcy mieszkańcy przestali robić co w ich mocy, żeby się „rozmnążyć i czynić ją sobie poddaną”. Przyrost ich populacji na kształt tkanki nowotworowej, bezmyślne zużywanie zasobów naturalnych, katastrofalne wywyższanie się ponad wszystkie inne gatunki, które wspólnie z nimi zamieszkują PLANETĘ, zepsuło ją dla wszystkich, z nimi samymi łącznie.

Biorąc jednak pod uwagę historię ich ewolucji, niewykluczone, że ta PLANETA była skazana na zagładę od momentu, kiedy się na niej pojawili. W każdym razie ich zadufanie w sobie przetrwało dłużej, niż było to konieczne z punktu widzenia ewolucji, o ile w ogóle. „Przekonanie”, że mają prawo do wszystkiego, co jest w ich zasięgu, wciąż jest wzmacniane na co dzień przez ich rządy, prawa, rodziców, szkoły, dostarczające im rozrywki media i religie. Jeśli mają przetrwać wiek następny, ich młodociane ego musi dojrzeć — muszą się nauczyć polegać na innych wartościach niż rodzina, kraj, bogowie, żeby ich życie nabrało sensu. Niezliczeni ludzie mówili mi: „To nie jest takie proste!”

Ale dla dziecka wszystko jest skomplikowane. Najwyraźniej nic poza manipulacją genetyczną nie zdoła naprawić tego defektu, lecz nawet to [najeżone] będzie trudnościami — kto zdecyduje o tym, którymi genami manipulować?

W miarę jak B-TIK będzie zmierzać nieuchronnie ku katastrofie, stopniowo coraz więcej sapiens się przebudzi i będą się zastanawiać, co jest nie w porządku. Niestety jest już prawie za późno, żeby odwrócić szkody, chociaż prosta sanacja wszystkich społecznych i środowiskowych schorzeń — eliminacja kapitału, krajów, religii, indoktrynacji rodzicielskiej — jest łatwo dostępna. Jednakże mając tylko ćwierć wieku, żeby rozpocząć zmiany, większość zachowuje się bezmyślnie, tak jakby nie miało być jutra. Ironia losu, czyż nie?

Czarno widzę ich przyszłość, jeśli na czas się nie przebudzą — moim zdaniem sapiens najprawdopodobniej nie przetrwa następnego wieku. Jeśli jednak uda im się rozwinąć, zanim sami siebie zniszczą, mają szansę stać się godnymi podziwu obywatelami WSZECHŚWIATA i z pewnością jednymi z bardziej interesujących. Ale mają przed sobą jeszcze długą drogę. Nawet po doświadczeniu, trwającym tysiąc wieków, nadal są dziećmi.

POSŁOWIE

Od 1990 roku czytałem „Raport” prota chyba ze sto razy i nigdy nie przestawał mnie zadziwiać. Nie z powodu ziarna prawdy rozsianego tu i ówdzie na jego stronicach, ale ze względu na to, co nam przekazuje na temat Roberta Portera, pierwotnego alter ego prota, które jest zdecydowanie ludzkie. Wszystkie recepty prota na problemy tego świata w ten czy inny sposób dotyczą problemów jego ziemskiego „brata bliźniaka”.

Na przykład jego bezwzględna odraza wobec współżycia seksualnego i lekceważenie życia rodzinnego bardzo łatwo dają się wytłumaczyć seksualnym wykorzystywaniem Roberta przez jego

wuja pedofila oraz wydarzeniami owego nieszczęsnego dnia w 1985, gdy jego córka i żona zostały zgwałcone i zamordowane.

Podobnie bliska nędzy kondycja rodziny Roba, tragiczne dla jego perspektyw życiowych skutki sztywnych zasad wyprowadzanych z religijnych dogmatów oraz, ogólnie biorąc, obojętność społeczności lokalnej wobec tych problemów mogły przyczynić się do negatywnej oceny naszych układów społecznych i ekonomicznych przez prota.

Jednakże bez względu na to, jakie były źródła spostrzeżeń prota, zasługują one moim zdaniem, na poważne potraktowanie. Od czasu przejścia na emeryturę spędzam wiele czasu przyglądając się, w jaki sposób my, ludzie, traktujemy Ziemię i wszystko, co na niej się znajduje. Obraz tego jest ponury. Niekończące się religijne i etniczne konflikty na Bliskim Wschodzie,

w Irlandii Północnej, w Bośni, Afryce czy Indiach zabrały lub zrujnowały już wiele istnień (zarówno ludzkich, jak i innych gatunków). Przeludnienie Ziemi stało się przyczyną ogromnych cierpień na całym świecie, a przewiduje się, że będzie jeszcze gorzej. Różnice poziomu ekonomicznego krajów bogatych i biednych wciąż narastają z godziny na godzinę. Dzieci pozostają w nieświadomości tego wszystkiego, uczą się jedynie podstawowych przedmiotów, czasami tylko czegoś więcej, a nikt nie zamierza wydać ani grosza, by to naprawić. Ignorujemy wszystkie nasze problemy, na naszą własną zgubę.

Czy chcę przez to powiedzieć, że powinniśmy odrzucić nasze wierzenia religijne, wprowadzić ścisłą regulację urodzin i zaprzestać posyłania dzieci do szkoły? Z pewnością nie. Ale doszedłem do przekonania, że jeśli chcemy uniknąć katastrofy, musimy podjąć pewne kroki w tych sprawach. Możemy na przykład przestać kupować rzeczy, które nie są nam niezbędne. To będzie wymagało pewnych przemian, trwających jakiś czas, ale w końcu gospodarka odzyska na nowo równowagę. Aby przewyciężyć ten problem, moglibyśmy obciążyć wyższymi podatkami najbogatszych. Podniosą się krzyki oburzenia, bez żadnej wątpliwości, ale to także przeminie.

Szkoły z pewnością staną się lepsze, jeżeli zaczną uczyć dzieci o problemach stojących przed naszą planetą i o prawie wszystkich innych sprawach. Po co nam wojny? Dlaczego tak mało ludzi zna swych posłów i senatorów? Kto napisał Miasteczko Middlemarch? Albo kto stworzył podstawy genetyki? Gdzie na mapie szukać Czadu? A podstawy muzyki klasycznej i sztuk pięknych? Czym różni się kwark od kwazara? Ze szkoły powinno się przynajmniej wynosić przekonanie, że ignorancja nie jest powodem do dumy, to byłoby już coś.

Z pewnością moglibyśmy zrezygnować ze spożywania mięsa, co jest jednym z najbardziej niszczących dla środowiska nawyków i najzupełniej zbytecznym z punktu widzenia potrzeb żywieniowych człowieka. Następne porażające umysł marnotrawstwo to wytwarzanie broni i wszelkiego rodzaju przygotowania do wojen. Interesy narodu winny być chronione, ale jakież mają znaczenie w obliczu zagrożenia całego świata?

Religia jest sprawą trochę bardziej delikatną. Ludzie (włączając w to i mnie) trzymają się swojej wiary, jakby ich życie od tego zależało, bez względu na animozje, które rodzi fanatyzm religijny na całym świecie. Niemniej powinniśmy umieć przyznać, że istnieje więcej niż jedna droga do prawdy i do pojęcia Boga.

Oczywiście wszystkie te sprawy wymagają olbrzymich poświęceń i ogromnego wysiłku. Czy warto? Z całego serca wierzę, że tak. W istocie nie mamy wyboru. Wzrasta zapadalność na raka skóry i średnia temperatura ziemskiego globu, zmiany klimatyczne mszczą się klęskami ekonomicznymi, w zastraszającym tempie giną lasy równikowe, a z nimi unikalna flora i fauna, których są siedliskiem, w tym zioła lecznicze. A to jedynie wierzchołek góry lodowej. Maleją obszary gleb ornych, kurczą się zasoby wód i energii, wyłączenia prądu i spadki zasilania są na porządku dziennym i tak dalej, i tak dalej.

Czy sugestie prota ocalą nas przed nami samymi? Kto to może wiedzieć? Ale nawet najwięksi spośród nas optymiści przyznają prawdopodobnie, że o wiele lepiej jest próbować coś zrobić, niż nie robić nic. Ja jestem gotów spróbować, a wy?...

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej żonie Karen za słowa otuchy.

Jestem również wdzięczny pani doktor Carol Boettcher z Wydziału Lingwistyki Uniwersytetu Columbia za wstępne tłumaczenie raportu prota na język angielski.

Za cięte komentarze podziękowania otrzymują mój brat Bob i mój przyjaciel Jalel Sager.

OD TŁUMACZY

Rozpoczęliśmy tłumaczenie tej trylogii z przekonaniem, że jest ona nam wszystkim potrzebna — stawia pytania niesłychanie ważne dla naszych czasów, pomaga dostrzec i zająć stanowisko wobec trudnych problemów, których istnieniu nie sposób zaprzeczyć, choć często pragnęlibyśmy je zbagatelizować lub wręcz zanegować. Spotkania z czytelnikami (pierwszych dwóch części trylogii) w trakcie wspólnej podróży po Polsce z Gene'em Brewerem i jego żoną Karen tylko nas w tym przekonaniu utwierdziły. Dzięki, Gene, dzięki, Karen!

Osobne podziękowania należą się Williamowi Brandowi, amerykańskiemu przyjacielowi Polski i naszemu wielkiemu przyjacielowi, który — począwszy od pierwszego tomu K-PAX — był naszym nieocenionym konsultantem w sprawach historii i kultury Stanów Zjednoczonych.